Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 8 (1612) 19 LUTEGO 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Dopiero zaczęło się. Bądźmy więc realistami, optymizm odłóżmy na później.

„Okrągły stół" widziany od kulis

MIROSŁAW KULIŚ

1.

Stół widzieli wszyscy — był okrągły. Krzesła nazywały się hamburskie. Wszystkie w jednym kolorze — czerwonym. Nie jest to barwa miła sercu części uczestników spotkania w Urzędzie Rady Ministrów. Dla wszystkich zaś nie były to miejsca wygodne. Producent — Warszawska Fabryka Mebli Artystycznych, to historycznie rzecz biorąc, pierwszy przeciwnik porozumienia narodowego. Sprzedał Radzie Ministrów krzesła, może i estetyczne w wyglądzie, ale toporne dla pośladków (sprawdzałem). Na takich stołkach długo wysiedzieć nie sposób. 6 lutego 1988 r. przezwyciężono ten ból i nikt nie wstał przed czasem. Jedni z powodu przyzwyczajenia, inni dla interesu, jeszcze inni z wrodzonej delikatności, a wszyscy dlatego, że się zdecydowali na cierpienia w imię przyszłości. Później może sobie to wynagrodzą.

W dodatku było ciasno. Bardzo ciasno. Łokcie stykały się z łokciami, kolana z kolanami. Na szczęście główni antagoniści siedzieli daleko od siebie. Łokcie pozostawały bezczynne. Na rozpychanie się przy ich pomocy jest jeszcze czas. Każdy miał przed sobą mikrofon i białą kartkę z jakże optymistycznym i budzącym nadzieję tekstem: *„Naciśnięcie przycisku powoduje włączenie mikrofonu. Zapala się biała lampka oraz wyłącza się mikrofon poprzedniego mówcy"*. Sukces pierwszego dnia mieści się właśnie w tym, że nikt nie skorzystał z tej prostej w treści instrukcji. Znużeni i nieco rozczarowani długimi i suchymi wystąpieniami telewidzowie nie zrozumieli tego. Czesław Kiszczak mógł skasować Lecha Wałęsę, Wałęsa Alfreda Miodowicza, Miodowicz Jerzego Turowicza itd. Nikt nie skorzystał z okazji, choć każdy miał przycisk w zasięgu ręki. Okazali sobie szacunek i cierpliwość. Na jak długo? To dramatyczne pytanie będzie nurtowało nas wszystkich w rodzącej się na naszych oczach nowej epoce.

2.

Politycy mają chyba zawodową skłonność do zaciemniania obrazu przed zwykłymi ludźmi. W ostatniej części spotkania wywiązała się polemika (jedyna zresztą tego dnia) między mecenasem Władysławem Siłą-Nowickim a profesor Anną Przecławską. Pierwszy postulował dopuszczenie do stołu również te siły opozycji i „Solidarności", które są przeciwne porozumieniu z władzą. Pani profesor ripostowała, że w takiej sytuacji logicznym byłoby wystosowanie zaproszenia do tych kręgów w elitach władzy, dla których sama idea okrągłego stołu jest świętokradztwem. Wydało się to tak bezsensowne, że i projekt mecenasa przyjęto jako co najmniej niedorzeczny. Wcześniej zaś inicjatorzy rozmów wielokrotnie stwierdzali, iż powinni w nich uczestniczyć tylko ci, którzy *„stoją na gruncie opozycji konstruktywnej"*, aceptującej istniejący porządek konstytucyjny. Czyż nie prościej i bardziej przekonywająco byłoby ogłosić, że warunkiem jest nienadużywanie instrukcji o białej lampce?

Wielu widzów spodziewało się gorących polemik, żywej atmosfery, ostrych starć, tymczasem w ich odczuciu obrady były przesłodzone. Tak było w istocie. Na każdych 2—3 uczestników obrad przypadały trzy butelki mocno zagęszczonego soku z czarnej porzeczki firmy „Tymbark" i tylko dwie butelki wody mineralnej „Mazowiecka". Ktoś to zrobił celowo. To nie był przypadek. Nie przywiązywałbym jednak do tego faktu większego znaczenia. O ludziach okrągłego stołu mo-

Reporter z „Odgłosów" na pokładzie MS „Władysław Łokietek".

Blinda, piraci i rekin ludojad

ANDRZEJ MAKOWIECKI

CZYTAJ STRONA 6

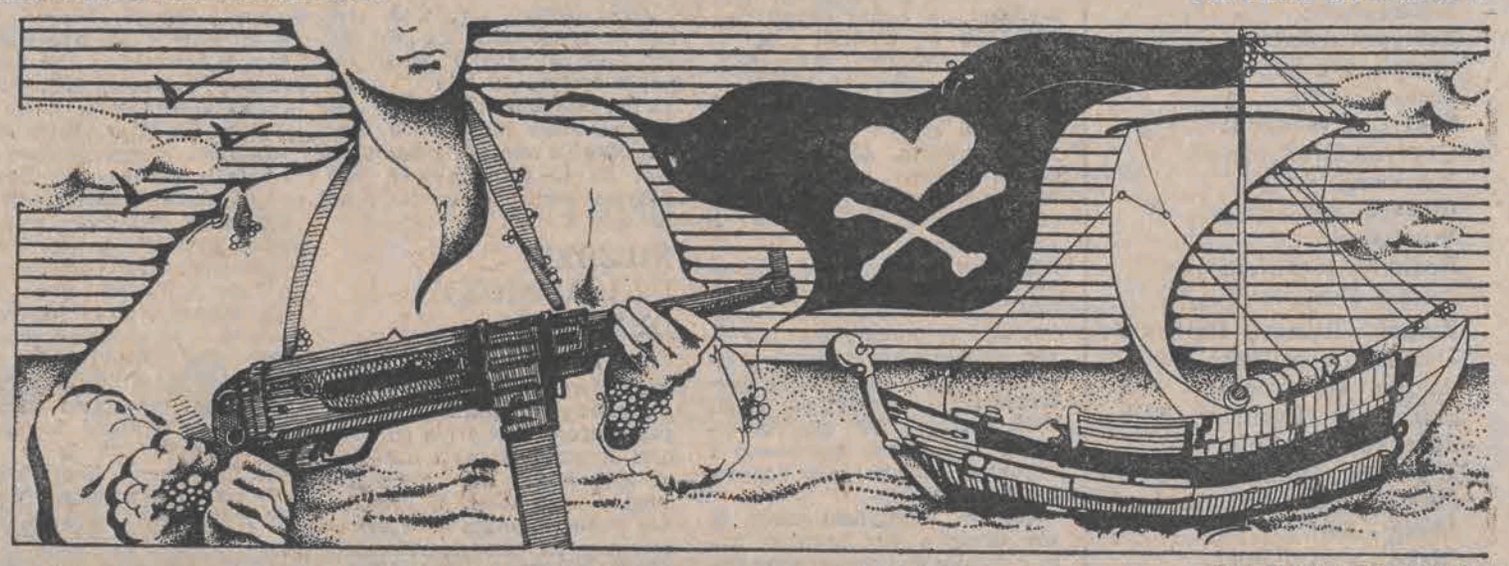

Rys. Dariusz Romanowicz

■ Katyń w opiniach zachodnich — str. 5
■ Niezwykła kariera Ławrientija Berii — str. 10
■ Szpital na peryferiach — str. 1 i 7
■ Kto uratuje pałace dawnej Łodzi? — str. 3

Foto: Grzegorz Gałasiński

Czy będzie to najdłuższa budowa w Europie?

Szpital na peryferiach

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Bohaterem tego artykułu nie jest pojedynczy człowiek ani przedsiębiorstwo czy instytucja. Nie jest nim inwestor ani wykonawca, nie jest projektodawca czy użytkownik. Prawdziwym bohaterem tego artykułu jest budowa, którą oni wszyscy rozpoczęli i kontynuują. Nie wiadomo do kiedy ani za ile. Wiadomo jednak, że ten szpital-olbrzym na peryferiach Łodzi już od dawna przerósł ich siły i możliwości.

Jeszcze uwaga wstępna: **będę się starał pominąć ludzkie emocje.** Nie napiszę więc jednego zdania o goryczy, ani słowa o bezradności, nie zamieszczę personalnych wymówek, nie rozleję ani kałuży z wezbranego stawu wzajemnych, osobistych pretensji. Tak sobie bowiem życzyli wszyscy moi rozmówcy. Byli zgodni, że dostatecznie wymowne są fakty.

Przedstawmy je zatem, ograniczając komentarz do niezbędnego minimum.

Oto mamy pierwsze lata minionej dekady. Dojrzewa pomysł budowy **Centrum Kliniczno-Dydaktycznego Akademii Medycznej w Łodzi** rozproszonej w 35 punktach w mieście, w trudnych warunkach lokalowych, urągających niekiedy wymaganiom bezpieczeństwa i higieny. Wiadomo też coraz lepiej, iż Łodzi zagraża ostry deficyt łóżek szpitalnych, zwłaszcza internistycznych. Centrum ma być sposobem na te bolączki. Z „centralizacją organizacyjną i koncentracją przestrzenną", ma leczyć badać, kształcić, a w dalszej przyszłości służyć mieszkaniami studentom i pielęgniarkom. Ma być nowoczesne, „rozwiązaniami wybiegające w XXI wiek".

Owczesny przewodniczący Rady Narodowej m. Łodzi — **Jerzy Lorens** wybiera osobliwe miejsce pod budowę: wysoko, aby widoczna z oddali nowoczesna sylwetka budynku głównego przydała miastu urody. Miał dobre oko, co łatwo sprawdzić, wjeżdżając do Łodzi z przeciwnej strony, od ronda Titowa w kierunku placu Niepodległości. Centrum rysuje się stamtąd na wprost, w perspektywie ul. Pabianickiej, jakby było całkiem niedaleko, a przecież jest daleko, na drugim krańcu wielkiego miasta...

Wtedy, w pierwszej połowie lat 70., nie było jeszcze widać tej ogromnej, smutnej przez niewykończenie konstrukcji. Centrum jednak rosło, choć tylko na papierze. Szybko odrzucono pierwotny, dość skromny pomysł budowy szpitala klinicznego na 700 łóżek. Przed Łodzią otwierały się gwałtownie nowe perspektywy, zmieniły się władze Akademii Medycznej, zrodziła się zatem koncepcja wspanialsza. Powiększona o wydział lekarski i stomatologię, już na 1300 łóżek szpitalnych.

Po naradach przyjęto także, że budowy nie będzie się finansować ze środków przyznanych miastu na rekonstrukcję przemysłu, tylko z oddzielnych, dodatkowych funduszów przyznawanych corocznie przez Komisję Planowania. Słowem:

będzie to inwestycja rządowa.

Zapamiętajmy, bo to ważne, że w założeniach techniczno-ekonomicznych Centrum (zaakceptowanych po długich przetargach) przewidywano, iż kosztować ono będzie — wraz z wyposażeniem — **2,5 mld zł.** Była to kwota na tyle wówczas duża, że już wtedy **zdecydowano** się podzielić budowę CKD na dwa przedsięwzięcia, a pierwsze z nich na dwa zadania. Najważniejszy obiekt, czyli 19-kondygnacyjny tzw. blok łóżkowy, umieszczony został odważnie w pierwszym zadaniu pierwszego przedsięwzięcia, które — zakładano — **ukończone zostanie w grudniu 1984 roku.**

Prace nad projektem bryły architektonicznej trwały przez 4 lata. Prowadzone były przez zespół **Miejskiego Biura Projektów**, pod kierownictwem **Janusza Wyżnikiewicza.** Nie dziwmy się, że trwały długo. Projektowano zespół szpitalny, jakiego jeszcze w Polsce nie było. Największy w kraju.

19 stycznia 1976 r. wmurowano akt erekcyjny pod budowę pierwszego z pawilonów. Początek był więcej niż skromny: po 2 latach targów uzyskano z Komisji Planowania zaledwie **13 mln zł,** pół procenta kosztów inwestycji. W następnych latach pieniądze napływały, ale zbyt wolno w stosunku do potrzeb. Zbyt małe były również siły, którymi dysponował główny wykonawca, łódzki **„Budopol".** W 1978 r. zaawansowanie prac stanowiło **tylko 75 procent planowanego,** które było z kolei niższe od zakładanego w początkowym harmonogramie robót. Pomimo tych trudności, w tymże 1978 r. przystąpiono do bu-

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Włodzimierz Krzemiński, Zenon J Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32-59-11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW Prasa-Książka-Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul Towarowa 23 00-958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 323. D-10.

Przegląd prasy

Z bardzo niepopularną tezą wystąpił na łamach tygodnika „PRAWO I ŻYCIE" (nr 5) prof. dr Wacław Wilczyński. Jego zdaniem, powinniśmy zdecydować się na przejściowe obniżenie stopy życiowej o jedną czwartą. Jeśli teraz tego nie zrobimy, to nasze dzieci będą miały stopę życiową niższą o połowę, a wnuki aż o trzy czwarte.

„Mówię o tych niepopularnych rzeczach tak otwarcie, gdyż mam jednocześnie świadomość, że autentyczna reforma, wyzwalająca wszystkie siły wytwórcze tkwiące w społeczeństwie, mogłaby w ciągu dwóch, trzech lat ten początkowy uszczerbek wyrównać i stworzyć warunki dla bogacenia się kraju".

Wacław Wilczyński mówi, że nie powinno być żadnych barier ideologicznych ograniczających rozwój prywatnej przedsiębiorczości. Nie ma sensu dziś ustalać, ile maksymalnie pracowników może zatrudnić prywatne przedsiębiorstwo. A czym wobec tego jest socjalizm?

„Mówiąc najogólniej socjalistyczne jest to, co lepiej służy społeczeństwu, co daje ludziom podmiotowość i możliwość uzyskania efektów, co gwarantuje im sprawiedliwość, wolność i równość wobec prawa. Nie można dopuścić, by siły utożsamiające socjalizm ze stalinizmem, widząc odchodzenie od modelu stalinowskiego, zakrzyczały dokonujące się przemiany sloganem, że oto odchodzi się od socjalizmu. (...)

Dwie rzeczy były i są dla naszej gospodarki fatalne: stalinizm i tkwiąca bardzo głęboko w ludzkich umysłach i sercach tendencja do egalitaryzmu. Sprawia ona, że problematyka podziału wkracza do sfery produkcji zanim ta produkcja została wytworzona. Nie ma jeszcze niedźwiedzia, a skóra została już podzielona. Tego typu polityka ma zawsze fatalne następstwa. W sferze produkcji nie wolno przeszkadzać. Ma tam powstawać nadwyżka, zysk, musimy więc maksymalizować nadwyżkę efektów nad nakładem, nic więcej. Nie do wszystkich to jednak dociera. Przemysł ciężki, maszynowy nie chce przyjąć do wiadomości, że ekspansja jest nie do pogodzenia z egalitaryzmem. Ekspansja to nie egalitaryzm. W obecnych warunkach nie mamy wyboru — musimy pójść na ekspansję, bez względu na to, jakie nierówności ona spowoduje".

WĘGIEL CZY ROPA?

Specjaliści uważają, że dominacja przemysłu ciężkiego w strukturze gospodarczej naszego kraju miała szkodliwe znaczenie. Doc. dr inż. Jerzy Gdynia proponuje w „PRZEGLĄDZIE TECHNICZNYM" (nr 5) ograniczenie wydobycia węgla i produkcji stali. W zamian powinniśmy zwiększyć przetwórstwo ropy naftowej.

„Polska zajmuje drugie na świecie (po Australii), a pierwsze w Europie miejsce w wydobyciu węgla liczonego na 1 mieszkańca (5150 kg w 1985 r.) i ostatnie miejsce w Europie w przetwórstwie ropy naftowej (380 kg na 1 mieszkańca). Tu leży klucz naszych niepowodzeń. Przy studiowaniu roczników statystycznych GUS uderza jedna prawidłowość — począwszy od przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych następuje wszędzie (z wyjątkiem Polski) gwałtowny spadek wydobycia węgla: w Belgii z 30 do 6 mln t, we Francji z 56 do 15 mln t, w RFN ze 151 do 90 mln t, w Wielkiej Brytanii z 230 do 91 mln t. Polska natomiast systematycznie zwiększała wydobycie — z 38 mln t przed wojną do 192 mln t w 1985 r."

Jeszcze do niedawna mówiono, że Polska na węglu stoi, a Jerzy Gdynia twierdzi, że przez węgiel leży. Świat zachodni zawdzięcza swój powojenny rozwój dwom surowcom: ropie i metanowi. Poza tym kraje zachodnie zmniejszyły produkcję stali. W produkcji na jednego mieszkańca Polska (458 kg) wyprzedza Wielką Brytanię (251 kg), Francję (321 kg) i Włochy (402 kg). Natomiast więcej od nas produkuja: RFN (644 kg) i Belgia (1087 kg).

Zmniejszenie wydobycia węgla i produkcji stali przyniosłoby ewidentne korzyści: oszczędności energetyczne, odciążenie transportu kolejowego, ograniczenie zanieczyszczenia środowiska naturalnego. Przemysł węglowy i hutniczy zużywa 25 proc. energii dostarczanej do przemysłu uspołecznionego. Na pięć wagonów towarowych dwa załadowane są węglem.

Jerzy Gdynia uważa, że stać nas na zbudowanie do 2000 roku 2—3 rafinerii o potencjale przetwórczym 10 mln t ropy każda. Moglibyśmy zwiększyć przetwórstwo nie do 25 mln, jak określił minister przemysłu, lecz do 40—50 mln t, a wydobycie węgla zmniejszyć do 100 mln t.

NIEZBYT UZASADNIONY OPTYMIZM

W obecnej sytuacji kraju bardzo trudno jest przedstawić całościowy program rozwoju gospodarczego. Nie ma go również Ryszard Bugaj i nie zna nikogo, kto taką koncepcję mógłby opracować. W rozmowie z Aleksandrem J. Wieczorkowskim na łamach „TYGODNIKA KULTURALNEGO" (nr 6) były doradca NSZZ „Solidarność" mówi:

„Nie jest możliwe, aby jedna osoba objęła swoim programem całość polskiej gospodarki. Natomiast mam swoje sympatie i pewne intuicje, które na paru polach mogą być podstawą mojego prywatnego wysiłku intelektualnego. To nie jest chyba tak, żeby programy w sensie rozwiniętych koncepcji było sens budować przed sytuacją, która stwarza na nie zapotrzebowanie. Jest takie powiedzenie Leszka Kołakowskiego, że jeżeli programu nie ma, to dlatego, że jest niemożliwy".

Ale jakiś program musi chyba mieć rząd. Premier i ministrowie nie mogą działać bez koncepcji. Były wieloletni przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, Stefan Jędrychowski, twierdzi jednak w tygodniku „MEGAWAT" (nr 2), że nowa ekipa rządowa nie zdaje sobie sprawy ze skali istniejących zagrożeń.

„Panuje klimat pewnego rodzaju euforii i optymizmu niezbyt uzasadnionego. Ciekawe, że także w społeczeństwie nastąpił pewien zwrot w kierunku zwiększenia nadziei na przyszłość, co potwierdzają badania prowadzone przez CBOS. Tymczasem fakty i dane obiektywne wskazują na rosnące zagrożenia.

Grozi przyspieszenie inflacji, która bez zdecydowanego przeciwdziałania może w roku 1989 przybrać rozmiary zbliżone albo nawet przekraczające 100 procent, mimo że zapowiedzi oficjalne są znacznie niższe. Istnieje wiele czynników, które działają w kierunku rozszerzenia inflacji. Od roku 1983 nie ma żadnego programu walki z inflacją, a to co się mówi na ten temat jest najczęściej retoryką".

Podejmowane obecnie reformy gospodarcze, społeczne i polityczne rodzą pytanie, czy nie odchodzimy od socjalizmu? Stefan Jędrychowski sądzi, że nie można dziś jednoznacznie odpowiedzieć. Wszystko zależy od dalszego rozwoju.

„Teraz znajdujemy się w epoce, która przez historię gospodarczą nazywana jest epoką grynderską. Taka epoka istniała w początkowym okresie rozwoju kapitalizmu. Dziś mnożą się różnego rodzaju spółki, mnożą się fundacje, projekty specjalnych stref ekonomicznych. Te inicjatywy są traktowane jako remedium na wszystkie niemal istniejące bolączki. Po epoce grynderskiej następowały okresy bankructw i załamania wielu inicjatyw. U nas też to prawdopodobnie nastąpi, a inicjatywy typu cwaniackiego, wykorzystując różne nieprawidłowości systemu, będą musiały upaść. Do tego potrzebny jest normalny, zdrowy rynek".

Stefan Jędrychowski sceptycznie zapatruje się na możliwość porozumienia narodowego. Porozumienie ze wszystkimi bez określonych podstaw i granic jest tak samo nierealistyczne jak jedność moralno-polityczna całego społeczeństwa. Rozmowy z opozycją muszą odbywać się na określonej platformie i przy określonych granicach ustępstw.

W DĄŻENIU DO POJEDNANIA

Z danych biograficznych zamieszczonych w „TRYBUNIE LUDU" (nr 32) wynika, że przeciętny wiek osób, które zasiadły 6 lutego 1989 r. przy „okrągłym stole", wynosi 53 lata. Najmłodszymi w gronie 57 uczestników obrad są: Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Maciej Manicki i Jacek Merkel (po 34 lata) oraz Tomasz Adamczuk, Aleksander Hall, Aleksander Kwaśniewski, Tadeusz Rączkiewicz i Edward Szwajkiewicz (po 35 lat). Najstarszą osobą jest Stanisław Stomma (80 lat). Ponad 70 lat mają: Jerzy Turowicz (76), Władysław Siła-Nowicki (75), Jan Kostrzewski (73) i Aleksander Gieysztor (72). Liderzy ruchu związkowego liczą: Lech Wałęsa (45 lat), Alfred Miodowicz (59). Pierwszy jest elektrykiem, absolwentem Zasadniczej Szkoły Mechanizacji Rolnictwa, a drugi ma wykształcenie średnie i zawód hutnika.

W warunkach uznanego oficjalnie pluralizmu pojawiają się artykuły, które jeszcze niedawno wywołałyby szok. W tygodniku „KULTURA" (nr 6) Andrzej M. Faliński pisze o potrzebie pojednania marksistów z liberałami. Uważa za niefortunny fakt, że w ruchu socjalistycznym liberalizm nie znalazł miejsca jako formacja intelektualna i etyczna.

„Historia obeszła się dość brutalnie z obu koncepcjami. Ani jednej, ani drugiej nie udało się stworzyć realiów, które odpowiadałyby fundamentalnym właściwościom postulowanych ładów społecznych, tym bardziej ekonomicznych. To zaś, co weszło do społecznej praktyki, to pewien typ postawy i wyczulenia na problemy społeczne, wcale nie tak odległe jak prezentują to wytrwali i pryncypialni apologeci obu stron. Nad obu formacjami intelektualnymi wisi też groźne memento: faszyzm jako klęska liberalnej formy rządów i stalinizm jako klęska nowej formuły ludowładztwa. Dziś już nikt nie twierdzi, że ideał społecznego liberalizmu w klasycznej postaci jest możliwy do spełnienia, tak jak nikt nie twierdzi, że stalinowska formuła «od etatyzmu do komunizmu» jest udaną próbą ucieleśnienia K. Marksa snu o sprawiedliwości".

Liberałowie nigdy nie byli dogmatykami. W systemie wartości cenili pracę jako źródło zamożności, szanowali własność, uznawali równość szans i sprawiedliwe zróżnicowanie jako skutek koniecznej konkurencji. Oni nadali polityczny kształt wartościom ogólnoludzkim. W ich ideologii występuje zasada tolerancji i wolności sumienia, nakaz humanitaryzmu i działania w dobrej wierze, pluralizm ekonomiczny, związkowy, ideowy i polityczny.

PROGI ŚWIĘTEJ BRYGIDY

O kościele św. Brygidy w Gdańsku i poglądach księdza kanonika Henryka Jankowskiego interesująco pisze w tygodniku wrocławskim „SPRAWY I LUDZIE" (nr 5) Stanisław Kubiak. Przytaczam dwa fragmenty artykułu:

„Kościół ten budowano w latach 1394—1402. Był katolicką twierdzą obronną, gdy zwyciężała w Gdańsku reformacja. Potem wychodziły z niego zwycięskie pochody kontrreformacji. Kilka razy płonął. W 1945 został spalony jako germański. Odbudowany w latach siedemdziesiątych przekształcił się w centrum katolików, kalwinów, ewangelików, Żydów i bezbożników, których zjednoczyła niechęć lub nienawiść do legalnych władz. Inni — oczywiście, dojrzą w tej mieszance wyraz pluralizmu i zamiast o polityce mówić będą o religijnej inicjatywie ekumenicznej. (...)

Przy wejściu do Kościoła wywieszono tablicę z napisem: «Kościół Świętej Brygidy. Sanktuarium Królowej świata pracy». W jednej z wnęk między filarami wisi ciężki obraz Hermana Hana z 1612 roku. Brygida siedzi tam trzymając klucze i koronę, nad nią czuwa Trójca Święta. Co założycielka zakonu wychowawczyń dla szlachetnych panienek ma wspólnego ze światem pracy?"

Ksiądz Henryk Jankowski poinformował dziennikarza, że za dwa lata będzie przy kościele Droga Krzyżowa — symbol umęczonego człowieka współczesnego, cierpiącego robotnika. Wykonania tego dzieła podjęła się profesor Szczodrowska, ale na razie utknęła, boi się i zmaga sama z sobą.

Ksiądz Jankowski jest zwolennikiem duszpasterstwa robotników, a nie świata pracy. Albowiem do tej drugiej grupy zaliczają się również ci, którzy wyzyskują robotników.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

Prof. JAN SZCZEPAŃSKI — socjolog, działacz polityczny, członek Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa.

— Niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem minionego tygodnia były rozpoczęte w Warszawie obrady „okrągłego stołu". Zapytany, dlaczego nie zasiadam przy nim, choć brałem udział w rozmowach przygotowawczych, odpowiadam: owszem, uczestniczyłem, ale tylko w jednym zebraniu poprzedzającym „okrągły stół", mianowicie w pierwszym spotkaniu Czesława Kiszczaka z Lechem Wałęsą. Nie odegrałem tam zresztą żadnej roli. Poza tym, nie można zapominać, że mam już 76 lat i czas najwyższy zacząć się wycofywać z czynnego życia. Jest to w każdym razie moja suwerenna decyzja.

Oczywiście, można spekulować na temat efektów praktycznych toczących się obrad. Ja widzę to tak: co może być powiedziane, zostanie powiedziane. Co powinno być zrobione — powinno być zrobione. A jak będzie naprawdę, czas pokaże. Trzeba więc czekać.

MICHAŁ OSTROWSKI — rzemieślnik

— Wracałem w niedzielę z rodziną z ferii zimowych w Zakopanem m.in. przez Piotrków i Srock. Za Srockiem, w kierunku Łodzi, na terenach budowy autostrady leży sobie „pod chmurką" kilkaset worków cementu. Nie wiem, jak długo leży, po wyglądzie worków można domyślać się, że długo. Wczoraj nie padało, ale dziś od rana deszcz i cement może całkowicie zniszczeć. Zaintrygował i zbulwersował mnie ten widok, gdyż jestem zainteresowany kupnem worka cementu do moich potrzeb produkcyjnych. Niestety, w handlu zrealizowanie tego prostego sprawunku nie jest możliwe. A tam, na polu...

A.S. PARODY — przechodzień

— Jak długo już się remontuje, bez wyraźnych śladów przebiegu prac, Handlowy Dom Dziecka przy ul. Piotrkowskiej? 10 lat? Więcej? „Okrągły stół" usiłuje wypracować metody obronne przed klęską, między innymi, gospodarczą. W tym świetle ludzie odpowiedzialni za remont HDD śmiało mogą kandydować do miana sabotażystów. Czy w Polsce już naprawdę nikt za nic nie poniesie konsekwencji?! Czy długo jeszcze można będzie bezkarnie kpić sobie w żywe oczy ze społeczeństwa?

Zanotował: MAREK KOPROWSKI

Zmarł nasz

KOLEGA

JERZY KATARASIŃSKI

Pracowaliśmy razem w latach 1979—1982.
Jurek był sekretarzem redakcji, potem zastępcą redaktora naczelnego. Wniósł do naszej pracy wiele nowych pomysłów, inicjatyw i twórczego niepokoju.
I takim Go zapamiętamy. KOLEDZY Z REDAKCJI „ODGŁOSÓW"

W dniu 7 lutego 1989 roku zmarł w wieku 52 lat

REDAKTOR
JERZY KATARASIŃSKI

wieloletni członek i działacz b. Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, b. pracownik „Dziennika Łódzkiego" łódzkiej telewizji i „Odgłosów".

Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy serdecznego współczucia.

ZARZĄD ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO
SD PRL

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Zaczęłam krzyczeć, wymyślać na nich, ze złości i ze strachu, bo bałam się, że umrę. Przybiegli, owszem, i ten dyżurny lekarz, od którego czuć było wódkę, kroił mi skalpelem żywe ciało na ręce. Tak się ze mną obchodzili jak z trupem. A teraz mówią, że jestem głupia — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Pierwsze wrażenie: gdy wysiadam z samochodu powietrzem wstrząsa potężny huk. Wkrótce następuje drugi. Potem trzeci. I tak już będzie do godziny drugiej po południu. W budynku od wstrząsów dzwonią szyby w oknach, trzęsą się meble, drżą drzwi — reportaż EUGENIUSZA IWANICKIEGO pt. „Krajobraz po strajku".

— Teoretycznie nie wolno Polakom wywieźć nic lub prawie nic, o czym głoszą wręczane na przejściach granicznych ulotki. Ale nie z nami takie numery! Kupują więc rodacy przede wszystkim obuwie, odzież dziecięcą, sprzęt sportowy, niektóre artykuły spożywcze. I chyba znaczną część przewożą — korespondencja DARIUSZA DOROŻYŃSKIEGO.

— Po wojnie, kiedy Stalin wznowił wyjazdy na południe, Beria odkomenderował do jego ochrony całe armie. Z Moskwy do Soczi odchodziły prawie równocześnie trzy pociągi. Wzdłuż trasy dyżurowały tysiące pracowników milicji i agentów bezpieczeństwa. Z dworców usuwano pasażerów — pisze ANTON ANTONOW-OWSIEJENKO.

— Organizatorzy imprezy przeliczyli się. Siły porządkowe przechytrzyły pomarańczowych i nie pojawiły się na happeningu. Komitet powitalny nie miał komu wręczyć chleba i soli — materiał MARKA KOPROWSKIEGO o „Pomarańczowej Alternatywie".

— Klasa uczyła się od czterech lat angielskiego i choć nie zrobiła w tym zakresie nadzwyczajnych postępów, chwyciła sens makabrycznego dowcipu. Chwycił go również Idiota i poczerwieniał ze złości. Aluzja była dostatecznie przejrzysta — powieść ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO „Pięćdziesiąt melonów".

— Jan Duch spotykał się z Evą codziennie. Wynajmowała pokój w hotelu, dzwoniła do niego i natychmiast przyjeżdżał. Na taksówkę dawała mu poprzedniego dnia. Robiła to w dyskretny sposób — książka ANDRZEJA BRYCHTA „Azyl polityczny".

Z tej ziemi

Bez niecierpliwości i wielkich oczekiwań

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1.

No i stało się. Odbyło się pierwsze, inauguracyjne posiedzenie „Okrągłego stołu". Fakt ten spotkał się z bardzo różnymi i sprzecznymi reakcjami. Oto niektóre z nich.

— *Znów Polacy urządzili cyrk dla świata* — powiedział pewien młody dziennikarz.

— *Najpierw nie mogli się spotkać, później spóźniali się, wreszcie usiedli i pogadali i na tym się skończyło* — powiedziała Olga G.

— *Spełnili obowiązek wobec ojczyzny, ale czy to coś zmieni?* — powiedział jeden stale wątpiący.

— *Popełnili kolejny błąd, oddajemy władzę naszym przeciwnikom* — powiedział pisarz, który chlubi się stałością poglądów.

Różnorodność i sprzeczność poglądów mnie nie dziwi. Niczego innego nie należało się spodziewać. Ale niepokoi mnie nutka pesymizmu i niewiary w możliwość dokonania czegokolwiek. Ludzie u nas ciągle oczekują cudu, nagłej zmiany, pojawienia się towarów w sklepach, zniknięcia wszelkich przeszkód hamujących postęp, unifikacji poglądów wedle wzoru wyznawanego przez oczekującego, dostatku mieszkań, papieru, zniknięcia niczym sen złoty biurokracji oraz nadejścia wielu innych wspaniałości, których inni dorabiali się w mozole i pocie. Na przykład niektórzy oczekiwali, że X Plenum KC PZPR automatycznie zniesie konserwatyzm w myśleniu wielu członków partii, a przede wszystkim automatycznie — poprzez uchwały niejako — unowocześni aparat partyjny. Samo się jednak nic nie stanie. Nikt nie ustępuje ze swoich pozycji bez walki.

Inauguracyjne posiedzenie „Okrągłego stołu" pozwoliło na prezentacje poglądów i propozycji różnym grupom, które przy tym stole zasiadły. To był moment nie tyle uroczysty, co informacyjny. Uważny czytelnik wygłoszonych tekstów może sobie porównać stanowiska, znaleźć punkty styczne i rozbieżności. Ludzie jednak zastanawiali się nad tym, kto lepiej wypadł? Jedni mówią, że Lech Wałęsa, inni, że gen. Czesław Kiszczak, choć zaraz powiadają, że miał trochę za długie wystąpienie, inni wskazują na Alfreda Miodowicza...

Spotkałem się z poglądem, że dla OPZZ byłoby znacznie korzystniej, gdyby Alfred Miodowicz nie był członkiem Biura Politycznego KC PZPR, a tylko członkiem KC PZPR. Takie usytuowanie szefa OPZZ w partyjnej hierarchii nadałoby poczynaniom związku większą autonomię. W ogóle — sądzę — dojrzała do szczegółowego rozpatrzenia struktura najwyższych władz partyjnych. Czy powinny być tam reprezentowane urzędy czy indywidualności? Sądzę, że sprawą tą powinna zająć się Krajowa Konferencja Delegatów.

Wracając do spraw „Okrągłego stołu" ubawiłem się nieco usłyszawszy, że Alfred Miodowicz występuje o zniesienie cenzury, a Jerzy Turowicz o... jej zachowanie. Przypomnę odpowiednie kwestie z obu przemówień.

Alfred Miodowicz: — *„Opowiadamy się za uczciwą walką o mandaty między przedstawicielami różnych interesów i racji. I aby zapewnić swobodę wyrażania poglądów opowiadamy się za zniesieniem cenzury. A więc za swobodą słowa i jawnością".*

Jerzy Turowicz: — *„Obawiam się, że w istniejącej sytuacji, zwłaszcza sytuacji geopolitycznej, istnienie cenzury jest złem koniecznym. Chodzi natomiast o minimalizację tego zła, a więc o ograniczenie funkcji cenzury do ochrony autentycznej racji stanu i bezpieczeństwa państwa i rezygnację z ochraniania — jak dotychczas — interesów władzy czy partii, poprzez ograniczenie informacji oraz eliminowanie poglądów, które się komuś nie podobają".*

Wesołość moja spowodowana była również tym, że bodajże dzień wcześniej wysłuchałem w „Wolnej Europie" narzekania przedstawiciela prasy „drugiego obiegu", albo — jak kto woli — podziemnej, na działanie różnego rodzaju cenzury w tej dziedzinie. A to cenzuruje teksty „polityczny dysponent", a to sponsor, a to działa autocenzura... Tak więc to, co uważa się za niezależne, wcale takie niezależne nie jest.

2.

Skoro już „Okrągły stół" zaczął obradować, to czego po nim oczekuję? Sądzę, że zasadnicze znaczenie będą miały obrady „stołów problemowych", czyli zespołów roboczych. Tam musi dojść do starcia poglądów i w wyniku tego powinno narodzić się coś pożytecznego, co powinno przyczynić się do rozwiązania — przynajmniej w założeniach — naszych powszednich kłopotów. Ale samo się nie zrobi. Od „stołów problemowych" mogą jedynie wyjść impulsy.

W środę, 8 lutego 1989 roku, rozpoczęły się obrady zespołu zajmującego się sprawami gospodarczymi. Racje właściwie są znane. Tak przynajmniej wynika z relacji rzeczników prasowych, gdyż obrady toczą się przy drzwiach zamkniętych. Znany jest też cel, czyli przyszły kształt gospodarki polskiej, różnice zdań panują co do sposobów mających doprowadzić do osiągnięcia tego celu.

Nie niecierpliwiłbym się w oczekiwaniach na rezultaty prac „Okrągłego stołu" i nie oczekiwałbym zbyt wiele po tych obradach. Byłbym zadowolony, gdyby w rezultacie „historycznego kompromisu" ustalono przyszły kształt legalnego działania opozycji. Zbliżają się bowiem wybory do Sejmu PRL i trzeba osiągnąć taki kompromis, aby najwyższa władza ustawodawcza w Polsce była rzeczywiście najwyższą. Obrady „Okrągłego stołu" odsuwają rolę Sejmu PRL w rozwiązywaniu żywotnych problemów kraju i narodu na bok. Sejm PRL nie reprezentuje bowiem wszystkich sił, jakie dziś istnieją i działają w Polsce. Okazało się, że ignorowanie tych sił jest sposobem działania nieskutecznym.

3.

Obrady „Okrągłego stołu" odsunęły w cień III Ogólnopolską Konferencję Teoretyczno-Ideologiczną PZPR. Ta Konferencja powinna mieć dla PZPR duże znaczenie, gdyż w wyniku teoretycznych rozważań można będzie znaleźć odpowiedzi na kilka nurtujących ludzi pytań. Powinna ona pobudzić myślenie, powinna skłonić do poszukiwania różnorodnych rozwiązań. Trzeba jednak poczekać na materiały, gdyż nie wszystko można było przekazać w relacjach prasowych. Nie mogły być one zbyt obszerne.

Tu chciałbym tylko zacytować za PAP relację z wypowiedzi Zdzisława Cackowskiego na spotkaniu z dziennikarzami. Powiedział on — wedle reportera PAP — *„iż przy wyborze określonego wariantu drogi do rozwoju socjalizmu w Polsce nie wolno — w imię jego efektywności — zapominać o podstawowych celach socjalizmu, a przede wszystkim o zasadzie sprawiedliwości społecznej".* Dalej Zdzisław Cackowski podkreślił, *„że o wyborze kierunków rozwojowych decydować będzie nie tylko myśl teoretyczna, ale także praktyka społeczna, ukształtowana przez aktualną sytuację polityczną".*

4.

Na łamach „Odgłosów" rozpoczął się spór o odpowiedź na pytanie, jakie — może nieco przewrotnie — postawił w swoim artykule Edmund Lewandowski: *Czy można zbudować socjalizm?* I być może samo pytanie nie wywołałoby tylu różnych opinii i sprzeciwów, gdyby nie odpowiedź zaprezentowana zaraz na wstępie artykułu: *„Po dojrzałym namyśle twierdzę, że socjalizmu zbudować nie można".* To kategoryczne zaprzeczenie wywołało wiele dyskusji, których rezultaty nie trafiły jeszcze na łamy pisma.

Odmienny punkt widzenia zaprezentował Grzegorz Matuszak w artykule *„Czy można dojść do horyzontu?"* zarzucając Edmundowi Lewandowskiemu, że więcej uwagi poświęca intelektualnemu paradoksowi niż merytorycznie uzasadnionym rozważaniom. Grzegorz Matuszak pisze: *„jeżeli nasze wysiłki w kształtowaniu warunków życia są daremne, a możliwość osiągania pożądanych stanów rzeczy jest mitem, to kończy się igranie intelektualnym paradoksem, a otwiera się czarna otchłań beznadziei i chaosu".* Można byłoby poza tym powiedzieć, że Grzegorz Matuszak kwestionuje kompetencje Edmunda Lewandowskiego do zajmowania się tak poważnymi sprawami.

Boję się, że cały ten spór opiera się na głębokim nieporozumieniu. Cenię sobie publicystykę obu polemistów, ale odnoszę takie wrażenie, że jakby rozmawiali na dwóch różnych płaszczyznach. Spróbuję zatem znaleźć punkty zbliżające do siebie obie płaszczyzny, byłoby bowiem dobrze, gdyby spór ten nie zakończył się na tym dwugłosie.

Myślę, że obaj autorzy: Edmund Lewandowski i Grzegorz Matuszak zgodzą się ze mną, że socjalizm jest rezultatem dotychczasowego procesu społecznego, jest więc koniecznością historyczną. Współczesny świat ukształtował się również w wyniku rozwoju socjalizmu pod różnymi postaciami i w różnych rejonach kuli ziemskiej. Kapitalizmu drugiej połowy XX wieku nie da się porównać z kapitalizmem drugiej połowy XIX wieku, co stało się nie bez wpływu socjalizmu na zachodzące procesy społeczne. Co do tego nie ma chyba różnicy zdań między nami.

Różnica zdań występuje natomiast w określeniu sposobów osiągania celów. Edmund Lewandowski powiada, że *„zbudować socjalizmu nie można"*, a Grzegorz Matuszak twierdzi, że osiąganie tego celu przypomina marsz do horyzontu. Właściwie do horyzontu nigdy nie można dojść, choć osiągnęło się punkty, które — jak się wydawało — horyzont ten wyznaczają. To porównanie — przyznaję, że obrazowe — ma jeden mankament. Można bowiem iść w złym kierunku, horyzont dostrzegamy wszędzie, w którą stronę nie spojrzymy. A do celu można też iść okrężną drogą. Czasem na tej drodze pozostaje zbyt wiele ofiar.

Negatywną odpowiedź Edmunda Lewandowskiego na pytanie: *Czy można zbudować socjalizm?* — rozumiem jako protest przeciw prymitywnemu pojmowaniu procesów rozwoju społecznego. Romantyczni rewolucjoniści rozumowali w sposób bardzo uproszczony, dążąc do natychmiastowego zbudowania Utopii. Właśnie zbudowania — tak jak się buduje dom, fabrykę, barak, teatr, muzeum, kościół. Oczekiwali cudu. Oczekiwali, że jak tylko zwycięży rewolucja, to zniknie wszelkie zło, prostytucja, złodziejstwo, ludzie staną się dobrzy, nikt nie będzie brał łapówek, nie będzie mścił się na nikim, wszyscy zamieszkają w „szklanych domach", rządzić będą ludzie skromni, mądrzy, dobrzy, nie będzie potrzeba policji, sądów, więzień. Ale stało się inaczej. Więc zakazano pisania o prostytucji, złodziejstwie, wymyślono „wrogów ludu", rozbudowano milicję i różne służby specjalne, rozwijała się prywata, samolubstwo i łamanie praworządności. W słowach, hasłach, przemówieniach był to świat najpiękniejszy, ale słowa rozmijały się z praktyką, ona przeczyła słowom. Takie to było budowanie socjalizmu. Przeciw takiemu budowaniu Edmund Lewandowski protestuje, takiego budowania nie uznaje. Twierdzi, że tak budować nie można, bo w żaden sposób nie osiągnie się zamierzonego celu. Przy takim budowaniu cel ten staje się czystą Utopią, a przecież nie o to chodzi, bo to nie ma nic wspólnego z rozwojem społecznym. I trudno się w tym z nim nie zgodzić.

Edmund Lewandowski — powołując się na Karola Marksa — napisał: *„żadne społeczeństwo nie może przeskoczyć „naturalnych faz swego rozwoju. W życiu społecznym da się realizować tylko to, co już dojrzało do urzeczywistnienia".* W tym stwierdzeniu, które trudno zakwestionować, zawiera się cały sens rozumowania Edmunda Lewandowskiego. Z takim punktem widzenia zgadzam się całkowicie.

Polska właśnie znalazła się w momencie krytycznym, kiedy dotychczasowy sposób budowania socjalizmu nie sprawdził się w praktyce. Trudno przecież powiedzieć, że zbudowaliśmy taki ład społeczny, w którym panuje sprawiedliwość społeczna, dostatek i możemy spokojnie patrzeć w przyszłość. A przecież już nasze wnuki miały żyć w pełnym dostatku. Szukamy więc sposobu, aby do głosu doszli ludzie, którzy myślą inaczej, ale którym równie droga jest przyszłość Polski. Szukamy sposobu, aby można było ukształtować Polskę sprawiedliwości społecznej bez potrzeby łamania praworządności.

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

Kto uratuje pałace dawnej Łodzi?

MARIAN ZDROJEWSKI

W powojennych latach słusznie szczyciliśmy się tym że nareszcie „lud wkroczył do śródmieścia", do pańskich dworów i pałaców. Nie tylko lud, ale i jego przedstawiciele w postaci najrozmaitszych użytkowników. Nowi lokatorzy zamieszkali pałacowe i dworskie wnętrza, urządzali się po swojemu, w zabytkowych wnętrzach urządzali szkoły, przedszkola, żłobki, biura magazyny, zakłady produkcyjne. A ponieważ czuli się w nich „swojsko" — a może traktowali to zasiedlenie tymczasowo? — więc, nie starając się latami o właściwe, dewastowali i rujnowali je bezkarnie po czym, jak gdyby nic się nie stało, przenosili się do nowych — domów mieszkań, pomieszczeń, zdobytych za własne bądź państwowe pieniądze, ruiny zostawiając na łaskę miasta, państwa, niech się kto chce martwi.

Kiedy wreszcie uświadomiliśmy sobie, że to jest nasze dziedzictwo, które trzeba chronić, bo wyznacza nam miejsce w świecie, bo stanowi o naszej narodowej tożsamości spostrzegliśmy nagle, że na barki państwa przerzucono ruiny, niczym wyrzut sumienia. A sprawcy takiego stanu rzeczy? Mają się i żyją w dobrym samopoczuciu... Na łaskę i barki państwa porzucono zrujnowane dworki i dwory, w których w latach zaborów i niewoli skupiało się wszystko to, co polskie, w których pielęgnowano ojczyste tradycje, w których gromadzono pamiątki rodzinne i narodowe, z których wreszcie wyruszano do powstań i walki o nasz byt. Z dwudziestu tysięcy takich dworów w kraju ostało nam się zaledwie... tysiąc!, ratowanych i uratowanych kosztem wielkich nakładów finansowych.

A i na naszym terenie przykładów nie trzeba daleko szukać. Oto **zespół budynków Herbsta, przy ul. Przędzalnianej 72** z pięknym westybulem, malowidłami, witrażami, oranżerią i parkiem. **Do 1975 roku** mieściła się tu **Polska Akademia Nauk, Spółdzielnia Inwalidów**, znaleźli tu nawet schronienie w **Domu Dziennego Pobytu** staruszkowie. Pracownicy PAN pracowali, hodowali zwierzęta doświadczalne, pracownicy spółdzielni nawet produkowali bombki choinkowe i zarabiali, staruszkowie chronili się tu przed okrutnym osamotnieniem.

Kiedy rezydencję doprowadzono do całkowitej ruiny, po prostu — opuszczono, przekazując państwu, czyli władzom miasta, konserwatorowi. No a władze? Dla przywrócenia dawnej świetności rezydencji zabytkowej wyasygnowały około 350 mln złotych, by mogło w niej urządzić ekspozycję wnętrz **Muzeum Sztuki.** A dawni użytkownicy? No cóż! PAN przeniosła swoją siedzibę na Piotrkowską 179, do zabytkowej siedziby odrestaurowanej ze skromnych środków konserwatora czyli społecznych. Jest to klasyczny i nie pojedynczy przykład.

Podobnie ma się rzecz z innym XIX-wiecznym pałacem — **Grohmanów, przy ul. Tylnej.** Przez całe lata pałac był w użytkowaniu **„Uniontexu"**, czyli dawnych zakładów Scheiblera i Grohmana. I słusznie. Latami wychowywano w tym pałacu dzieci. Tyle tylko, że przez lata użytkowania pałac wraz z pięknym sąsiedztwem doprowadzono do całkowitej ruiny, po czym... przekazano miastu, a miasto — **Muzeum Archeologicznemu i Etnograficznemu,** mieszczącemu się w katastrofalnych warunkach wraz ze swoimi unikatowymi w skali światowej zbiorami. Pałac trafił więc do właściwego użytkownika, który wraz z konserwatorem latami ratował będzie ruiny przed zniszczeniem, angażując setki milionów złotych. Za to poprzedni właściciel, odpowiedzialny za zrujnowanie obiektu nie poniósł żadnych konsekwencji. Więcej — kategorycznie odmówił jakiegokolwiek udziału w ratowaniu pałacu!

Nawiasem mówiąc tenże sam użytkownik „białej przędzalni" znajdującej się w rejestrze zabytków najzwyczajniej w świecie rozebrał ją i obiekt trzeba było z rejestru skreślić... Nic dodać, ni ująć!

Równie pokaźne środki pochłania remont innego pałacu — **Scheiblera, przy pl. Zwycięstwa.** Jednakże miał on więcej szczęścia — dawniej i dziś. Dawniej mieścił się tu rektorat szkoły muzycznej i jakkolwiek obiekt nie był przystosowany do jego potrzeb, jednakże właściciel dbał, choć i tak pałac zbyt późno trafił do dzisiejszego użytkownika — **Centralnego Muzeum Kinematografii,** które podjęło się gigantycznego wysiłku, i to z wcale już udanym skutkiem.

Inna rzecz, że na wiele obiektów zabytkowych ich użytkownicy zostali „skazani". Tak jest z **Akademią Muzyczną** mieszczącą się dziś w nieprzystosowanym do swoich potrzeb **pałacu Poznańskich; z Akademią Medyczną** zajmującą zabytkowy obiekt, tzw. **Pałac Miejskiego Towarzystwa Kredytowego,** wzniesiony przy dzisiejszej **ul. Marcelego Nowotki** ze składek przemysłowców łódzkich w XIX w. Podczas gdy pałac Poznańskich jest, na miarę możliwości, zadbany a wszystkie remonty, naprawy prowadzone są pod okiem konserwatora, tak pałac przy ul. Marcelego Nowotki chyli się ku ruinie wraz z pięknymi malowidłami i sztukaterią.

Na inny pałac — **Heintzla w Łagiewnikach** skazany został **Szpital Przeciwgruźliczy dla dzieci.** Nie przystosowane do potrzeb szpitala pomieszczenia powodują konieczność prowadzenia ciągłych przeróbek i zmian. Dla szpitala jest to rodzaj wyroku — nie mając gdzie się przenieść musi się stosować do zaleceń straży pożarnej nakazującej np. zbudowanie dodatkowej klatki przeciwpożarowej, dla bezpieczeństwa pacjentów. Niewykonanie — to zagrożenie i... kary, wykonanie, to naruszenie obiektu zabytkowego.

Niezależnie od dworków i pałaców mamy na naszym terenie ogromne kubaturowo obiekty przemysłowe, mamy całe ulice zabytkowych, pięknych willi, kamienic i kamieniczek które są — nawet bezwiednie, a może bezmyślnie — rujnowane. Jeszcze kilka lat takiej gospodarki a — metodą strugania ołówka — dojdziemy do zabytkowego spustoszenia. Żeby ratować to, co dzisiaj wymaga pilnych i nie cierpiących zwłoki starań potrzeba miliardów złotych, a konserwator łódzki posiada szczątkową część tych pieniędzy, rozpisanych na dziesiątki ratowanych obiektów, środków oglądanych na wszystkie strony przez urzędników ministerstwa, urzędu miasta, przez komisję — To cała golgota — jak wyznał ktoś znający szczegóły. Ile z tych milionów i miliardów winni pokryć sprawcy dewastacji zabytków, ich dawni użytkownicy!? Ile wtedy można by przeznaczyć dodatkowo pieniędzy na kulturę, oświatę, służbę zdrowia!? Ile jeszcze obiektów zabytkowych — pałaców, willi, kamienic zamieszkują bądź użytkują osobnicy bezmyślnie dewastujący je, a doprowadziwszy do ruiny zabiegać będą o nowe — zbudowane oczywiście bądź wyremontowane na koszt miasta, państwa — pomieszczenia? Czy i kto obciąży sprawców tego wandalizmu? Czy i kiedy ukrócimy bezprzykładne marnotrawienie naszego dziedzictwa, prowadzące w prostej linii do zaciskania pasa, ciągłego oszczędzania tam gdzie oszczędzać nie wolno. Ze względu na następstwa. A jeśli — to mądrze, prawdziwie po gospodarsku!?

Sposobów na ukrócenie takiego stanu rzeczy jest wiele. Metody znane są w krajach rozwiniętych. W pierwszym rzędzie — pokrywanie kosztów dewastacji, zrujnowania obiektu, traktowanego w całym cywilizowanym świecie za coś niezwykle nagannego, potępianego. To do właścicieli, użytkowników, należy udział w wydatkach, kosztach zachowania obiektu, remontowania. Także i w wysokich czynszach — sposobów jest wiele.

W krajach wysoko rozwiniętych zabytkowe kamienice zamieszkane są przez lokatorów. Czynsze są w nich bardzo drogie. Czy to znaczy, że mieszkać tam mogą jedynie ludzie zasobni, dobrze usytuowani? Nic podobnego. Zamieszkiwać pozwala im w tych obiektach system podatkowo-kredytowy opłacalny dla obu stron. System broniący się przed wandalizmem, który gdy jest, jak u nas, powielany w wielu mutacjach niesie ze sobą zastraszające skutki społeczne, w różnych obszarach życia.

ze str. 1

żna w różny sposób mówić, ale jedną cechę mają wspólną — są nieprzekupni. Ilość wypitego soku nie zaszkodzi im, prędzej czy później i tak objawią nam swą właściwą naturę.

3.

Z naszych wspólnych społecznych pieniędzy zafundowano uczestnikom stołu jeszcze jeden prezent — notes i długopis. Do notowania, rysowania karykatur, gry w kółko i krzyżyk itp. Rząd dyskretnie nie ingerował w sposób wykorzystania powyższych akcesoriów. Wścibski reporter przejrzał w przerwie obrad wszystkie notatniki. Były puste. Jedynie kilku przedstawicieli szeroko rozumianych sił katolickich notowało. Mieli tak po pół kartki zapisków. Prawdziwym wścibstwem byłoby jednak ujawnianie ich treści. Dla porządku dodam, że nie ośmieliłem się ich czytać, co w razie potrzeby zeznam pod przysięgą. Nie wszyscy jednak mi zaufali (może zresztą nie o mnie to chodziło). Notatniki obydwu sąsiadów Alfreda Miodowicza były absolutnie czyste, choć przecież cała Polska widziała jak intensywnie coś pisali podczas wystąpienia Lecha Wałęsy. Podobną ostrożność wykazali inni.

Tylko jeden z uczestników rozłożył przed sobą krzyżówkę, co oczywiście natychmiast dostrzegli ciekawscy fotoreporterzy, głównie ze strefy dewizowej. Był to laureat Nagrody Nobla. Jedyny zresztą w tym towarzystwie.

— *Ta krzyżówka jest podobnie trudna jak dzisiejszy stół* — odpowiedział Lech Wałęsa reporterowi „Odgłosów" na pytanie, czy podczas pierwszego dnia rozwiąże wszystkie brakujące hasła (na 51 miał ich już wpisanych cztery). — *Ja tak sobie tylko treningowo to robię. Jedni rysują, inni podpisują, a ja rozwiązuję krzyżówki...*

„Krzyżówka z iksem" zniknęła z tej części stołu, która należna była przywódcy „Solidarności" podczas przerwy. Nie było już tłumu reporterów, nie było więc komu jej pokazywać. Na odpowiedź czy istotnie Lech Wałęsa jest mistrzem w rozwiązywaniu skomplikowanych krzyżówek również musimy poczekać. Przyszłość nam tego nie oszczędzi doświadczyć, a historia to oceni.

Należy jednak z całego serca pogratulować Lechowi Wałęsie umiejętności wykorzystywania marginalnych nawet elementów do rozgrywania ich w środkach masowego przekazu na własną korzyść. Wygląda na to, że jest to jedyny człowiek w Polsce, który doskonale rozumie, co jest potrzebne dziennikarzom. Obojętne jest w tym przypadku, czy decydują o tym jego doradcy, czy też on sam. — *Stałem się politykiem* — powiedział w wywiadzie dla „Kuriera Polskiego" tuż przed okrągłym stołem Lech Wałęsa, a współczesny polityk bez sympatii ze strony kamerzystów tv, fotoreporterów i reporterów prędzej czy później skazany jest na spadek popularności. Wałęsa doskonale to rozumie i wie, że dziennikarze uwielbiają, jeśli mogą najbardziej suche wydarzenie okrasić jakimś sympatycznym szczegółem czy anegdotą. Krzyżówka była w przypadku okrągłego stołu jedynie dopełnieniem całej, szczegółowo przemyślanej koncepcji pojawienia się w pałacu Rady Ministrów Lecha Wałęsy i jego ekipy.

4.

Już przed godziną dwunastą formowały się na Krakowskim Przedmieściu pierwsze grupki gapiów. O tej też porze pojawiły się w tej okolicy ekipy telewizyjne z całego świata.

— *Kto tu nam dzisiaj nie zjechał* — dziwił się odpowiedzialny za obsługę dziennikarską okrągłego stołu przedstawiciel „Interpressu". — *Światowe sieci telewizyjne są obecne przy każdym ważniejszym wydarzeniu w naszym kraju. Ale takie ekipy jak telewizji duńskiej, szwedzkiej, hiszpańskiej itp. widzę po raz pierwszy...*

Warszawiacy udzielali wywiadów, a wszystkich obserwatorów intrygowało jakimiż to samochodami zjadą uczestnicy obrad ratowania upadającej Polski. Był to pierwszy element rozmów o porozumieniu narodowym, bardzo istotny propagandowo, gdyż najlepiej dający się sfilmować.

Początek okrągłego stołu wyznaczono na godzinę czternastą. Pierwsze pojazdy nadjechały pół godziny wcześniej. Członkowie ekipy partyjno-rządowej zrezygnowali z tej rozgrywki. Przyjechali tym, czym jeżdżą służbowo na co dzień — polonezami i peugeotami. Minister Czesław Kiszczak dysponował tego dnia najładniejszym wizualnie wozem. Jego czerwony Peugeot 505 SRD Turbo prezentował się doskonale. Pozostali uczestnicy też nie mieli się czego wstydzić. Polonezy i mercedesy przeważały. Wyłom zrobiła dopiero delegacja OPZZ, która w całości przyjechała mikrobusem wynajętym w „Orbisie". Co prawda, był to „Mercedes", ale o ile mi wiadomo firma ta nie dysponuje innej marki mikrobusami. Było więc skromnie, choć przyzwoicie.

Jakby przewidując taki rozkład ekipa „Solidarności" postarała się o przebitkę i to doskonale przygotowaną. Około godziny 13.15 tłum przed Pałacem Radziwiłłowskim nagle wielokrotnie zgęstniał. Jedna z dwóch alejek prowadzących na dziedziniec rządowego gmachu wypełniła się zwartą masą ludzi. Pojawiło się kilka transparentów: „*NZS*", „*Lechu zaufaliśmy Tobie — Solidarność*" Z minuty na minutę atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca. Skandowano: „*Solidarność! Solidarność! Solidarność!*". Tłum kipiał, wrzał, a ogólną radość i olbrzymie zainteresowanie telewizyjnych ekip w budzała pewna obfitych kształtów jejmość, która pojawiła się w tym miejscu z pięknie udekorowanymi paczkami z napisem „Solidarność" które rozdawała.

Wreszcie tuż przed godziną 14 są. Lech Wałęsa i jego otoczenie. Idą od ulicy Karowej pieszo (przy rogu Karowej i Krakowskiego Przedmieścia znajduje się hotel „Bristol"). Powoli przeciskają się przez rozentuzjazmowany tłum, dając szansę każdej z oczekujących ekip telewizyjnych na zrobienie korzystnych dla niej ujęć. Ten przemarsz ma jeszcze jedno istotne propagandowe znaczenie. Pozwala nie spóźniając się z momentem przybycia przed Pałac Rady Ministrów spóźnić się **na salę obrad.**

Foto: Mirosław Kuliś

„Okrągły stół" widziany od kulis

5.

Fotoreporterów podzielono na dwie części. Pool I Pool „0". W pierwszej, niewielkiej zresztą grupie, znaleźli się wybrańcy — Telewizja Polska, PAP, CAF, KAW itp. Już po przybyciu ekipy „Solidarności" i opozycji dołączyli do niej przedstawiciele Biura Prasowego przy Lechu Wałęsie (Biuro Ochrony Rządu wydawało im glejty już w trakcie obrad okrągłego stołu), czyli dziennikarze i fotoreporterzy prasy dotychczas nielegalnej. Pool miał możność fotografowania każdego uczestnika przy wejściu do Pałacu oraz w hallu sali obrad, w którym oczekiwał na gości minister Czesław Kiszczak. Pool „0" — w sumie 150—200 fotoreporterów i dziennikarzy telewizyjnych krajowych i zagranicznych — ustawiono po drugiej stronie sali obrad. Mógł fotografować tylko bezpośrednie wejście na salę obrad i samych uczestników siedzących już przy stole. Na tę operację przyznano im tylko 5 minut poczynając punktualnie od godziny 14.

Rozdygotani i rozemocjonowani dziennikarze Poolu „0" wpadają za przyzwoleniem służb porządkowych na salę walcząc zażarcie między sobą o każde korzystne miejsce. Przy stole są prawie wszyscy. Brakuje generała Czesława Kiszczaka i... ekipy „Solidarności". Zza okien dochodzi wrzawa i charakterystyczne, znane wszystkim Polakom skandowanie. Zrobiwszy zdjęcia obecnym część dziennikarzy rzuca się do okien, próbując przez rozmazane deszczem szyby uchwycić to, co się dzieje przed wejściem. Nie każdą wszak redakcję stać na obstawienie imprezy dwoma ekipami.

Czas płynie, fotoreporterzy drepczą w miejscu, porządkowi wykazują pierwsze oznaki niecierpliwości z powodu panującego bałaganu, a najważniejszych uczestników wydarzeń ciągle na sali brakuje. Napięcie rośnie. Wszyscy już wiedzą, że Lech Wałęsa spóźnia się, gdyż po prostu ma kłopoty z przedarciem się pieszo przez gęsty tłum ulicy. 5 minut dla POOL-u „O" wydłuża się w dziesięć, później w piętnaście minut. Nagle ogarnia wszystkich gorączka. Stan nerwowości udziela się siedzącym przy stole uczestnikom obrad, porządkowym, dziennikarzom. W tej napiętej do granic wytrzymałości psychicznej chwili pojawia się wreszcie — Lech Wałęsa i towarzyszące mu osoby.

Fotoreporterzy uruchamiają setki fleszy swoich aparatów. Jest wejście, które jawi się w charakterze symbolu. Jest wielkie, wspaniałe wejście. Dobry wist na początek. Coś jakby z blasku wjazdu triumfalnego w starożytnym Rzymie. To jest to! Mistrzostwo w wykorzystywaniu środków masowego przekazu. W najbliższej przyszłości umiejętności te będą miały jeszcze nie jeden raz olbrzymie znaczenie.

6.

Wreszcie siedzą razem. Nikt nie narzeka, że został niewłaściwie posadzony. Wiadomo — okrągły stół, więc nie ma możliwości wyróżnienia ani poniżenia nikogo. A jednak to nieprawda. Wystarczy przekroczyć próg sali by zorientować się, że dwie strony są „równiejsze" od pozostałych, że przy okrągłym stole w ogóle są strony! Dopiero po chwili odkryłem przyczynę tego zjawiska. Prostokątny kształt sali narzuca swoją geometrię na tyle sugestywnie, że w tym kontekście okrągłość stołu staje się fikcją. Wszyscy mają za plecami ściany, z tym że jedni dłuższe, drudzy krótsze. Przenosi się to na stół — siedzący przy krótszych bokach prostokąta sali mają jakby mniejszy odcinek stołu. Oczywiście doskonale wiemy, że to tylko optyczne złudzenie, że to nieprawda, ale ten, któremu powierzono rozłożenie wizytówek i usadowienie każdego z obecnych, na wszelki wypadek delegację partyjno-rządową i „Solidarności" rozsadził przy dłuższych ścianach. Ostrożności nigdy nie zawadzi. Okrągłość okrągłością, a ściany też w końcu stoją tu nie od parady.

Generał Czesław Kiszczak miał naprzeciwko siebie okna, Lech Wałęsa siedział do nich plecami. Dowiedziawszy się o tym niektórzy z fotoreporterów jeszcze przed wejściem na salę zaczęli szeptać o manipulowaniu obradami przez gospodarza czyli władzę.

— *Lecha będzie się gorzej fotografować, gdyż na jego twarz nie będzie padało światło dzienne* — mówili. Przewidywania ich okazały się nieprawdziwe. Generał Czesław Kiszczak nie skorzystał z okazji polepszenia swojego wizerunku kosztem swego rozmówcy i polecił umieścić we wszystkich oknach zasłonki. Oświetlenie imprezy było sztuczne, atmosfera przynajmniej do przerwy, raczej też.

Tuż po wystąpieniu ministra Czesława Kiszczaka próbował zmienić jej ton mecenas Władysław Siła-Nowicki, który zaproponował uczczenie chwilą ciszy pamięci niedawno zmarłych dwóch księży. Podsłuchujący pod drzwiami porządkowi skomentowali to natychmiast:

— *Teraz generał powinien poprosić o minutę ciszy na cześć zmarłego niedawno byłego premiera Józefa Cyrankiewicza.*

Nic takiego nie nastąpiło — może minister po prostu nie dosłyszał tej rady.

Mecenas zaś udawał się na przerwę w nastroju optymistycznym. — *Skoro tu zaczęliśmy rozmawiać, to dojdziemy do wspólnego porozumienia* — powiedział reporterowi podnosząc się z krzesła — *Moim zdaniem pierwsza runda nie wypadła zbyt ostro. Poglądy mogą być nawet bardzo ostre, byleby tylko były szczere...*

7.

Bez względu na to, na ile szczerzy byli mówcy w swoich wystąpieniach, swoją postawą i zachowaniem się podczas przerwy ujawniali znacznie więcej. W przylegającej do głównego pomieszczenia salce ustawiono 10 okrągłych małych stolików. Ciasteczka, herbata, kawa, coca-cola, woda mineralna i oczywiście sok „Tymbark" czekały na gości. Żadnych wizytówek, żadnego wcześniejszego rozsadzania. Miejsca wybierano tak jak chciano, bądź też tak jak zrządził to przypadek. Kilka ekip telewizyjnych i kilku fotoreporterów, których tu wpuszczono, z miejsca otoczyli stolik o najpikantniejszym składzie. Minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak i Jacek Kuroń popijający wspólnie kawę w towarzystwie Stanisława Cioska i księdza Alojzego Orszulika. Sytuacja staje się przedmiotem swobodnych żartów, które przecina w również w sposób żartobliwy Jacek Kuroń:

— *Muszę państwu powiedzieć, że to tylko pozornie nowa sytuacja. Można powiedzieć, że ja zawsze przy stole ministra spraw wewnętrznych siedziałem, albo na jego wikcie byłem. Przy tym jedzenie u generała Kiszczaka nie było wcale najgorsze, u jego poprzedników jadło się o wiele gorzej.*

Tuż obok stolik z Lechem Wałęsą i jego najbliższymi współpracownikami. Jupitery świecą nieustannie Wałęsa nie odrywając się od posiłku udziela wywiadów. Pozostali siedzą spokojnie, bacznie wsłuchując się w treść składanych oświadczeń.

Nieco dalej ekipa OPZZ z Alfredem Miodowiczem. Nastroje jakby smutne. Szef związków zawodowych zamyślony patrzy gdzieś daleko poza salę. Ożywia się, gdy po dłuższym czasie podchodzą do niego reporterzy telewizyjni. Energicznie podnosi się z krzesła i z godnością wyprostowany udziela wywiadu.

Te dwa stoliki dzieliło nie więcej jak pięć metrów pustej przestrzeni sali. Wymieniano dyskretne spojrzenia, żadna jednak z siedzących przy nich osób nie odważyła się na przyjazny wobec kolegów z drugiej ekipy gest. Były to jedyne stoliki, od których przez cały czas trwania przerwy nie oderwał się nikt. Inni nie wytrzymali nawet 10 minut i rozeszli się po całej sali nawiązując kontakty i rozmowy z dawnymi i nowymi znajomymi. Pół godziny wcześniej Alfred Miodowicz publicznie rzucił hasło Porozumienia Ludzi Pracy, teraz wyraźnie okazuje się, że 5 metrów stoi temu na przeszkodzie. Do wzajemnego kontaktu dojść musi, taka jest logika tego spotkania i tej sali, ale ktoś musiałby uczynić pierwszy krok, ktoś musiałby ukorzyć się przed drugim. Ekipy związkowców przywarły więc do swoich miejsc, nie umiejąc rozerwać tego towarzysko-politycznego pata.

Wreszcie nie wytrzymują ludzie Lecha Wałęsy. Opuszczają recepcję i udają się z powrotem na salę obrad. Po chwili podnoszą się OPZZ-owcy. Alfred Miodowicz ma do wyboru dwie drogi dojścia na swoje miejsce: albo po stronie partyjno-rządowej, albo tuż za plecami Lecha Wałęsy. Decyduje się na tę drugą. Wałęsa widzi to kątem oka i kiedy wreszcie Miodowicz znajduje się na jego wysokości odwraca się raptownie z uśmiechem na twarzy. „Protokolarny" impas przezwyciężono. Rozmowa zostaje nawiązana. Miodowicz odpręża się i od tej chwili jest wyraźnie już w lepszym humorze.

Pytany moment później o to, kogo uważa za swojego głównego antagonistę przy stole, przewodniczący OPZZ wyznaje szczerze:

— *Samego siebie. Z nikim innym nie będę się tutaj spierał. Ja zaprezentowałem nasz punkt widzenia, koledzy z „Solidarności" zaprezentowali swój i trzeba dojść do jakichś wspólnych rozwiązań. Dla nas najważniejszą sprawą jest, żeby nie toczyć boju w zakładach pracy, żeby nie dzielić załóg, nie awanturować się. Czasy są ciężkie i to do niczego nie doprowadzi.*

Tymczasem w salonie recepcyjnym w dalszym ciągu kręci się karuzela spotkań towarzyskich ludzi, którzy słyszeli o sobie od dawna, ale dopiero tutaj mieli w większości możliwość poznania się po raz pierwszy. Sekretarz KC PZPR Leszek Miller wprost nie może oderwać się od Zbigniewa Bujaka i odwrotnie. To najbardziej zajęta sobą para, mająca bezustannie wciąż coś nowego sobie do powiedzenia.

— *Nic w tym dziwnego* — komentuje zdarzenie Leszek Miller. — *Jesteśmy z tej samej szkoły, mamy tych samych nauczycieli. Z łezką w oku wspominaliśmy lata spędzone w Zespole Szkół Zawodowych w Żyrardowie. Jedna szkoła, ale jakże różne drogi przywiodły nas do tej sali...*

— *Ludzi po obydwu stronach wywodzących się z podobnych środowisk jest tu znacznie więcej.* — dodaje Aleksander Kwaśniewski. *Wspólny wydział Politechniki Gdańskiej kończyłem wraz z obecnym rzecznikiem prasowym Lecha Wałęsy. Widziałem jak profesor Jan Rychlewski z PAN witał się z Jackiem Kuroniem i obaj stwierdzają, że kopę lat się nie widzieli. Jest w tym jakaś szczególność wydarzenia i szczególność sytuacji. Oby wyniknęło z tego coś pożytecznego, a nie było to tylko spotkanie towarzyskie, bo nie o to tutaj chodzi...*

8.

Obserwatorom udziela się optymizm płynący z tych miłych i serdecznych towarzyskich pogawędek przeciwników politycznych. Bez zgrzytów jednak się nie obejdzie. Pierwszy dotyka mnie osobiście, kiedy jeszcze podczas przerwy zwracam się z prośbą do Adama Michnika o krótką rozmowę

— *Jaką prasę pan reprezentuje* — pyta zagadnięty.

— Krajową — odpowiadam.

— *Jak się zorientuję w charakterze pana pisma, to wtedy ewentualnie porozmawiamy* — stwierdza krótko, przystępujący do obrad o porozumieniu narodowym, Adam Michnik.

Następne ujawnią się dopiero późnym wieczorem podczas specjalnej konferencji prasowej w „Interpressie" rzecznika rządu Jerzego Urbana. Wzięli w niej udział po raz pierwszy dziennikarze prasy podziemnej, nielegalnej. Przebiega ona w dobrej atmosferze do momentu, kiedy jeden z nich zarzuca rzecznikowi, *„że nie jest ministrem naszego rządu"*. — Martwi mnie ton arogancji, który pan wnosi, mówiąc, że nie jest ministrem pańskiego rządu — replikował Jerzy Urban. Utrzymanych w podobnym tonie akcentów pojawiło się w wypowiedziach przedstawicieli Biura Prasowego przy Lechu Wałęsie więcej.

Może więc rację miał przedstawiciel Episkopatu, jego rzecznik prasowy, ksiądz Alojzy Orszulik, który zapytany podczas przerwy o to, kiedy zakończy swe obrady okrągły stół stwierdził zdecydowanie:

— *Okrągły stół zakończy się dzisiaj. To znaczy w tym wymiarze. Natomiast 8 lutego rozpoczną się prace zespołów roboczych.*

Ksiądz miał na myśli techniczną stronę zagadnienia, ale jeśli nadać jego wypowiedzi inne, symboliczne znaczenie, to musielibyśmy dojść do smutnego wniosku, że w atmosferze narodowej zgody i wzajemnego szacunku udało się nam siąść do stołu tylko raz. Począwszy od następnego dnia drzemy koty dalej. Bądźmy więc realistami, optymizm odłóżmy na później.

MIROSŁAW KULIŚ

Foto: Mirosław Kuliś

Do tak potwornej zbrodni zdolny był zarówno Adolf Hitler, jak i Józef Stalin. Sprawa Katynia wciąż czeka na wyjaśnienie.

Katyń w opiniach zachodnich publicystów

JAN BĄBIŃSKI

1.

13 kwietnia 1943 r. berlińskie radio przerwało program, żeby nadać komunikat specjalny.

„...w lesie pod Smoleńskiem odkryto masowe groby 10 tysięcy polskich oficerów, zamordowanych przez GPU strzałem w tył głowy. Odnaleziono 3 tysiące ciał w mundurach i z dokumentami, tak że ich identyfikacja nie była trudna. Specyfika terenu sprawiła, że zwłoki jakby się zmumifikowały. Między innymi odkopano ciało generała Smorawińskiego z Lublina. W marcu 1940 r. przewieziono tych oficerów w wagonach towarowych z obozu w Kozielsku do Smoleńska. Stamtąd odeszli transportem do Kozigorów. Przypuszcza się, że ogółem w ręce bolszewików wpadło ponad 10 tysięcy polskich oficerów...".

Tego dnia Berlin powtórzył jeszcze parokrotnie komunikat o zgładzeniu w Katyniu 10 tysięcy polskich oficerów. Świat wysłuchał tych meldunków z osłupieniem. Czyżby dokonano z zimnym okrucieństwem mordu na bezbronnych jeńcach wojennych? Byłoby to w naszych czasach możliwe? Takie barbarzyństwo nie mieściło się wprost w głowie.

W rządowych kręgach Londynu i Waszyngtonu wpierw zapanowało grobowe milczenie, potem odczuwalne zakłopotanie. Jak zareagować na te makabryczne wieści? Udać, że nic się nie stało? To niemożliwe, Joseph Goebbels zrobił wszystko, żeby katyńskiej tragedii nadać jak najszerszy rozgłos. To Machiavelli, umie z czarnego zrobić białe, może to sami Niemcy maczali palce w tej zbrodni?

16 kwietnia 1943 r. Berlin zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie z prośbą o wysłanie do Katynia komisji dla zbadania sprawy na miejscu. Podobne wezwanie skierował do Genewy emigracyjny rząd polski w Londynie. 17 kwietnia 1943 r. londyński PAP ogłosił o tym oficjalnie. Genewa odmówiła. Na powołanie komisji musiałyby wyrazić zgodę wszystkie zainteresowane strony. Również Związek Radziecki. To zaś nie wchodziło w rachubę.

2.

Winston Churchill miał gen. Władysławowi Sikorskiemu za złe, że dał się ponieść emocjom i ustąpił pod presją romantyków z najbliższego otoczenia. Polityka wymaga realizmu. Także trzeźwego myślenia. Są chwile, kiedy cześć i honor trzeba zakopać do ziemi. Czy nie można było poczekać z poruszeniem sprawy Katynia do zakończenia wojny? Po cóż drażnić tak ważnego alianta, skoro najcięższe walki na wszystkich frontach dopiero przed nami? Ten krok, orzekł Winston Churchill, okaże się brzemienny w fatalne skutki dla samych Polaków.

Nie pomylił się.

Józef Stalin z wyrachowaniem wykorzystał nadarzającą się sposobność i w mistrzowsko skalkulowanym ruchu zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie. W krótkim oświadczeniu Moskwa stwierdziła, że rząd polski wkroczył na drogę porozumienia z Niemcami i przybrał wrogie stanowisko wobec Kraju Rad. Tą błyskawicznie podjętą decyzją Józef Stalin wyławirował Londyn i otworzył sobie furtkę do utworzenia w Związku Radzieckim zalążka przyszłego rządu Polski Ludowej. Joseph Goebbels zatarł ręce. Wreszcie znów udało się poróżnić Polaków z Rosjanami. Odwieczne waśnie odżyły. Katyń pozostanie krwawiącą raną na długie, długie lata, jeśli nie na pokolenia.

A zapowiadało się nieźle.

20 lipca 1941 r. podpisano w Londynie pakt polsko-radziecki. Moskwa zobowiązała się, że w wypadku zwycięstwa nad Niemcami Polska zostanie przywrócona w swych granicach. Pod dokumentem złożył podpis generał Władysław Sikorski i ambasador radziecki w Londynie Majski. Uzgodniono poza tym, że w Rosji powstanie niezależna polska armia, którą zorganizuje generał Władysław Anders.

Jeszcze w kwietniu 1943 r. Berlin zwrócił się do kilku państw i za ich zgodą powołał własną komisję do wyświetlenia masakry w Katyniu. Na pokrytym lasami, pagórkowatym terenie, schodzącym nad brzeg Dniepru mieścił się ośrodek wypoczynkowy NKWD. Tu zjawiła się grupa 13 profesorów z Belgii, Bułgarii, Holandii, Danii, Finlandii, Węgier, Włoch, Rumunii, Francji, Jugosławii, Czech i Szwajcarii.

3.

Gen. Władysław Anders zaczął organizować polską armię od podstaw. Wiadomo było, że do radzieckiej niewoli dostało się 180 tysięcy polskich żołnierzy i oficerów. To oni mieli być trzonem pośpieszenie formowanych pułków. Istotnie żołnierze zaczęli spływać do punktów werbunkowych szerokim dość strumieniem z wszystkich zakątków radzieckiego gosudarstwa.

Raptem pojawiło się zaskoczenie. Gdzie oficerowie? Dlaczego się nie pojawiają? Co się z nimi stało?

Gen. Władysław Anders orientował się wybornie, że wyższych oficerów i generałów wtrącono do więziennych cel. Wielu przesłuchiwano miesiącami w osławionej Łubiance. Całą resztę rozsiano po obozach. I tak w Kozielsku znalazło się 4500 oficerów, w Starobielsku 3920, w Ostaszkowie 6500. W tym ostatnim obozie znaleźli się prócz oficerów także polscy policjanci, zatrzymani na Kresach Wschodnich.

Żołnierzy potraktowano jak przestępców politycznych i przewieziono do łagrów. Głównie do Workuty, Karagandy, w okolice Archangielska i do wyrębu lasów w syberyjskich tundrach. Opisywanie ich losów mijałoby się z celem. Każda polska rodzina wie o tym więcej niż zechcieli to dotąd ujawnić uczeni historycy z profesorskimi tytułami. Mróz, głód, katorga i szalejące epidemie. Makabra.

Józef Czapski, malarz o światowej sławie i wybitny publicysta przebywał na radzieckiej ziemi u boku generała Władysława Andersa. Po wojnie wydał we Francji „Terre Inhumaine". W tej bogato udokumentowanej książce opisał w miarę dokładnie przejścia Polaków na bezbrzeżnych obszarach Związku Radzieckiego. To dzieło jest dziś białym krukiem. Czapski wspomina:

„Było to dla nas wszystkich dziwne i niepojęte, gdyż oficerowie z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa nigdy na apel nie odpowiedzieli i nigdy do nas się nie zgłosili. Żołnierze powracali, o oficerach nikt niczego nie słyszał...".

Józef Czapski nie krył wzrastającego niepokoju. Tym bardziej, że jakiś czas sam przebywał za drutami Starobielska i miał tam licznych i serdecznych przyjaciół. Z początkiem 1940 r. przewieziono go z grupką innych oficerów do obozu w Grjazowiecku. Znalazł tam kilkuset polskich oficerów, wyselekcjonowanych z obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Wszyscy oni przeżyli.

Allain Decaux, jeden z bardziej znanych dokumentalistów francuskich opublikował w 1967 r. w Paryżu „Nouveaux Dossiers Secrets". Do tej pod każdym względem zajmującej i źródłowej książki gromadził materiały z mrówczą pracowitością. Zbierał listy, przeprowadzał wywiady. O Katyniu rozmawiał także z generałem Władysławem Andersem. Generał nie bawiąc się w uniki, oświadczył wprost:

„Długo nie ustawałem w staraniach, by odnaleźć naszych oficerów. Na moje pytania o ich los Sowieci udzielali niezmiennie wymijających odpowiedzi. Podczas pobytu w Moskwie zagadnąłem o to samego Stalina. Odparł, że nic nie wie w tej sprawie i o niczym nie słyszał. Jeśli oficerów nie ma, to prawdopodobnie z obozów pouciekali. Niektórzy wyżsi oficerowie radzieccy dawali mi jednak półgębkiem do zrozumienia, że popełniono jakiś fatalny błąd".

W 1941 r. Stanisław Kot, polski ambasador w Moskwie spotkał się z Józefem Stalinem. Skorzystał z rzadkiej okazji i rzucił pytaniem czemu zgodnie z podpisanym dopiero co paktem polsko-radzieckim nie zwalnia się z obozów polskich oficerów. Stalin wyraził zdziwienie, czyżby, nic mu o tym nie wiadomo. W obecności Stanisława Kota przedzwonił do NKWD. Słuchał wyjaśnień z wyraźnym napięciem na twarzy. Wreszcie komuś przerwał i wyjaśnił ze złością, że amnestia dotyczy wszystkich Polaków, także oficerów, mają być natychmiast pozwalniani.

W Moskwie przebywał wówczas amerykański admirał William Standley z misją Beaverbrook-Harriman. Stanisław Kot przekazał mu treść swej rozmowy z Józefem Stalinem. Standley powołał się na nią w książce wydanej w 1952 r. „Murder of high strategy", morderstwo w imię nadrzędnych celów.

Po miesiącu Józef Stalin ponownie przyjął generała Władysława Andersa. Tym razem twierdził, że polscy oficerowie repatriowali się do kraju na własną rękę, prawdopodobnie przez Mandżurię. Władysław Anders z miejsca zaripostował, że to wykluczone. Wie z własnego doświadczenia, że nikt tak łatwo nie wyrwie się spod ręki NKWD. Masowe ucieczki nie wchodziły w ogóle w rachubę. Józef Stalin po namyśle połączył się z NKWD. Polecił, żeby polskich oficerów niezwłocznie zwolniono. Gen. Władysław Anders doszedł do przeświadczenia, że jest to oczywista gra na zwłokę. Jedno dziś wątpliwości nie budzi. Józef Stalin łgał. Gdyby oficerowie zbiegli z Kozielska do Mandżurii, nigdy by ich ciał nie odnaleziono w katyńskim lesie.

4.

W drugiej połowie kwietnia 1943 r. agencja TASS podała, że polskich oficerów istotnie przewieziono w marcu 1940 r. z trzech różnych obozów do innych, rozmieszczonych pod Smoleńskiem. Oficerowie przebywali tam do czerwca 1941 r. Komendant obozów Wietusznikow oświadczył, że zamierzał ewakuować oficerów. Było to jednak niewykonalne, gdyż napierające oddziały niemieckie zdążyły poodcinać linie kolejowe.

Po wojnie wyświetleniem tajemnicy Katynia zajął się Henry de Montfort, specjalista od spraw Europy Środkowej. Wydał książkę „Massacre de Katyn", opartą o badania, dokumenty i liczne wywiady. Autor wyjawił, że do radzieckich źródeł i materiałów nigdy nie udało mu się dotrzeć. Józef Stalin nie powiedział o Katyniu niczego konkretnego. Milczenie w tej sprawie zachował Wiaczesław Mołotow i Andriej Wyszyński. Autor niczego też nie usłyszał z ust generałów NKWD Rajchmana i Nasiedkina.

W rejonie Smoleńska pracowały do końca 1942 r. liczne grupy Polaków wywiezionych tam na roboty przymusowe. Słyszeli od kołchoźników, że w pobliskich lasach rozstrzeliwano oficerów w polskich mundurach. Co bardziej przedsiębiorczy zaczęli szperać za grobami na własną rękę. Wkrótce mogiły odkryli. Niemcy udali głuchych. Na meldunki nie reagowali. Polaków skierowano później w inne strony i o mogiłach ucichło.

Sprawa odżyła z początkiem 1943 r. Trafiono nie tylko na groby polskich oficerów, ale również obywateli radzieckich. Dokonywano tu zatem masowych egzekucji. Katyński las usiany był mogiłami. W pierwszym rzucie odkopano 982 ciała oficerów. Wszyscy zginęli od kul oddanych w tył głowy. Drugi otwór wychodził na czole powyżej oczu. Ta precyzja dawała do myślenia. Nie ulegało wątpliwości, że była to robota fachowców o bogatym doświadczeniu. Wielu oficerów miało związane ręce. Na ciałach odkryto ślady po uderzeniu bagnetem. Był to dowód, że stawiano zaciekły i rozpaczliwy opór do ostatniej chwili. Nad katyńskim lasem wzniósł się od razu znak zapytania. Kiedy nastąpiła ta krwawa, bezlitosna i okrutna rzeź? Po lipcu 1941 r., czyli po wkroczeniu na te ziemie armii hitlerowskiej, czy może wcześniej?

Przy zwłokach odnaleziono pudełka od zapałek, papierośnice, portmonetki i notatniki. Także listy. Były datowane od września 1939 r. do kwietnia 1940. Jedna z gazet nosiła datę 22 kwietnia 1940 r. Późniejszych dokumentów nikt tu już potem nie odnalazł. A może jakaś polska rodzina jest w posiadaniu listu od wymordowanych oficerów datowanego później? Byłaby to rewelacja.

A jeśli wszystkie te rzeczy ktoś starannie przedtem uszykował i wyłożył do wglądu powołanej przez Niemców komisji?

Allain Decaux wysłał do profesora Neville, członka tej komisji, list z prośbą o zajęcie stanowiska w tej sprawie.

12 listopada 1966 r. profesor odpowiedział.

„...tak, badaliśmy dokumenty wydobyte już uprzednio. Ale przeglądaliśmy też listy i notatki odkopane z mogił w naszej obecności. Wcale nie zadawalaliśmy się tym, co nam udostępniali Niemcy. Grzebaliśmy sami za wszelkimi dostępnymi dowodami...".

Potwierdził to profesor Palmieri z uniwersytetu w Neapolu, również członek powołanej przez Niemców międzynarodowej komisji. Za to profesor Markow z Sofii złożył po wojnie bardzo surową samokrytykę. Dał się wciągnąć w grę niegodną uczonego. Mocno uderzył się też w piersi profesor Hajdek z Pragi. Pojechał i podpisał, bo zmusili go do tego Niemcy.

We wrześniu 1943 r. wojska radzieckie oswobodziły Smoleńsk.

W Moskwie przebywała wtenczas pokaźna grupa korespondentów zagranicznych. Czekano na jakąś wzmiankę o Katyniu. Nic, milczenie trwało długo. Wreszcie w styczniu 1944 r. oznajmiono na urzędowym szczeblu, że droga na miejsce zbrodni jest wolna. Z zaproszenia skorzystało wielu. Wśród nich Kate Harriman, córka amerykańskiego ambasadora w Moskwie. Po powrocie Kate Harriman napisała.

„Zbrodnia w Katyniu jest dziełem Niemców".

W 1944 r. dla wyświetlenia okoliczności katyńskiego mordu utworzono komisję radziecką. Ta wkrótce orzekła, że polskich oficerów rozstrzeliwali Niemcy. I to w okresie od września do grudnia 1941 r. Wpływowe koła w Anglii i Stanach Zjednoczonych odetchnęły z ulgą i zgodziły się z tą wersją.

W kwietniu 1965 r. ukazał się w „Histoire pour tous" obszerny artykuł pióra Catherine Devilliers. Autorka przebywała we Lwowie w marcu 1941 r. W tym czasie władze radzieckie zwolniły polskich studentów więzionych w twierdzy w Brześciu nad Bugiem. Devilliers dowiedziała się od nich, że w jednej z cel przebywał w Brześciu Zbigniew Bogucki, jej bliski przyjaciel.

W 1944 Devilliers udała się z delegacją polskiej armii w Związku Radzieckim do Katynia. Tak o tym relacjonuje w „Histoire pour tous".

„...podłużny barak, w środku na stołach wyłożone fotografie zamordowanych, zeznania świadków, mundury, ołówki i notatniki. Dużo listów. I nagle ten wstrząs. W alfabetycznym spisie ofiar tej potwornej zbrodni odnalazłam pod „B" nazwisko Zbigniewa Boguckiego. Obok leżał jego list napisany na brudno do matki, z datą 6 marca 1940 r. Niemcy chcieli udowodnić, że oficerów uśmiercono w marcu 1940 r. A przecież Bogucki jeszcze wiosną 1941 r. przebywał w twierdzy nad Bugiem. Czyżby Niemcy popodrabiali dokumenty?".

A może doszło do pomyłki?

Tak twierdzi Maurice Rat, pisarz i historyk. Oświadczył kategorycznie, że na liście z nazwiskami 2730 zamordowanych oficerów nie ma Zbigniewa Boguckiego. Jest za to porucznik Feliks Bogucki i kapitan Kazimierz Bogucki. Madame Devilliers padła zapewne ofiarą jakiegoś niedopatrzenia.

9 maja 1943 r. Joseph Goebbels odnotował w swym drobiazgowo prowadzonym pamiętniku:

„Niestety, w grobach Katynia odnaleziono niemieckie kule. To amunicja, jaką dostarczaliśmy Rosjanom w okresie naszej przyjaźni z nimi. Oczywiście, Sowieci powrzucali ją do mogił. Wszystko to jednak jest tajemnicze i jeśli się wyda, cała sprawa Katynia się załamie".

Były to kule kaliber 7.65 marki „Geco Serie D". Z czasem wyszło na jaw, że niemiecka fabryka „Genschow" sprzedała do Związku Radzieckiego jeszcze przed wybuchem wojny duże partie pistoletów automatycznych 7,65, łącznie z amunicją. Właściciel fabryki Gustaw Genschow oświadczył po wojnie, że te pistolety z amunicją sprzedawał też do krajów bałtyckich. Ta broń wpadła potem w ręce Czerwonej Armii.

Sprzeczności, sprzeczności, jeśli Niemcy dokonali mordu już w 1941 r. z zamiarem zrzucenia winy na jednostki specjalne NKWD, to czemu czekali z ujawnieniem tej masakry aż do kwietnia 1943 r.?

W Katyniu odkopano 4183 ciała polskich oficerów. Tak podają źródła zachodnie. Wyłącznie na nie się powołuję. A co z resztą oficerów? Przecież do radzieckiej niewoli uprowadzono blisko 12 tysięcy oficerów. Jaki los ich spotkał, skoro nigdy nie zgłosili się do armii gen. Władysława Andersa? Gdzie i kiedy poznikali, nie pozostawiając żadnych śladów.

Załóżmy, że oficerów przewieziono do obozów pod Smoleńskiem. Dlaczego ich jednak nie ewakuowano? Czasu było aż nadto. Całe trzy tygodnie. Smoleńsk leżał w odległości 500 kilometrów od ówczesnej granicy Kraju Rad z Niemcami. Dwa inne polskie obozy, ale polskich żołnierzy, położone o 65 i 130 kilometrów od Smoleńska, władze radzieckie ewakuowały. Dlaczegóż więc te bliższe Smoleńska, pełne oficerów, zostawiono hitlerowcom jako łup i tytuł do chwały?

5.

Radziecki prokurator Pokrowski oskarżył na Procesie Norymberskim Niemców o popełnienie katyńskiej zbrodni. Jej sprawcą miał być pułkownik Arens. Odnaleziono go. W istocie nazywał się Ahrens. Udowodnił bez trudu, że w tym czasie wcale pod Smoleńskiem nie przebywał. Pokrowski wymienił nazwisko pułkownika Bedenka. To Bedenk mordował. Pułkownik udowodnił, że w krytycznym czasie pełnił służbę w całkiem innych rejonach. Argumentem o niemieckich kulach w grobach Pokrowski się nie posłużył.

Zeznania świadków oskarżenia zabrzmiały mało przekonująco. Wspominali o esesmanach umazanych krwią swych ofiar. Eksperci stwierdzili, że przy strzałach w tył głowy wydobywa się tyle krwi co nic. Pokrowski powołał się na radzieckie obozy dla polskich oficerów „ON-1-2-3", które znajdowały się pod Smoleńskiem. Nie potrafił jednak dokładnie ich zlokalizować. Nie dostarczył regulaminu tych obozów, zwykłych raportów o chorobach jeńców i ich zaprowiantowaniu. Słowem nie oparł się o żadną dokumentację.

Werdykt ogłoszono 30 września 1946 r. Trybunał Norymberski orzekł, że brak dostatecznych po temu dowodów, by zbrodnią w Katyniu obciążyć Niemców.

Wspomniany już Allain Decaux wysunął w swej książce tezę, że być może część polskich oficerów padła z rąk NKWD, druga zaś część została zamordowana przez Niemców. Do tak potwornej zbrodni był wszak zdolny zarówno Adolf Hitler jak Józef Stalin. Dość, że sprawa po dziś dzień tak ostatecznie zamknięta nie jest, choć co jakiś czas dodaje się do niej nowe jakieś szczegóły.

Jedno jest zadziwiające, hasła „Katyń" nie ma w „Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej". Nie ma też w 13-tomowej „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN", wydanej w latach sześćdziesiątych. Nie ma również tego hasła w wydanym w 1982 r. w Berlinie dwutomowym „Handlexikon". Są Lidice, jest Oradour, o Katyniu wolano zapomnieć. Klasyczny to bodajże przykład chowania głowy w piasek.

Ale jak to się powiada, prawda jak oliwa, wcześniej lub później na wierzch wypłynie. A prawda jest straszna, bolesna i okrutna. W Katyniu zginął kwiat polskiego narodu. Przytłaczająca większość zamordowanych oficerów nie przekroczyła 30 roku życia.

Jest „ekspertyza" i są dokumenty

W „Rzeczypospolitej" z 8 lutego 1989 roku ukazał się artykuł RYSZARDA WOJNY pt. „W imię rozsupływania...", którego fragmenty przytaczamy niżej.

„Od podjęcia prac przez partyjną komisję mieszaną minęło już sporo czasu. Nie możemy nie brać pod uwagę niecierpliwości społecznej. Wymiana zdań na temat prawdy o zbrodni w Katyniu i innych masowych zbrodniach popełnionych łącznie na około piętnastu tysiącach Polaków z obozów w Kozielsku, Starobielsku, Ostaszkowie (w tym 8300 oficerów), nie może już toczyć się dłużej tylko za zamkniętymi drzwiami w trakcie posiedzeń komisji mieszanej. Jako poseł, na dziesiątkach spotkań z wyborcami słyszę to samo pytanie: — dlaczego strona polska nie opublikowała dotąd swego stanowiska przedłożonego naukowcom radzieckim?!

Wiadomo mi zaś, że taki dokument, określany słowem „ekspertyza", historycy polscy przekazali swym kolegom radzieckim już blisko rok temu (...).

Informacja o stanowisku jakie zajmują naukowcy polscy w polsko-radzieckiej komisji mieszanej nie może być zastrzeżona nadal tylko dla uczestników radzieckich. Ma prawo znać to stanowisko oraz ujawnione nowe dokumenty całe społeczeństwo polskie.

Muszę tu dodać, że dużą rolę w dotychczasowym informowaniu społeczeństwa polskiego o przebiegu prac komisji, odegrały wypowiedzi publiczne przewodniczącego i członków polskiej części komisji (wywiady, referaty, odczyty, spotkania), dziś jednak to już nie wystarcza (...).

Publikując „ekspertyzę" polskich naukowców osłabimy nacisk bolesnych obarczeń na stosunki polsko-radzieckie. O trudnych fragmentach polsko-radzieckiej historii mówimy już od paru lat i obserwujemy, jak słabnie natężenie fal antysowietyzmu w Polsce. Ten związek przyczynowo-skutkowy napawa optymizmem.

I uwaga końcowa: pisząc to nie kwestionuję w żadnej mierze dobrych intencji, szczerości oraz woli dociekania prawdy przez radzieckich historyków w komisji mieszanej. Jest dobrym prawem naukowca zbadać wszystko aż do końca, by nie było żadnych niedomówień. (...)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Blinda, piraci i rekin ludojad

1.

Ten, kto sądzi, że era piratów skończyła się bezpowrotnie, jest w błędzie. Na morzach i wszystkich trzech oceanach piraci szaleją jak za starych, owianych legendą czasów. Ich ofiarą padają między innymi także polskie statki, o czym wspomniało „Wybrzeże" i „Panorama". Porwany został na przykład jacht „Asterias" biorący udział w uroczystościach dwóchsetlecia kolonizacji Australii. Sześcioosobowa banda wdarła się z kolei na pokład frachtowca „Lublin II" w Rio de Janerio terroryzując załogę i kradnąc cztery kontenery. „Jastarnię Bór" zaatakowano w Callao u wybrzeży Peru. Drobnicowiec „Leonid Teliga" przeżywał dramatyczne chwile w Lagosie, porcie nigeryjskim, który od kilkunastu lat cieszy się najgorszą sławą.

„Panorama" pisze:

„Trzech napastników, korzystając z ulewnego nocnego deszczu, wspięło się po cumach dziobowych na pokład. Podobnie jak w Callao, sterroryzowali oni marynarza wachtowego, przykładając mu do szyi maczetę, a do pleców pistolet. W tym czasie jeden z nich przeciął nylonowe liny, którymi statek przymocowany był do nadbrzeża. Napastników spłoszył jednak drugi marynarz, pełniący wachtę na przeciwległej burcie. Zdołał on zaalarmować oficera wachtowego i kilku innych członków załogi. Napastnicy rzucili się wówczas do ucieczki, raniąc jedynie lekko w rękę zatrzymanego marynarza".

Do połowy lat osiemdziesiątych odnotowano zaledwie około dwustu groźnych ataków pirackich na statki, po czym liczba ta wzrosła do ponad stu rocznie. Korsarze zaczęli mordować, wieszać, kłuć nożami, gwałcić, no i strzelać posługując się często nowoczesnymi rodzajami broni. Napadają na małe jednostki, ale napadają także na wielkie masowce i tankiery. Rozwalają sejfy kapitańskie, żeby wyłuskać z nich dolary, biorą zakładników. Grecki statek „Aekos" o wyporności siedmiu i pół tysiąca ton uprowadziło stu piratów na siedmiu dżonkach. Było to u wybrzeży Filipin, w rejonie szczególnie niebezpiecznym. „Aekos" miał w ładowniach koprę. Niemal cała załoga została wymordowana. Dwudziestu pięciu piratów wygrało bitwę z marynarzami pasażerskiego promu „Lourd" niedaleko portu Zamboang; prom został kompletnie ograbiony.

Korsarze operują najchętniej w cieśninie Malakka pomiędzy Półwyspem Malajskim a Sumatrą, ale nie brak ich także na Karaibach, na obydwu wybrzeżach Ameryki Południowej, na zachodnim wybrzeżu Afryki, na Morzu Śródziemnym w okolicach Libanu i na wyspach Oceanu Spokojnego. Giną bez śladu setki statków, jachtów i promów; giną bez śladu tysiące ludzi, a wśród nich tysiące kobiet wystawianych później bezimiennie na sprzedaż w miastach południowo-wschodniej Azji.

W tradycji korsarskiej utarło się, że piraci nie tylko napadają na inne statki, ale posiadają również własne. Otóż znawcy przedmiotu twierdzą, że sytuacja nie uległa pod tym względem zmianie. Tyle tylko, że morscy bandyci nie afiszują się już czarną banderą, o trupiej czaszce i dwóch skrzyżowanych piszczelach. Działają teraz ostrożniej: przechwytując statek natychmiast zmieniają mu flagę i nazwę, a potem uprawiają swój straszliwy proceder — grabią, mordują, szmuglują alkohol i narkotyki, dostarczają broń krajom, w których trwa wojna domowa; często są podobno w zmowie z kapitanami i armatorami, którzy przy ich pomocy wyciągają od towarzystw ubezpieczeniowych milionowe odszkodowania.

Polskie statki handlowe trzymają się w swych marszrutach pewnej rutyny — niebezpieczne wody należy przepływać w ciągu dnia, przy dobrej widoczności, a nie nocą, która jest ulubioną porą piratów. W portach o podłej opinii uważać trzeba tak przy kei, jak i na redzie, aczkolwiek praktyka wskazuje, że reda daje bandytom więcej możliwości do szybkiego, z góry zaplanowanego ataku. Kiedy nasz frachtowiec „Władysław Łokietek", stanął w końcu ubiegłego roku na redzie w Mombasie, agent, Kenijczyk, który wiele lat spędził w Polsce i doskonale radzi sobie z naszym językiem, uczulił kapitana Walkiewicza na możliwość pirackiej napaści.

Przyjęliśmy to z pewnym zdziwieniem, jako że w tamtych rejonach Oceanu Indyjskiego było dotychczas spokojnie. Teraz spokojnie już nie jest — zanotowano w Mombasie kilka groźnych aktów pirackich, w związku z czym kapitan wystawił podwójne wachty nocne i polecił włączyć pokładowe reflektory.

2.

Do Mombasy zawinęliśmy wprost z Dar es Salaam, stolicy Tanzanii. Dar es Salaam upadło podobno i zubożało od chwili, kiedy przepędzeni zostali Anglicy i w kraju zapanował tak zwany socjalizm plemienny. W Dar es Salaam nie wolno wynieść za bramę portową ani jednego jabłka i ani jednego ręcznika — wziąłbyś to ze sobą na plażę, ale ich celnicy uważają, że mógłbyś to sprzedać, co zakłóciłoby okropnie równowagę tamtejszego rynku.

W Dar es Salaam staliśmy jedenaście dni: wyładowywaliśmy samochody, maszyny do pisania i zgranulkowany tlenek aluminium, jednocześnie braliśmy sizal z manifestem przewozowym na Wybrzeże Kości Słoniowej. Prawie zawsze, kiedy wychodziłem do miasta, zaczepiała mnie u bramy dwójka lub trójka czarnych chłopców w mundurach, z karabinami gotowymi do strzału.

Mówiłem grzecznie w suahili:

— *Yambo!* (czołem)
— *Yambo.*
— *Karibu!* (witajcie)
— *Karibu.*

I jeden z nich, rozwalony na krześle z papierosem w zębach i świadomy swego posłannictwa, zaczynał przepytywać mnie w języku angielskim, bo w suahili znałem tylko zacytowane dwa słowa.

— *Imię?*
— A.
— *Nazwisko?*
— M.

Mogłem powiedzieć, żeby się odczepił, bo moje imię i nazwisko figurowało na przepustce, którą mu wcześniej wręczyłem. Ale nie powiedziałem, żeby się odczepił. Udzielałem wszelkich wyjaśnień z czarującym uśmiechem i niewzruszoną cierpliwością, gdyż zostałem pouczony, że tak trzeba.

— *Żonaty?*
— Tak.
— *Masz dzieci?*
— Mam.
— *Ile?*
— Jedno.
— *Chłopiec czy dziewczynka?*
— Chłopiec.
— *Pracowałeś kiedyś w wojsku?*
— Nie.
— *A w policji?*
— Też nie.
— *Co tam trzymasz w lewej kieszeni?*
— Nic.
— *A w prawej?*
— Papierosy.
— *No to daj zapalić.*

Dawałem.

— *Możesz odejść.*

Odchodziłem.

Niełatwo żyje się ludziom w Tanzanii. Ciężko o pracę, ciężko o pieniądze. Na ulicach pełno prostytutek, konfidentów i żebraków. Kurs dolara u cinkciarzy dwukrotnie przewyższa jego cenę bankową, ale każdy cinkciarz jest równocześnie szpiclem. W porcie roi się od prowokatorów usiłujących sprzedać ci kawę, heban albo kość słoniową, a potem napuścić na ciebie celników. Gdyby otworzono granicę, połowa obywateli opuściłaby natychmiast piękną Tanzanię. Dlatego też statki, które załatwiły już w Dar es Salaam wszystko, co miały do załatwienia, przeczesywane są dokładnie przez załogę w poszukiwaniu blindy.

Blinda to pasażer bez biletu, uciekinier, człowiek zrozpaczony i zdesperowany, gotowy postawić na szali życie, byle tylko wydostać się z tanzańskiego bądź jakiegokolwiek innego raju. Odnosiłem wrażenie, że kapitan i oficerowie naszego statku bardziej bali się blindy niż piratów. Przed odbiciem od kei i wyjściem w morze przeszukiwane były raz po raz wszystkie ładownie i wszystkie zakamarki. Szukano w dzień i szukano w nocy. Bosman obiegał z latarką pokłady, marynarze szperali w lukach, pod samochodami i kontenerami, sprawdzali łodzie ratunkowe i szalupy. Blindy nie wykryto, ruszyliśmy więc w krótką drogę z Dar es Salaam do Mombasy w dobrych nastrojach. Nie ma blindy, nie ma kłopotów. W czwartek wieczorem, 20 października 1988 roku zobaczyliśmy wybrzeża kenijskie. Rzuciliśmy kotwicę na redzie w basenie portowym, bo nie było dla nas miejsca przy nadbrzeżu. Na statku pojawili się natychmiast strażnicy kenijscy, aby strzec nas przed ewentualnym atakiem korsarzy, w których na dobrą sprawę nikt nie wierzył i nikt o nich w ogóle nie myślał. Na wszystkich natomiast podziałała wiadomość o rekinie — ludojadzie. Bestia ta buszowała od wielu tygodni w akwenie portowym dostarczając niemal

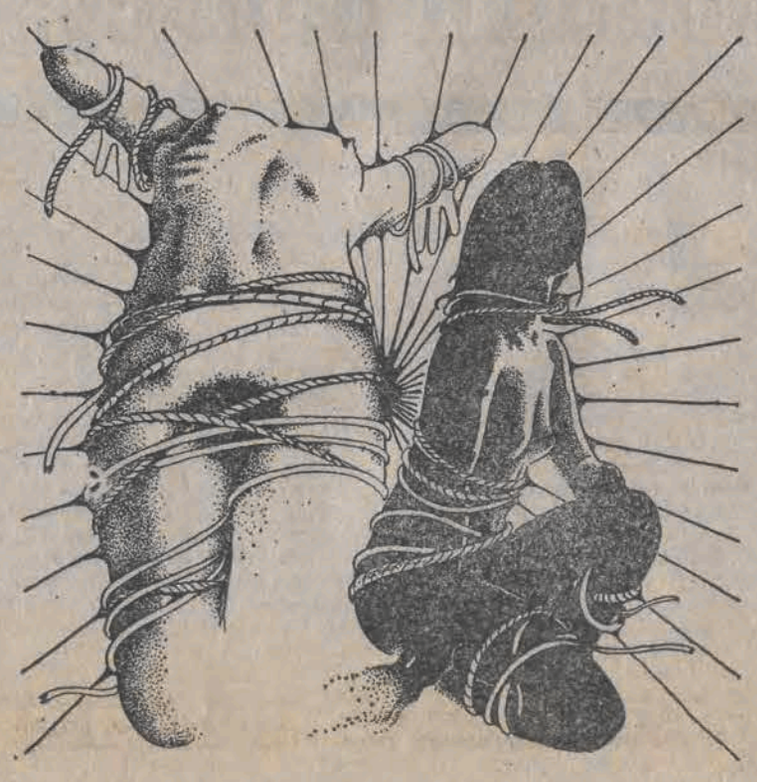

Rys. Dariusz Romanowicz

każdego dnia żeru dziennikarzom. Niemal każdego dnia gazety kenijskie donosiły o nowych wyczynach tej krwiożerczej bestii, zbierającej krwawe żniwo w najmniej spodziewanych punktach portu, niedostępnych na pozór i bezpiecznych. Polowała dniem i nocą, na redzie i na płyciznach przy brzegu. Płetwonurek naprawiający śrubę statku został wyciągnięty na pokład bez obu nóg. Zginęło kilku dokerów, policjant, celnik, chłopiec zażywający kąpieli. W przeddzień naszego przyjazdu bestia pożarła małe dziecko.

Rekin ten był najstraszliwszym piratem w Mombasie, najbardziej okrutnym i wyrafinowanym. Polowano na niego wytrwale przez cały okres naszego pobytu w Kenii, lecz umykał wszelkim pogoniom i uciekał z wszelkich pułapek, drwiąc sobie z ludzi i dalej poszerzając listę ofiar. Wciąż pisała o nim prasa i pisze być może o jego makabrycznych sukcesach do dzisiaj.

Wczesnym rankiem 21 października 1988 r., kiedy wciąż jeszcze byliśmy na redzie, ale czekaliśmy już na pilota i holowniki mające wprowadzić nas do portu, marynarze pokładowi, Marek i Daniel, usłyszeli stukot pod jedną z ładowni. Licząc od mostku kapitańskiego, była to ładownia pierwsza, widoczna z okien mesy pasażerskiej, w której akurat jadłem śniadanie. Na pokładzie pojawili się inni marynarze, a także oficer i lekarz. Pod ładownią ciągle stukało; mało było nadziei, że to szczur.

Oficer rozkazał otworzyć ładownię. Nigdy nie mogłem i dalej nie mogę uwierzyć, że w takim lochu, jednym z pięciu, jakimi dysponuje M.S. „Władysław Łokietek", mieści się bez trudu zawartość pociągu towarowego, i to takiego, który ciągnie za sobą osiemdziesiąt wagonów. Ale faktem jest, że się mieści; moja wiara jest tu bez znaczenia. Ładownia ma kilka poziomów, kilka szczelnie zamkniętych płaszczyzn i wiele bocznych, szczelnie zamkniętych ścian. Niełatwo jest otworzyć ładownię i odsunąć taką ścianę.

Z pokładu na pokład, z ust do ust obiegła statek ponura wieść:

— *Mamy blindę!*

Poszedłem zobaczyć blindę.

Wyszamotał się resztkami sił z odmętów ładunku, z duchoty, z ciemności, z więzienia, w którym nie miał wody ani pożywienia, z objęć śmierci, którą wolał widocznie, niż dalsze bytowanie w Dar es Salaam.

Leżał w dole, kilkanaście metrów poniżej szczytowej pokrywy lochu. Leżał na wolnej przestrzeni, która szczęśliwym zrządzeniem losu nie została przywalona setkami ton worów z garbnikiem, czy też sizalem. Leżał na wznak i patrzył w niebo, i nie miał na sobie nawet koszuli; miał na sobie tylko niebieskie złachane dżinsy i buty typu adidas. Był bardzo młody, nie skończył jeszcze chyba osiemnastu lat. Był Murzynem o stosunkowo jasnym odcieniu skóry. Był zaszokowany, zamroczony i chyba jednocześnie szczęśliwy, że przeżył.

Podniosłem do góry rękę gestem pozdrowienia, a on odwzajemnił ten gest. Potem odszedłem, żeby go nie krępować. Lekarz polecił spuścić mu na dół lekki posiłek. Kapitanowie, którzy dowiadują się, że mają na pokładzie blindę, wpadają zazwyczaj w szał: klną, wrzeszczą, złorzeczą, besztają pierwszych oficerów za pokpienie sprawy, czasem również dopuszczają się karygodnych czynów. Głośna była w całym świecie sprawa kapitana greckiego frachtowca, który, odkrywszy na statku kilkunastu blindziarzy, kazał ich powyrzucać za burtę. Było to w pobliżu lądu i można było żywić nadzieję, że blindziarze jakoś do niego dopłyną. Ale za dzielnie płynących blindziarzy wzięło się stado rekinów i zrobiło masakrę. Kapitan został oczywiście ukarany i poszedł do więzienia.

Nasz kapitan, młody, czterdziestoparoletni gość, nie wpadł w szał, nie stracił zimnej krwi i nie zwymyślał pierwszego oficera.

— *Niech on wyjdzie z ładowni* — powiedział.

Blinda wyszedł na pokład po wysokiej drabinie i zatoczył się z wyczerpania w ramiona marynarzy. Marynarze chwycili go mocno z obu stron za ręce, blinda bowiem ma ten zwyczaj, że kiedy dopnie już swego, to znaczy: ucieknie z jednego kraju i znajdzie się w drugim, to chce jak najszybciej zejść na ląd i zginąć w rojowisku wielkiego miasta. Jest to bardzo szczęśliwe rozwiązanie dla blindy i bardzo szczęśliwe rozwiązanie dla statku. Kapitan może odetchnąć: niech martwią się inni, niech go sobie szuka policja.

Jednakże względy humanitarne zadecydowały, iż musieliśmy wziąć naszego blindę do aresztu. Nie mogliśmy pozwolić mu na skok za burtę wiedząc, że gdzieś w pobliżu krąży rekin — ludojad. Gdyby bestia pożarła naszego blindę MS. „Władysław Łokietek" dostałby się na czołowe kolumny wszystkich dzienników świata. Poza tym widzieli już blindę strażnicy kenijscy, mający bronić nas przed korsarzami. Nie byliby z pewnością zachwyceni, gdybyśmy umożliwili mu ucieczkę. Dla nas blinda, dla nich potencjalny morderca lub szpieg, o którym natychmiast trzeba powiadomić policję.

Chłopak był straszliwie zapylony. Marynarze zaprowadzili go pod prysznic, ale nie pozwolili mu na luksus samotnej kąpieli, kąpał się przy nich. Potem zbadał go lekarz i został uwięziony w kabinie pilota na najwyższym piętrze hotelowej części statku, obok pomieszczeń radiotelegrafisty.

Odtąd przez dziesięć dni sprawiał wrażenie szczęśliwca, który wygrał los na loterii i zafundował sobie wczasy w luksusowym pensjonacie. Nie przeszkadzała mu niewola. Z okna mógł patrzeć sobie na zatokę, mógł leżeć sobie w wygodnej koi i czytać, tylko nikt nie wiedział, w jakim ewentualnie języku on mówi, i w jakim ewentualnie języku on czyta. Budził współczucie i sympatię załogi, ale w jego osiemnastoletnim mózgu powstał jakiś plan i trzymał się tego planu z żelazną konsekwencją. Palił głupa. Udawał, że nie zna ani słowa w angielskim i suahili. Porozumiewał się z nami na migi. Walił w drzwi, kiedy chciał iść do ustępu. Stewardzi donosili mu na tacy cztery razy dziennie posiłki, o których dotychczas mógł sobie najwyżej pomarzyć. Dostał piękną flanelową koszulę od ochmistrza, nowe białe spodnie od szefa kuchni i buty od starszego marynarza.

Dostał również wciry od kenijskich policjantów.

— *O.K.boy! Już my się zaraz dowiemy, co z ciebie za ptaszek?*

Zaczął dukać po angielsku. Wyznał, że nazywa się George Johnson. Nie skończył jeszcze osiemnastu lat. Jest Ghanijczykiem. Z Ghany uciekł na pokładzie algierskiego statku, nie wiedząc, że płynie do Tanzanii. Jego starszy brat, James, miał więcej szczęścia, bo udało mu się czmychnąć w charakterze blindy do Meksyku.

Ani policjanci, ani agent, ani załoga nie dali wiary opowieściom rzekomego George'a Johnsona. Znowu dostał wciry. Policjant wręczył mu ołówek, kartkę papieru, i wrzasnął:

— *Pisz, you fucken bloody son of a bitch!*

Blinda napisał wówczas krótkie i wstrząsające oświadczenie:

„Europe good, Africa bad. I want to go to Europe".

Policjant zmrużył oko i zapytał kapitana:

— *I co, weźmie go pan do Europy?*

Kapitanowi nie podobał się ten żart. Powiedział mi później:

— *Wolałbym stoczyć bitwę z piratami niż mieć tego blindę. Jeden blinda gorszy jest od całej zgrai piratów.*

Była to oczywiście przesada. Marynarze polskiej floty handlowej nie mają kompletnie nic, za pomocą czego mogliby się bronić przed napaścią korsarzy. Nie mają ani jednego karabinu, ani jednego rewolweru, ani jednego noża (poza nożem kuchennym). Są oczywiście rakietnice, ale to nie wystraszy pirata.

Faktem jest tak czy owak, że blinda zatruł kapitanowi spokój. Kenijczycy nie chcieli zwinąć chłopca z pokładu i zapudłować. Kapitan zwrócił się więc za pośrednictwem agenta do ambasady tanzańskiej w Nairobi. Przyjechała pani ambasador na koszt armatora i na koszt armatora wynajęła hotel w Mombasie. Kapitan przedstawił sprawę krótko i logicznie:

— *Mamy na pokładzie waszego obywatela. Nie do pomyślenia jest, aby wtargnął on do ładowni w Dar es Salaam bez udziału tanzańskich strażników i tanzańskich dokerów. Ktoś umożliwił mu ucieczkę, uwił mu gniazdo w sizalu i wziął za to łapówkę. Z Mombasy płyniemy do Durbanu w RPA, ale jesteśmy gotowi zboczyć z kursu i stanąć na redzie w Dar es Salaam, aby przekazać chłopca tanzańskiej policji.*

— *A skąd ja wiem, że on jest naszym obywatelem?* — broniła się druga strona.

— *Bo jest. Nie istnieje inna możliwość.*

Długo trwały targi i perswazje. Przestawaliśmy powoli wierzyć, że rozwiążemy ten problem. W perspektywie przewidywaliśmy, że blinda zawędruje z nami do Republiki Południowej Afryki, gdzie oczywiście nikt go nie przyjmie, potem do Abidjanu na Wybrzeżu Kości Słoniowej, gdzie nie tylko go nie przyjmą, ale w dodatku przyłożą nam grzywnę za szmuglowanie człowieka bez dokumentów, nie figurującego na liście pasażerów i załogi, potem te same kłopoty przeżyjemy we francuskim porcie Nantes, wreszcie dostaniemy po głowie w Gdyni, chyba że — jak to sugerował łagodnie kapitan — poręczy za niego Andrzej Makowiecki i weźmie go na Piotrkowską w charakterze adoptowanego syna lub kamerdynera.

Nie było jednak innej rady, jak wrócić na redę w Dar es Salaam. Stanęliśmy tam rano 1 listopada 1988 roku, we wtorek, w Święto Zmarłych. Zajrzałem od pokładu do kabiny pilota, gdzie siedział blinda. Słuchał radia, które dostał od radiotelegrafisty. Wstał na mój widok, spojrzał w okno i zatoczył wokół ręką dając znać, że wie, gdzie jest, że poznaje ten port, to wybrzeże i ten raj. Przeżegnał się. Na szyi miał medalik z Matką Boską; ucałował go. Marynarze dali mu listy polecające do polskich księży — misjonarzy pełniących w Dar es Salaam swoje szlachetne posłanie.

Dziewięć godzin, w napięciu i trwodze, czekaliśmy na łódź policji. Nadzieje topniały, lecz podpłynęła o czwartej po południu. Pięciu wysokich rangą policjantów wspięło się po sztormdrabince na pokład i weszło do kabiny kapitana. Niebawem marynarze wprowadzili tam blindę.

Oby tylko nie powybijali mu zębów — myślałem. — Tak czy owak, jeśli zechcą go zabrać, powędruje wprost za kratki.

Policjanci istotnie udawali, że nie chcą go zabrać. Sprawiali jednak wrażenie, jakby dobrze znali chłopaka, i nagle, ku osłupieniu Polaków, zaczęli z nim swobodnie i przyjacielsko rozmawiać w języku suahili.

A więc znał jednak ten język!

— *Whisky?*
— *Whisky.*

Muzułmanie niby nie piją, lecz przy pomocy whisky można rozwiązać w republikach islamskich każdy problem. Dostali parę butelek z funduszu reprezentacyjnego kapitana, powiedzieli good-bye i wzięli blindę do policyjnej łodzi. Miłosnym i dziękczynnym gestem blinda wzniósł do góry ręce, aby pożegnać się z nami.

Łódź odbiła w tumanach piany od burty M.S. „Władysław Łokietek". Odetchnęliśmy. Zaraz potem złe przeczucie zalęgło się w moim sercu. Policyjna łódź, zamiast popłynąć do brzegu, wzięła kurs w morze. Czyżby chcieli chłopaka zastrzelić lub utopić i pozbyć się w ten prosty sposób kłopotu?

I znów odetchnąłem.

Dwie mile od brzegu dryfował tanzański kuter rybacki do połowów tuńczyka. Policjanci przekazali blindę na pokład kutra i dopiero wówczas ruszyli do brzegu.

Chłopak miał zatem niebywałe szczęście. Jasne było, że nie trafi przed sąd, który skazałby go zapewne na piękną śmierć przez uduszenie. Jasne było, że nie pójdzie do więzienia. Dzięki polskim marynarzom przeżył wspaniałą przygodę i zdobył doświadczenie konieczne, aby powtórzyć ją w najbliższej przyszłości z powodzeniem.

■

ze str. 1

dowy największego obiektu, 17-piętrowego szpitala. Spodziewano się już wówczas, że **opóźnienia będą narastać.**

Jednocześnie powstał problem „opracowania aktualnych wytycznych", wobec częściowej dezaktualizacji projektów CKD, które przestały w pewnej mierze odpowiadać rzeczywistości, czyli powstającym, wznoszonym na placu budowy obiektom. Dlaczego? Poglądy są rozbieżne. Projektanci z MBP uważają, że inwestor dopuszcza się zmian i przeróbek, podyktowanych wygodą i brakiem materiałów, lecz najzupełniej nie uzgodnionych. Inwestor, czyli **Zarząd Inwestycji Akademii Medycznej** jest zdania, iż przeróbki są następstwem braków w dokumentacji projektowej. W efekcie — podkreśla ówczesna dyrekcja ZIAM — wykonawcy muszą sobie radzić bez projektów, zaś spóźniającym się architektom nie pozostaje nic innego, jak dostosować się do „zastanego".

W ciągu następnych miesięcy i lat konflikt na linii projektodawca — inwestor przybiera na sile. Dochodzi w końcu do zerwania współpracy. Dyrekcja ZIAM zleca więc projekty różnym specjalistycznym biurom i organizacjom (np. TNOiK z Kalisza), aż wreszcie sama przejmuje rolę wiodącą w tym zakresie, starając się zorganizować własny zespół projektowy.

Szpital na peryferiach

W tym czasie ujawniają się błędy w dokumentacji technicznej szpitala klinicznego, co spowodowało „zaradcze wdrożenie projektu zamiennego, który zasadniczo zmieniał konstrukcję IV i V piętra. Wyżej wymienione zmiany spowodowały znaczny, bo sięgający ok. 10 mln zł wzrost kosztów budowy i opóźnienie ponad 1,5 roku". Ekspertyza budynku C1 (pralnia i kuchnia) wykazała natomiast, że „wykonanie prac budowlanych według pierwotnych założeń groziło katastrofą ścian" — jak głosi sprawozdanie z działalności pełnomocnika do spraw budowy CKD za 1985 rok.

O skali trudności, spowodowanych niezgodnością projektów z wykonawstwem, daje pojęcie zestawienie, sporządzone przez dyrekcję ZIAM w grudniu 1983 roku. Na ogólną ilość 1050 opracowań — podaje zestawienie — nieaktualnych jest 311, a wymagających aktualizacji — 123. Wartość zbędnych opracowań wyceniono na około 18 mln zł.

Zanim doszło do takiej sytuacji, miało miejsce jeszcze jedno, kuriozalne zdarzenie, spowodowane już nie tyle niezgodnością projektów i wykonawstwa, co drastycznym brakiem porozumienia na linii użytkownik (czyli Akademia Medyczna) i projektodawca (MBP).

Na początku 1980 roku, gdy budowa była już opóźniona w stosunku do harmonogramu o 42 mln. zł, dokonano nadzwyczajnego odkrycia.

Okazało się, że zaprojektowany wieżowiec będzie właściwie za duży! O dwa piętra za wysoki w stosunku do potrzeb!

Nie rozstrzygajmy, kto zawinił. Dość, że należało teraz ponownie wprowadzić poprawki do ogólnej koncepcji Centrum. Liczba planowanych łóżek powiększa się w ten sposób do 1600. Planowanych, to nie znaczy, iż zatwierdzonych. Z tym ostatnim trzeba poczekać. **W Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej** nie śpieszą się z akceptacją. Więcej łóżek oznacza wyższe koszty. A z pieniędzmi jest coraz gorzej. Są to przecież najgorsze lata kryzysu.

W obliczu gospodarczego krachu, niepewnej sytuacji politycznej, braku środków, dochodzi do głosu koncepcja etapowego uruchamiania CKD. W części dotyczącej wieżowca ma ona dwie wersje. Wcześniejszą przewiduje jego podział na dwie oddzielne „kostki". Propozycja zmiany „układu szpitala", motywowana w dużej mierze przewidywanymi trudnościami technicznymi przy budowie jednolitej bryły, zostaje przez władze ministerstwa odrzucona. Uzasadnia się to m.in. zaawansowaniem prac według dotychczas obowiązującego projektu.

Wersja późniejsza, lansowana w 1984 roku, zakłada podział bryły wieżowca na trzy pionowe segmenty. Umożliwić to miało skupienie sił na wykończeniu pierwszego z segmentów, aby jak najwcześniej — już w 1986 r. — oddać go do użytku, kontynuując potem wykańczanie następnych segmentów bloku łóżkowego.

I na tę wersję nie zdołano uzyskać zgody. Władze spoglądają na budowę CKD coraz to podejrzliwiej. Jest to już przecież rok, w którym — wedle pierwotnych planów — miało nastąpić oddanie szpitala do użytku. Zamiast spodziewanego (przez nie zorientowanych optymistów) końca, **przesunięto termin zakończenia budowy o 7 lat — do 1992 roku.**

Tymczasem, jak na trwającą dziewiąty rok inwestycję zbyt wiele jest niewiadomych. Nie chodzi o jakieś ważne, lecz trudne dla laika szczegóły konstrukcyjne. Chodzi o projekt użytkowy, którego brakuje od początku wznoszenia CKD. Trwają bezustanne dyskusje, którą klinikę umieścić na jakim piętrze i z której strony budynku. Grono ekspertów uczelni, przez innych nazywanych amatorami, ma na ten temat zmienne poglądy. Dodajmy do tego fakt, iż w dalszym ciągu brakuje akceptacji ogólnej liczby łóżek, przeznaczonych dla pacjentów Centrum. Przypomnijmy i to, że przerwana została współpraca z generalnym projektantem. Będziemy mieli daleko niepełny obraz problemów, z jakimi przyszło borykać się na budowie.

Aby ten obraz jeszcze przybliżyć, kilka zdań o strukturze administracyjnej, która ma wpływ na proces inwestycyjny. Trzy są zasadnicze elementy tej struktury. **Władze Akademii Medycznej** (rektor oraz prorektor ds. rozwoju uczelni) czyli przyszły użytkownik Centrum. Dyrekcja **Zarządu Inwestycji Akademii Medycznej,** czyli inwestor, podlegający — wbrew swojej nazwie — bezpośrednio ministerstwu, z pominięciem władz uczelni. Wreszcie, powołany w 1981 r. **pełnomocnik MZOiS ds. budowy CKD,** w osobie prof. **Henryka Rafalskiego z AM.**

Wymienione powyżej stanowiska i instytucje tworzą „zespół koordynatora zamierzenia inwestycyjnego". W tak zorganizowanym „zespole" wykorzystuje się wiele różnych dróg przekazywania poleceń, sugestii i propozycji; tym bardziej, gdy uwzględni się działalność zespołu ekspertów przy władzach AM. Stąd chwiejność cząstkowych koncepcji, częste zmiany fragmentarycznych programów użytkowych, korekty do uzgodnionych już założeń itp. Wszystko to nakłada się niejako na wspomniane kłopoty projektowe, potęgując bałagan.

Na dodatek pojawiają się, jeden za drugim, anonimy.

Adresowane wysoko, **do Urzędu Rady Ministrów.** W ślad za nimi zjawiają się kontrole: najpierw wewnętrzna, potem partyjno-rządowa i NIK. Ostrze zarzutów skierowane jest przeciwko dyrektorowi ZIAM — **Andrzejowi Szkudlarkowi.** Nie powiem ani słowa o charakterze tych zarzutów, bowiem nie zostały udowodnione. Śledztwo, prowadzone przez **Prokuraturę,** umorzono. **Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej udzieliła dyrektorowi nagany, którą — po odwołaniu się zainteresowanego — anulowała.**

W lipcu 1985 r. nastąpiła jednak **zmiana dyrekcji ZIAM.**

Podziękowano również za duże zasługi w budowie CKD pełnomocnikowi ministerstwa, prof. **Henrykowi Rafalskiemu,** likwidując powierzone mu przed kilku laty stanowisko. Motywacja jest następująca: ZIAM, zgodnie z nową ustawą, podlegać ma odtąd władzom uczelni, stając się służbą inwestorską rektora; stąd też stanowisko pełnomocnika traci rację bytu.

Rzeczywiście, w **1985 r.** następuje **uproszczenie struktury zarządzania inwestycją.** Jedyną władzą na budowie CKD staje się kadencyjne i wybieralne kierownictwo Akademii Medycznej w Łodzi. Podlega mu teraz ZIAM, w którym „rządy" przejmuje dyrektor **Jerzy Poprawski.** Nowy dyrektor zwalnia wszystkich dotychczasowych pracowników Zarządu (ok. 40 osób) ponieważ — jak twierdzi — są oni zatrudnieni na wyjątkowo dziwnych zasadach, nie ujętych przepisami. W szczególności dotyczy to ich zarobków.

Wielu zwolnionych pracowników ZIAM odchodzi na inną wielką budowę: **CZMP.**

Nowa dyrekcja nawiązuje kontakty z MBP; dochodzi wkrótce do wznowienia współpracy. Odrzuca się pomysł podziału szpitala na 3 segmenty. Krystalizuje się natomiast inna, najogólniejsza koncepcja, nie zmieniana odtąd do dnia dzisiejszego. Przewiduje ona oddawanie poszczególnych obiektów w całości, poczynając od zaplecza technicznego (pralnia, kotłownia, kuchnia, telefony, tlenownia itp.). Główny budynek, czyli blok łóżkowy, ma być ukończony jako ostatni. Jest to więc kolejność odwrotna, aniżeli na budowie CZMP.

Odmienne jest teraz podejście władz uczelni. Zgodziły się one, że skoro rzeczywistość na budowie jest taka, iż nie można uniknąć szarpaniny na linii wykonawca — biuro projektów, to chociaż użytkownik nie powinien już dawać powodów do zmian (koncepcji użytkowej). Nowy prorektor ds. rozwoju AM, prof. **Jerzy Mikucki,** deklaruje wręcz: „ — Od czasu, gdy nastałem, skończyły się zmiany wprowadzane przez uczelnię".

W 1985 r. udaje się wreszcie zatwierdzić w ministerstwie podstawowe dla CKD dokumenty. Wiadomo odtąd, co ma być zbudowane w ramach poszczególnych przedsięwzięć i zadań, gdzie jaką umieścić klinikę, ile ostatecznie łóżek mieścić się będzie w budynkach kompleksu.

Akceptację ministerstwa uważa się za sukces, kończący boje o kształt Centrum. Przyznajmy, że jest to późny sukces. **Od rozpoczęcia budowy minęło 10 lat.**

Co, w wymiarze materialnym, zrobiono przez te 10 lat? Nie chciałbym, by z tej lektury wyniosło się wrażenie, że nie zrobiono do końca niczego. To nieprawda. Wymieńmy najważniejsze obiekty: **Klinika Psychiatryczna i Zakład Medycyny Nuklearnej** (1984) oraz **Zakład Mikrobiologii, Immunologii i Zwierzętarnia** (1986 r.). W ciągu następnych lat oddano do użytku **pralnię** wraz ze zbiornikiem zrzutowym i **stację uzdatniania wody.** Obecnie prowadzi się roboty wykończeniowe na kilku innych, ważnych obiektach. Najważniejsze jednak, że zakończono prace budowlano-montażowe na głównym budynku szpitala.

Wieżowiec jest zatem pod dachem.

Niestety, stanowi on nadal problem, z którym trudno się będzie uporać. Nadal nie widać perspektyw oddania go do użytku. Ściślej biorąc, perspektywy takie istnieją, ale są obecnie na tyle odległe, że aż trudno się zdobyć na odwagę, by je bliżej określić.

Zdobądźmy się na odwagę: **w grę wchodzą lata po roku 2000, być może nawet 2003—2005.**

Dlaczego?

Brakuje ludzi do robót wykończeniowych. Załogi **„Budopolu"** i **„Montoprzemu",** uzupełniane grupami partnerskimi i rzemieślnikami, liczą w sumie nie więcej, niż 200 osób. Dyrektor **Jerzy Poprawski** ocenia, iż gdyby na budowie pracował okrągły tysiąc, wówczas „rok 1992 lub 1993 byłby kontaktowy". Na razie nie ma „kontaktu" nawet z końcem stulecia...

Z dramatycznej sytuacji zdaje sobie sprawę **Senat Akademii Medycznej.** Oto fragment Uchwały Senatu, przyjętej na posiedzeniu w dniu **17 listopada 1988 r.:**

„Obecna obsada w wysokości 200 pracowników nie pozwoli na ukończenie głównych nawet obiektów do roku 2000, a prawdopodobnie nawet do roku 2005. Taki tryb realizacji Centrum stanowiłby nieprawdopodobne marnotrawstwo poniesionych do tej pory nakładów, co oznaczałoby zmarnowanie gigantycznego wysiłku państwa, resortu MZiOS oraz miasta Łodzi".

O tym, że słowa o marnotrawstwie nie są rzucone na wiatr, świadczy wyliczenie, przytoczone przez prof. **H. Rafalskiego.** Wynika z niego, iż koszty budowy I przedsięwzięcia CKD, szacowane w 1984 r. na **8,6 mld zł,** w następnym roku (po przeliczeniu wg aktualnych cen) wzrosły do **16,9 mld zł** — zostały więc podwojone bez zasadniczych zmian zakresu rzeczowego I przedsięwzięcia!

Dyrekcja ZIAM liczyła bardzo na pomoc fachowców, zatrudnionych na budowie **CZMP.** Spodziewano się, że nadejdą już w czerwcu 1988 roku, wraz z zakończeniem **Szpitala-Pomnika.** Nie nadeszli do dziś. Dlaczego — nie wiadomo.

Brakuje jednak nie tylko fachowców. Także pieniędzy. Przykład z ostatnich miesięcy: **już w październiku 1988 r. wydano środki, przeznaczone na cały rok.** Zaczęły narastać długi. Na szczęście, w grudniu przyszedł ratunek. Poskutkowały interwencje, podjęte na szczeblu centralnym dzięki pomocy **Rady Patronackiej CKD.** Uzyskano w ten sposób dodatkowo 500 mln zł. Długi chwilowo zniknęły.

Bez Rady Patronackiej CKD, powołanej w 1986 r. przez premiera Zbigniewa Messnera, byłoby znacznie gorzej. Powołano ją, **by przydały się „indywidualna pomoc i wsparcie członków Rady w rozwiązywaniu problemów realizacji CKD", jak głosi oficjalne sprawozdanie. Wymienia ono również, jako osobę szczególnie zasłużoną** w niesieniu pomocy, prof. **Kazimierza Secomskiego,** członka Rady Państwa, wiceprzewodniczącego Rady Patronackiej.

Bardziej wprost o potrzebie istnienia Rady mówi **Jerzy Poprawski:**

— Trzeba było stworzyć układy, bo każda budowa w Polsce jest nienormalna, lecz ta szczególnie, więc bez stałego poparcia w stolicy nie można się obejść.

To samo, tylko bardziej dyplomatycznie, mówią inne osoby, związane z pechową inwestycją. Jest to właściwie oczywiste: skoro fundusze są przyznawane, trzeba zapewnić sobie wpływ na osoby, mające wpływ na przyznających.

Prawdziwa batalia o fundusze dopiero się zaczyna.

W 1989 r., zaplanowano prace, na które trzeba będzie wydać 4 mld. zł.

Prawie dwukrotnie więcej, niż miało pierwotnie kosztować całe CKD. Dla porównania: tegoroczny budżet ministerstwa zdrowia wyniesie prawdopodobnie **10 mld zł.**

Prorektor ds. rozwoju, prof. **Jerzy Mikucki,** powtarza kłopotliwe pytanie, które łódzkie kobiety zadają decydentom. Pytają one:

— Gdzie mamy leczyć żylaki, wątrobę, choroby układu kostnego, schorzenia słuchu? Czy w Matce-Polce, gdzie położnictwo i ginekologia?

Profesor **J. Mikucki** ma na to gotową odpowiedź:

— Nie w CZMP, tylko w CKD, gdzie w bloku łóżkowym mieścić się będzie 23 klinik i oddziałów.

Nie psioczmy zatem, że podobnych szpitali-molochów jak CKD nie buduje się już na świecie. Wtedy, gdy projekt szpitala powstawał, taka właśnie była moda.

Przyjmijmy też do wiadomości, że oprócz braku pieniędzy i fachowców, będą do pokonania wielkie trudności techniczne, spowodowane ogromem szpitala i brakiem dewiz na wyposażenie techniczne z Zachodu, z myślą o którym CKD projektowano.

Skoro wyrosło nam Centrum, trzeba je szybko skończyć. Zbyt daleko zabrnięto już w tę budowę. Zbyt dużo czasu zostało stracone.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Grzegorz Gałasiński PREZENTUJE:

Karnawał w przedszkolu

Bawią się dzieci w przedszkolu nr 164 w Łodzi.

ENDRE ADY

Wzleciał paw

(W 70 rocznicę śmierci)

„Wzleciał paw nad dachy gmachu komitatu,
Wielu biednym chłopcom wolność w głowach lata"...

Dumny pawiu z piórem jak słoneczne lśnienie!
Ogłoś że nam wieści, że się jutro zmieni,

Że się jutro zmieni, że czasy się zmienią
I że nowe oczy światu się zaśmieją.

Nowy wicher wstrząśnie prawęgierskim drzewem.
Czekamy jak cudu nowego powiewu.

Albośmy szaleńcy, albo przyjdzie zginąć,
Albo nasza wiara już się wcieła w czyny.

Nowe znicze, myśli, mity, święci nowi,
Albo istniejecie, albo ście baśniowi.

Albo komitatu starość grom naruszy,
Albo wciąż niewolne będą nasze dusze,

Albo nowe myśli słowom zaszczepicie,
Albo żyć nam trzeba smutnym, dawnym życiem!

„Wz'eciał paw nad dachy gmachu komitatu,
Wielu biednym chłopcom wolność w głowach lata..."

Z węgierskiego przełożył:
TADEUSZ FANGRAT

Półka z książkami

DZIEJE ALBANII

Na pytanie: który z krajów Europy jest dziś najbardziej tajemniczy i egzotyczny, można śmiało odpowiedzieć — Albania. Dlatego dobrze się stało, że **Adam Kosecki** przygotował, a „Wiedza Powszechna" wydała pracę pt. **„Albania. Krótki zarys dziejów"**. Poczynając od zarania dziejów, a kończąc na śmierci Envera Hodży, można prześledzić rozwój społeczno-gospodarczy kraju zamieszkałego przez „synów orłów" — jak nazywają siebie Albańczycy. Myślę, że ta publikacja zainteresuje nie tylko historyków.

Adam Kosecki: Albania. Krótki zarys dziejów. Wiedza Powszechna 1988. Str. 254. Cena 700 zł.

PIĘKNI, DWUDZIESTOLETNI

Książka, na którą czekaliśmy ponad dwadzieścia lat, i która w latach sześćdziesiątych mogła być bestsellerem, natomiast dziś jest tylko dokumentem o chorobie **Marka Hłaski**, jego chorobie „na Polskę". Bo tak naprawdę — gdziekolwiek był — zawsze był w Polsce. I ta książka, czasami zawierająca oceny kontrowersyjne, pełna goryczy i żalu, jest tego najlepszym dowodem. Szkoda, że wydano ją u nas tak późno, dobrze, że wreszcie.

Marek Hłasko: Piękni dwudziestoletni. Wyd. ALFA 1988. Str. 176. Cena 520 zł.

Oprac. E. IW.

Pozwólcie im przemówić!

W dniach 4 i 5 lutego w Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego odbył się zjazd przedstawicieli młodej literatury z całej Polski, którzy mieli radzić nad tym, w jaki sposób zintegrować środowisko młodych twórców oraz w jaki sposób doprowadzić do aktualnego zaprezentowania tego środowiska szerszej publiczności. Całość pilotowała redakcja miesięcznika „Konfrontacje".

Organizatorom spotkania udało się pozyskać dla swej idei środki masowego przekazu. Przybyli sprawozdawcy z Teleexpressu i filmowali tłum młodych poetów, prozaików i krytyków literackich. Wszystkich namówiono do dwóch pozytywnych reakcji — jednego wzniesienia ręki w odpowiedzi na pytanie ilu jest poetów na sali?, i jednego okrzyku: „taak!", wywołanego zapytaniem czy chcą mieć własne pismo? Większość zgromadzonych podporządkowała się temu ochoczo dla dobra przedsięwzięcia.

Sprawą pierwszorzędnej wagi było omówienie możliwości stworzenia pisma młodoliterackiego, które wypełniłoby lukę, po rozwiązanym nieoczekiwanie dla zainteresowanych, przed kilkoma laty **„Radarze"**. Nikt z zebranych nie miał wątpliwości, że takie pismo jest konieczne, by tzw. „pokolenie porażnych" (użył tego określenia jeden z poetów biorących udział w dyskusji — **Marcin Hałaś** z Bytomia), czyli pokolenie dwudziestokilkulatków miało możliwość zaistnienia na arenie literackiej kraju, by udowodnić — jak zaznaczył inny z uczestników, jeden z redaktorów uniwersyteckiego pisma **„Enigma"** — że to co twierdzi propaganda: młodej literatury nie ma i dlatego jej nie drukujemy — jest nieprawdą.

Szereg postulatów powtarzało się w wypowiedziach kolejnych dyskutantów. I tak pani **Anna Piwkowska** (uprzednio związana z „Radarem") twierdziła, iż obecnie nie ma miejsca dla prezentacji młodych twórców, gdyż periodyki które istnieją zamknięte są dla młodzieży. Zaproponowała, by stworzyć gazetę młodych, a nawet kilka opozycyjnych pism. Twierdziła w dalszej części wypowiedzi, że wisi nad takim przedsięwzięciem określone zagrożenie, by zespół redakcyjny nowego pisma nie stał się kolejnym kółkiem wzajemnej adoracji.

W wypowiedziach, oprócz stwierdzeń dotyczących konieczności powołania do życia pisma, padały również bardzo konkretne propozycje dotyczące jego zawartości. Tyczyły one problemu nieodcinania młodej literatury krajowej od szerszego kontekstu światowego, położenia nacisku na silny dział krytycznoliteracki, promowania jednego konkursu, który umożliwiałby wyłanianie najlepszych tekstów; by było to pismo nie pozbawione akcentów społecznych; by od czasu do czasu zamieszczać gorsze, lecz bardziej popularne „kawałki", które umożliwiłyby sprzedanie numeru.

Większość zarówno zabierających głos jak i wypowiadających się wprost z sali (co czasami sprawiało wrażenie ogólnego tumultu i zmuszało organizatorów do zaprowadzania porządku) niechętnie widziała mecenasa w państwie, w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Przywoływano argumenty, że zawsze jest coś za coś, że w ten sposób umożliwiłoby się wszelaką ingerencję i narzucenie określonego profilu. Padały propozycje zdobywania pieniędzy poprzez pozyskiwanie ofiarodawców, przez ujęcie całego ruchu młodoliterackiego w ramy posiadającego status prawny stowarzyszenia. Stwierdzono, że „Konfrontacje", które w rozliczeniu gospodarczym mają niewielki dochód, nie udźwignęłyby takiego ciężaru, jakim byłby dodatek literacki z ambicjami promowania młodych bez, co jest oczywiste, nazwisk mówiących cokolwiek komukolwiek.

W drugiej części obrad, które rozpoczęły się po przerwie, w o wiele mniej licznym składzie, zaproponowano zaapelowanie do Sejmu, jednak sprawa została zepchnięta z głównego toru dyskusji i apel krążył jedynie między uczestnikami licząc na ich przychylność wyrażoną podpisem.

Symptomatyczne było to, że na zaproszenie skierowane do wydawców odpowiedział jedynie dyrektor „Iskier". Ten fakt świadczy o zainteresowaniu wydawców problemami młodych twórców.

Dyskusja zdominowana została przez poetów, a głównym jej problemem — niemożność zadebiutowania, zjawisko wiecznego debiutanta. Głos zabrało także dwóch czy trzech prozaików, lecz nie usłyszałam, by ktokolwiek przedstawił się jako początkujący krytyk literacki. Toteż obrady w pewnym stopniu stały się bardzo jednostronne.

Ciekawą okazała się wypowiedź **Krzysztofa Pysiaka**, który stwierdził, że istnieje szansa, by młodzi mogli wreszcie coś powiedzieć. Zwrócił się bezpośrednio do sali słowami: „Musicie coś z tym krajem zrobić". Powiedział, iż pismo wyłącznie estetyczne nie ma racji bytu w naszej rzeczywistości, że pisarze powinni się skupić, by wyprowadzić kraj z kryzysu. Zauważył dalej, iż pismu musi o coś chodzić, powinno przydać się krajowi.

Oprócz propozycji ujęcia ruchu w ramy stowarzyszenia, która wysunął **Tomasz Boguś** (za którą opowiedział się jeden z inicjatorów, współredaktor „Konfrontacji" Adam Kowalski), postulowano również utworzenie kawiarni poetyckich, literackich, literacko-muzycznych, a nawet festiwalu poezji z prawdziwego zdarzenia, coś na kształt opolskiego koncertu debiutów, padały propozycje poetyckiej reklamy w formie videoclipów.

Wszystkim tym wydarzeniom towarzyszyło ogólne poruszenie i podekscytowanie sali, która żywo reagowała na słowa dziesięciominutowych wystąpień mówców. Tym, którzy nie zdołali pozyskać sympatii widowni dziękowano gwałtownymi brawami.

Jednak niektórych nie było to w stanie powstrzymać przed dokończeniem zaczętych myśli.

Na zakończenie pierwszego dnia obrad zabrał głos Adam Kowalski wyjaśniając, że dlatego „Konfrontacje" zajęły się próbą zjednoczenia ruchu młodoliterackiego i utworzenia pisma mającego stać się jego trybuną, gdyż w redakcji miesięcznika pracują cztery osoby z byłej redakcji „Radaru" i właśnie oni otrzymali propozycję (nie powiedział przez kogo wysuniętą) zajęcia się ruchem artystycznym. Zaproponował wyłonienie trzech grup problemowych: pierwszej zajmującej się kontaktami między środowiskami, drugiej — krytyka literacka oraz trzeciej mającej zająć się uruchamianiem nowego pisma. Poinformował, iż organizatorzy otrzymali deklaracje pomocy od pism i telewizji, ośmiu domów kultury, czterech prywatnych kawiarń, jednej księgarni, która ma zająć się promocją debiutantów.

ANNA POLAKOW-NEJMAN

Ostatnia?

85-letni **Graham Greene** zapowiedział, że będzie to jego ostatnia powieść. W oryginale angielskim powieść nosi tytuł: **„The Captain and the Enemy"** (Kapitan i nieprzyjaciele), zaś wiedeński wydawca książki w niemieckojęzycznej wersji dał tytuł: **„Ein Mann mit vielen Namen"** (Człowiek o wielu imionach). Zarówno jeden jak i drugi tytuł oddaje istotę treści i postawy bohatera. Jest to rzeczywiście człowiek o wielu imionach, a prawdziwego nie poznajemy nigdy. Występuje jako kapitan, pułkownik, to znów jako Mr Smith. Nieprzyjaciół, z którymi musi walczyć kapitan jest też bardzo wielu, a pole bitwy nie zawsze cieszy się dobrą sławą. Jego egzystencja ma w sobie coś anonimowego. Na początku jest małym oszustem, który naciąga hotelarza i kradnie w supermarkecie to, co jest mu potrzebne w gospodarstwie, lecz w końcu odnajdujemy go w drogim hotelu w Panamie, kiedy posiada do swojej dyspozycji własny samolot. Jednakże za tym tajemniczym i barwnym życiem poza prawem kryje się osobliwie wzruszająca opowieść miłosna.

Graham Greene napisał dzieło mistrzowskie. Wiele luk w opowieści stanowi wyrafinowany środek wzmagania napięcia, budowania tajemniczej atmosfery. W bohaterze ostatniej powieści Greene'a rozpoznajemy wiele postaci z jego wcześniejszych książek.

Oprac. M. B.

PESTKI DYNI

Zainteresowanie ludzi diabłem jakby znowuż wzrosło. Papież poświęca mu sporo uwagi, Hamilton w „Kulturze" też, na świecie, szczególnie w Ameryce Północnej i RFN powstają sekty wyznawców i kluby fanów, pisze się o nim rozprawy naukowe... Zainteresowanie diabła ludźmi nie zmalało, bo zmaleć nie mogło; cóż by wreszcie szatan robił, gdyby nie my wszyscy — i najświętsi (osobiście nie wierzę, by takowi jeszcze istnieli) i najgrzeszniejsi?

Moja sympatia do diabła jest tak stara jak ja sam, a może jeszcze starsza, bo nic mi nie wiadomo o tym, żeby w mojej rodzinie, na przestrzeni wieków urodził się jakiś święty czy uchowała święta. Zdecydowanie wolę diabła intelektualistę, konkwistadora, przewrotnego deprawatora, fałszerza, rozpustnika, szulera, pirata... Nie cierpię ludowych amatorów, służalców, chytrych cwaniaków i diabłów głupich; tych ostatnich szczególnie! Także tych z Kosmosu! Niezmiernie rzadko udaje mi się polubić diabła-artystę, bowiem wśród tego gatunku prawdziwych Szatanów jest niewielu, reszta to pospolici „źli"... Nawiasem mówiąc bardzo przywiązałem się do bułhakowskiego Wolanda i jego świty, lecz to już jest zgoła inna historia...

Jestem więc za diabłem tradycyjnym, znajomym, acz nie za każdym. Dlatego poruszyły mnie wieści z Turynu. Otóż w tej siedzibie FIATA — również stolicy Piemontu, zatem prowincji, w której czarna magia i sprawy nadprzyrodzone są na porządku dziennym — zorganizowano niedawno międzynarodowy kongres na temat diabła:

„Impreza ta „Diabolos, Dialogos, Daimon" miała aspiracje stać się czymś więcej niż popularne ostatnio we Włoszech „szatańskie jarmarki". Aby rozwiać wątpliwości — głównie ze strony Kościoła katolickiego — co do naukowego charakteru kongresu, jego uczestnicy w ostatniej chwili skreślili z programu kilka spektakli teatralnych i imprez ku czci czarta. Turyńska kuria poleciła duchownym katolickim nie brać udziału w dyskusjach o diabłach. W rezultacie impreza miała charakter tak sterylny, że diabeł, ku rozczarowaniu wąskiej grupy wyznawców, ani nie przybył osobiście, by wziąć udział w otwarciu kongresu, ani nie przysłał żadnego ze swych przedstawicieli. A może wyznawcy źle go szukali?"

Bardziej prawdopodobne jest, że diabeł się po prostu obraził. Oto bowiem mikrobiolog angielski, Set Alastor, oświadczył na kongresie, że Belzebub jest... mikrobem. „Jest to wirus odznaczający się świadomością klasową, który atakuje zwłaszcza ludzi z warstw społecznie upośledzonych. Symptomy zakażenia — to nagła zmiana głosu, schizofrenia oraz nie wyjaśniona fobia na tle logiki i liczb. Za to diabeł obdarza nawiedzonych niezwykłymi zdolnościami językowymi, pamięcią do szczegółów, czasem — potężnymi bicepsami". Uczony już go ponoć oglądał pod mikroskopem...

Powtarzam, jestem przywiązany do tradycyjnego księcia ciemności. Niech ma sobie rogi, kopyta i ogon, niech będzie we fraczku i cylindrze, w garniturze i lakierkach — ale mikrob! To nie do zniesienia!

14 lutego zeszłego roku, o godzinie 20.30 wybuchł w słynnej Bibliotece Akademii Nauk ZSRR, w Leningradzie pożar... „Zostało zniszczonych sto siedemdziesiąt osiem tysięcy książek obcojęzycznych z okresu od 1600 do 1930 roku. Całkowicie spaliła się cenna, stara kolekcja książąt kurlandzkich, a także księgozbiór wydziału medycyny zawierający między innymi dzieła z XVIII wieku. Zdziesiątkowana została biblioteka Radziwiłłów, która stanowiła największy w carskiej Rosji księgozbiór prywatny".

Nie tak dawno temu spaliła się również biblioteka Instytutu Historii Uniwersytetu Leningradzkiego. Spalił się dział rzadkich książek w Bibliotece im. Krupskiej. W bibliotece naukowej Uniwersytetu w Rostowie ogień strawił setki tysięcy woluminów, a słynny „księgozbiór Plechanowa" został poważnie uszkodzony przez wodę... itd. itd.

Tego nie zrobiłby nigdy szatan tradycyjny! Mógł to zrobić tylko diabeł-mikrob: albo głupi, mali, zacofani i bez wyobraźni ludzie...

ANDRZEJ GRUN

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

PRZYJACIELE

Włoska „Epoca" odnotowała bulwersującą wiadomość: **„Karol Wojtyła** przyjaźni się z pewnym Polakiem pochodzenia żydowskiego, który mieszka w Rzymie, jest jego kolegą ze szkolnej ławy, a nazywa się — **Jerzy Kluger.** Będzie on głównym bohaterem filmu o życiu papieża pt. „Friendship", czyli „Przyjaźń". Dwa dotychczasowe filmy — jak utrzymuje „Epoca" — poświęcone osobie papieża: „Z dalekiego kraju" Zanussiego i film amerykańskiej wytwórni CBS, raczej nie wzbudziły w nim zachwytu. Komisja watykańska zapowiada uważne śledzenie poczynań ekipy filmowej. Reżyserem filmu jest **Stuart Cooper**, a producentem **Mario di Nardo**, który niebawem skieruje na ekrany kin film „Przed sklepem jubilera", według dramatu napisanego w latach młodzieńczych przez Karola Wojtyłę.

Autorem scenariusza jest **Gian Franco Svidercoschi**, były zastępca redaktora naczelnego „Osservatore Romano". Z Klugerem spotkał się dwanaście lat temu w rzymskim klubie tenisowym. W przerwach między setami Kluger opowiadał dziennikarzowi o swej przyjaźni z arcybiskupem Krakowa, mało wówczas znanym we Włoszech. Kiedy w 1978 r. Karol Wojtyła został papieżem Svidercoschi popędził do Klugera, by się dowiedzieć czegoś więcej o nowym papieżu. Owocem był wywiad przetłumaczony na kilkanaście języków i opublikowany w milionach egzemplarzy.

Była to młodzieńcza przyjaźń ze wspólnych lat szkolnych i licealnych w Wadowicach. Potem przyszła wojna — Kluger wraz z ojcem trafił do ZSRR, tam do wojska polskiego. Walczył pod Al-Alamajn, pod Monte Cassino; potem osiadł w Anglii, studia, ciężka praca inżyniera górnika, aż wreszcie przeniósł się w 1954 r. do Włoch. W 1963 r. Kluger dowiaduje się przypadkiem o ważnym przemówieniu, jakie wygłosił na II Soborze Watykańskim arcybiskup Krakowa Karol Wojtyła, przyjaciel ze szkolnej ławy, którego stracił z oczu 25 lat temu. Telefon do polskiego Kolegium w Rzymie, gdzie mieszkał przyszły papież, a w parę chwil później, pełne wzruszenia powitanie z Wojtyłą. I tak już zostało. 1 grudnia ub. r. Kluger zorganizował zjazd ocalałych z zawieruchy wojennej kolegów szkolnych. Zebrało się ich dwudziestu dwóch, łącznie z Karolem Wojtyłą...

„SWÓJ KRAJ POZNAŁEM W ŁAGRZE"

„Kiedy przyjechaliśmy do Francji — mówi dla „Niedieli" emigracyjny pisarz radziecki **Andriej Siniawski** — francuscy slawiści pomogli mi w znalezieniu pracy na Sorbonie... wykładanie jest dla mnie sprawą drugorzędną, zarabiam w ten sposób na życie. Przede wszystkim czuję się pisarzem... Moja najważniejsza książka — powieść „Dobranoc" — ukazała się w Paryżu w 1984 r. Jest to rzecz o tym dlaczego A. Siniawski został **Abramem Tercem...** O ile bardziej interesujące, ostrzejsze są dzisiaj gazety radzieckie niż to, co drukuje prasa emigracyjna, która w kółko przeżuwa wciąż to samo, powtarzając, że w Związku Radzieckim nie może dziać się nic dobrego... Co za paradoks: kiedy wytoczono mi proces, nazwano mnie „agentem międzynarodowego imperializmu", tutaj zaś uważa się mnie za „rękę Moskwy"...

O sześciu latach pobytu w łagrze Siniawski mówi: „Przez cały ten czas byłem na ciężkich robotach. Ładowałem wióry, zbijałem skrzynie... Pod względem psychicznym było mi bardzo ciężko. Na wolności zostawiłem przecież żonę, małe dziecko. Poza tym jako pisarz czułem się skończony. Ale znalazłszy się wśród więźniów wkroczyłem w osobliwy świat... Swój kraj poznałem w łagrze lepiej niż przez wszystkie poprzednie lata... Używając wielkich słów powiedziałbym, że łagier był dla mnie niewiarygodnym spotkaniem z moim własnym narodem, narodem w swoistym przekroju, widzianym z jego najlepszej i najgorszej strony...

Szedłem na wykłady, kiedy usłyszałem za sobą głos: „Andriej Donatowicz"? Obejrzałem się i nie zobaczyłem nikogo. Nie zdążyłem się odwrócić kiedy jednym ruchem wepchnięto mnie do samochodu, który stał już z tyłu z otwartymi drzwiami. W ten sposób — choć był tłum ludzi na ulicy — nikt niczego nie zauważył. No, a potem od razu Łubianka. Przesłuchanie. Przez kilka dni próbowałem zaprzeczać, że jestem Abramem Tercem, ale później zrozumiałem, że to śmieszne zaprzeczać

Różne obszary tkaniny

Może być malarstwem lub rzeźbą, reliefem i grafiką, dziełem unikatowym albo nieskończoną przestrzenią powtórzeń. I mając tak wiele nie ma zarazem nic ponad splecenie nici. Dlatego tak trudno znaleźć wspólną miarę artystycznego obszaru tkaniny, dlatego powstają nowe określenia, które mają ten obszar jakoś bliżej zdefiniować: miękka rzeźba, sztuka włókna, sztuka przeplotu; i mimo to, w wielu przypadkach rozpoznajemy przynależność dzieła do obszaru tkaniny intuicyjnie nie zaś w kategoriach ostro sprecyzowanych.

Kompozycje Jadwigi Jarosiewicz-Oleśiak (studia najpierw na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu potem w PWSSP w Poznaniu, a jeszcze wcześniej nauka w szkole muzycznej), którym nie bezpodstawnie Irena Huml przypisuje cechy właściwe raczej muzyce niż plastyce, niewątpliwie są tkaninami i to nawet w tradycyjnym rozumieniu, kiedy punktem wyjścia jest technika gobelinowa, budowanie przędzą i przeplotem; ale także i wówczas, kiedy artystka posługuje się tkaniną wytworzoną przemysłowo, jak na przykład czarna satyna. Jednakże analiza wartości plastycznych prac J. Jarosiewicz nakazuje nie łączyć ich z dyscypliną sztuki włókna a wydobyć to, czemu zostały podporządkowane: budowaniu napięć delikatnych ale stanowczych, ujawnianiu kontrastów minimalnych, formowaniu przestrzeni przy pomocy rytmu i wreszcie intelektualnemu uporządkowaniu i zarazem wielkiej emocjonalności. W każdej pracy inaczej a jednocześnie podobnie, jakby chodziło o coraz to różne oglądanie tej samej drobiny w wielkim powiększeniu.

W przeciwstawieniu, a może w dopełnieniu?, unikatowej twórczości J. Jarosiewicz mogliśmy oglądać tkaną twórczość przemysłową. Ale że był to przegląd trzydziestoletnich dokonań **Heleny Przytulskiej** w Spółdzielni „Rękodzieła Artystycznego", dorobek w pełni autorski, nie ma tu znaczenia, że Helena Przytulska najchętniej rekonstruuje lub przetwarza wzory tkanin historycznych, można oba pokazy umieścić na wspólnym obszarze. Dowodem zaś, że nie będzie to umniejszeniem dzieł unikatowych i nieuprawnionym wyniesieniem tego, co można mechanicznie powielać są dwie wystawy. Jedna, będąca świadectwem wywiązania się prawie dwudziestu młodych twórców z zobowiązań stypendialnych sprzed około pięciu lat, druga — odsłaniająca niejako korzenie dzisiejszych sukcesów młodych artystów-tkaczy środowiska łódzkiego.

Tkactwo dekoracyjne ze zbiorów archiwalnych Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Autorzy tego pokazu, urządzonego w galerii szkolnej: **Bolesław Tomaszkiewicz** i **Andrzej Rajch**, dokonali wyboru spośród najstarszych tkanin. Mieliśmy możliwość prześledzenia studenckiej twórczości od roku 1950 do 1960, w którym to okresie ugruntowany już przed wojną styl polskiej tkaniny dekoracyjnej — łączący tradycje dworskie i ludowe — przerodził się w tkactwo żywo reagujące na przemiany w sztuce w ogóle. Wspomnijmy chociażby nazwiska wykładowców: **Lucjan Kontopf, Regina Piotrowska, Tamara Hans, Jerzy Nowosielski, Zygmunt Ogrodowczyk, Aniela Bogusławska.**

Pracownia tkactwa dekoracyjnego — to przede wszystkim nauczanie projektowania podporządkowanego rygorom technicznym powtarzalności wzoru, typu krosna. Szkolna wystawa dała tego świadectwo, ale też ukazała, że podporządkowanie się tym rygorom nie musi oznaczać rezygnacji z autorskiej indywidualności. Pomysłodawcy wystawy zamierzają w przyszłości pokazać również nowsze szkolne archiwalia. Chciałoby się poznać dzieje innych szkolnych pracowni ukazane w podobny sposób.

O jeszcze jednej wystawie warto w tym przeglądzie wspomnieć — tym razem chodzi o tkaninę drukowaną. Program ideowy jaki towarzyszył jej powstawaniu — zaprojektowanie tych tkanin zaproponowano wybitnym malarzom — dość bliski jest ideologii kultury lat pięćdziesiątych, jednakże rezultat odmienny: bo nie tematyczność ma tu znaczenie, a raczej możliwość artystycznej wypowiedzi poprzez tkaninę przemysłową i za jej pośrednictwem dotarcie do najszerszego odbiorcy. To wszystko można było zobaczyć podczas wystawy tkaniny kubańskiej „TELARTE" (tela — tkanina i arte — sztuka), tak nazwano ten szczególny program upowszechnienia twórczego myślenia malarskiego poprzez produkcję przemysłową.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Centralne Muzeum Włókiennictwa: Młoda Tkanina Polska — listopad 1988, Jadwiga Jarosiewicz-Oleśiak: grudzień 1988 TELARTE — Kubańska Tkanina Artystyczna, styczeń — luty 1989; Muzeum Historii Miasta Łodzi: Helena Przytulska — Mariaż twórczy ze Spółdzielnią „Rękodzieło Artystyczne" 1959—1989, styczeń 1989; Galeria PWSSP: — Tkactwo dekoracyjne ze zbiorów archiwalnych 1945—1960, styczeń — luty 1989.

U WROCŁAWSKICH MIMÓW

Prorocy i pomyleńcy

Zgodnie z tradycją wielu już lat — bodaj czy nie od początku istnienia **Wrocławskiego Teatru Pantomimy** — odwiedza on z każdym nowym programem Łódź, dzięki czemu jesteśmy tu stale na bieżąco, jeśli chodzi o artystyczne dokonania tej znanej w świecie sceny, prowadzonej przez **Henryka Tomaszewskiego.**

Najnowszy program, oznaczony kolejnym numerem XX, a więc poniekąd jubileuszowy, zainspirowała tragikomedia **Jana Cocteau „Bachus"**, w Polsce chyba nie znana. Wybór tego utworu świadczy o tym, że Tomaszewski pozostaje wierny sobie, swoim najgłębszym zainteresowaniom filozoficzno-artystycznym, tj. konfrontacji szlachetnych utopijnych marzeń o zniszczeniu na ziemi krainy wiecznej szczęśliwości z brutalnie otrzeźwiającymi realiami życia.

W każdej też sztuce Tomaszewskiego, opartej bądź to na światowym dziele literackim, bądź na pradawnym micie z dziejów ludzkości, przewija się, jak rozumiem, próba odpowiedzi na pytanie, na czym polega, skąd się bierze klęska utopijnych marzeń, a w poglądzie artysty na tę kwestię wyczuwa się, jak mi się wydaje, pewną rozterkę, czy obarczyć winą należy nieubłagane prawa życia zbiorowego, czy też małostkowość aspiracji i dążeń społeczności, która opuszcza swoich proroków, głoszących ludziom prawdę i miłość, skazując ich na wypadnięcie poza społeczny nawias, jako niebezpiecznych dla ładu „bożych pomyleńców".

Nie inaczej z bohaterem tej sztuki, któremu jak w juvenaliach czy żakinadzie zezwala się miłościwie panować nad gromadką niedowarzonych zapaleńców, dopóki nie wybije umówiona godzina, oddzielająca życie od złudy, z czym ów siedmiodniowy król nie chce się pogodzić, wskutek czego źle kończy.

Ta przypowieść o życiu opowiedziana zostaje metaforycznym „językiem" pantomimy, nielatwym w odbiorze, tym razem sprawiającym widzom większą trudność niż zwykle, ponieważ w drukowanym programie zabrakło libretta, które nie tylko umożliwia zrozumienie do końca intencji realizatorów, ale ponadto daje widzowi możność śledzenia, jak autorskie zamierzenia, zawarte w libretcie, przyoblekają się w pantomimiczny ruch i gest.

Wyznam tu, iż docierając do teatru w ostatniej chwili (wskutek kaprysów miejskiej komunikacji) nie zdołałem nawet zerknąć do programu, w którym autor wyłożył ideę swego przedstawienia, a w dodatku, usadowiony w znacznej odległości od sceny, nie mogłem obserwować gry mimicznej, stanowiącej ważne dopełnienie ruchu i gestu. Ale dzięki temu znalazłem się wyjątkowo w sytuacji znacznej części widzów i zapoznałem z ich możliwościami wzrokowej percepcji.

Otóż wydaje mi się, że pantomimę, przynajmniej taką, jaką tworzy Henryk Tomaszewski, a więc unikającą płaskiej ilustracyjności i bogatą w środki wyrazu, należy oglądać zarówno posługując się librettem, jak i — z niezbyt dużej odległości, a nie stwarza po temu warunków sala Teatru Wielkiego.

Ale i w tych warunkach, jak sądzę, przedstawienie mogło się podobać widzom dzięki wspaniałej, pomysłowej kompozycji ruchu scenicznego, wykonywanego przez znakomicie wyszkolonych aktorów, odzianych w wybitnie „teatralne" kostiumy. Mnie zresztą najbardziej zachwyciła trójka Błaznów, o wybitnych, jak mniemam, predyspozycjach tancerzy charakterystycznych.

Dominował na scenie, zgodnie z zadaniami swojej tytułowej roli, **Marek Oleksy**, uważam jednak, że powierzanie w ostatnich latach wszystkich głównych ról temu, bezspornie utalentowanemu, artyście, który w dodatku stale eksploatuje swoje aktorskie emploi, przyczynia się do niepożądanego przecież upodabniania odmiennych postaci. Zakładam jednak, że teatr najlepiej wie, co dla niego najbardziej korzystne.

Mamy nadzieję, że i w następnych latach znakomici wrocławscy mimowie będą nas radować swoimi najświeższymi dokonaniami.

JERZY KWIECIŃSKI

Wrocławski Teatr Pantomimy: „Król siedmiodniowy", pantomima w 1 akcie. Scenariusz i choreografia — Henryk Tomaszewski, scenografia — Kazimierz Wiśniak, muzyka — Rafał Augustyn.

Wrocławski Teatr Pantomimy — „Król siedmiodniowy"

Foto: Tadeusz Drankowski

Kronika

DO 5 MARCA BR. MOŻNA OBEJRZEĆ w Salonie Sztuki Współczesnej BWA w Łodzi (ul. Piotrkowska 88) **wystawę malarstwa,** jednego z czołowych łódzkich artystów plastyków — **Edwarda Habdasa.**

Tę interesującą ekspozycję polecamy szczególnie licznym koneserom sztuki w naszym mieście.

Z MŁODĄ GRAFIKĄ KRAKOWSKĄ proponuje **wernisażowe spotkanie — Galeria Sztuki BWA w Łodzi** (ul. Wólczańska 31).

Nieczęsta to okazja, warto więc z niej skorzystać!

W GALERII BAŁUCKIEJ (Stary Rynek 2) od 8 bm. czynna jest **wystawa malarstwa i rysunku Jana Niksińskiego, zorganizowana** przez BWA w Łodzi.

Na ekspozycję składają się prace tego artysty z lat 1987-1988.

ROZPISANY ZOSTAŁ OTWARTY KONKURS na **projekt pomnika ofiar represji stalinowskich,** pomordowanych w lasach **Kuropaty na Białorusi** Zginęło tam **około 30 tys. osób.**

30-LECIE OBCHODZIŁ, ukazujący się w Bydgoszczy, tygodnik społeczno-kulturalny **„Fakty".**

Przyłączamy się do życzeń!

Z OKAZJI OSIEMDZIESIĄTEJ ROCZNICY PROJEKCJI PIERWSZEGO POLSKIEGO FILMU FABULARNEGO (22.X.1908 r.) — nosił on tytuł **„Antoś pierwszy raz w Warszawie" — w stolicy,** przy ul. Wierzbowej 9, **odsłonięto tablicę pamiątkową.**

WIELE KOMENTARZY I OSTRYCH KONTROWERSJI w prasie literackiej wywołuje, opublikowana przez **Wydawnictwo Łódzkie antologia poezji „Od Staffa do Wojaczka. Polska poezja 1939-1985"** — przygotowana przez **Bohdana Drozdowskiego i Bohdana Urbankowskiego.**

Poznański tygodnik **„Wprost"** przy okazji pisze: **„A może dobrze byłoby, gdyby powstała u nas wreszcie antologia poezji okresu socrealizmu? Byłby to z pewnością wydawniczy rarytas!".**

OD 10 DO 17 BM. ODBYWAJĄ SIĘ W ŁÓDZKIM DOMU KULTURY Dni Kultury Chińskiej, zorganizowane przez ŁDK przy współpracy z **Krajowym Klubem Miłośników Kultury Dalekiego Wschodu i Towarzystwem Przyjaźni Polsko-Chińskiej.**

Dni zainaugurowano otwarciem pierwszej w Polsce wystawy chińskiego rzemiosła artystycznego.

Dniom Kultury Chińskiej towarzyszy **przegląd filmów Chińskiej Republiki Ludowej w kinie ŁDK.**

W AMBASADZIE RADZIECKIEJ W WARSZAWIE, 8 bm., odbyła się uroczystość wręczenia **prof. Bogdanowi Suchodolskiemu,** przewodniczącemu **Narodowej Rady Kultury,** wybitnemu humaniście, **dyplomu doktora honoris causa Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie.**

W GALERII PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY FILMOWEJ, TELEWIZYJNEJ I TEATRALNEJ IM. L. SCHILLERA (ul. Piotrkowska 189) **otwarte zostały 9 bm. dwie wystawy: malarstwa Jana Skikiewicza pt. „Metafizyka, proszę nie dotykać!" i fotorysunków Piotra Lichwierowicza** — słuchaczy IV roku PWSFTVIT. Ekspozycje czynne będą do 22 bm.

NIEZWYKLE ATRAKCYJNY PROGRAM złożył się na piątkowo-sobotnie **koncerty Filharmonii Łódzkiej** w minionym tygodniu. **Dyrygował** gościnnie **Piotr Gajewski, dyrektor muzyczny i dyrygent Narodowej Orkiestry Kameralnej w Waszyngtonie.** Wystąpił jeden z najwybitniejszych naszych pianistów, **laureat Konkursu Chopinowskiego w Warszawie — Piotr Paleczny.**

GRUPA LITERACKA „CENTAURO" I DZIELNICOWY DOM KULTURY ŁÓDŹ-POLESIE zapraszają na spotkanie z **Andrzejem Brychtem** pn. „Odpowiem na każde pytanie" — 20 bm. o godz. 17.00 **w lokalu DDK Łódź-Polesie,** al. 1 Maja 87.

ROZSTRZYGNIĘTY ZOSTAŁ KONKURS LITERACKI dla amatorów o tematyce świąteczno-noworocznej, przekształcony w **Turniej Jednego Wiersza,** zorganizowany przez **Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Polesie, DDK — Łódź-Polesie i grupę „Centauro".**

Jury pod przewodnictwem **Henryka Pustkowskiego** przyznało pierwszą nagrodę **Michałowi Wardęszkiewiczowi,** dwie drugie nagrody: **Urszuli Dzikiej i Tadeuszowi Zawadowskiemu,** trzecią nagrodę — **Elżbiecie Tomczak.**

Opracował: JAK

Kłania się Trąbalski!

Rok mamy nowy, ale problemy z filharmonią — stare. A propos: jak nas, w kontekście tych problemów, widzą? Jak nas piszą (nas, to znaczy Łódź jako ośrodek muzyczny?) Otóż ostatnio coraz gorzej. W zamieszczonym swego czasu w „Polityce" felietonie **Jerzego Waldorffa** można było przeczytać: **„Łodzi proponuję, żeby patronu swojej filharmonii z Artura Rubinsteina zmieniła na Fujarę Trąbalskiego".** Tę złośliwostkę pod adresem czynników odpowiedzialnych za bazę materialną naszej kultury przedrukował ochoczo **„Ruch Muzyczny"** i już cała Polska mogła śmiać się z nieudolności miasta, które odpowiedniego locum dla własnej filharmonii przez tyle lat nie potrafiło załatwić.

Od ponad roku filharmonicy występują w gmachu Liceum Muzycznego. Dziwi mnie zresztą niepomiernie, że próby odbywają się nadal w starej siedzibie przy ul. Narutowicza: czyżby realne niebezpieczeństwo zawalenia się budynku — jak przy periodycznych i możliwych do przewidzenia trzęsieniach ziemi — istniało tylko dwa razy w tygodniu, w piątki i soboty wieczorem, a nie dotyczyło wcale muzyków grających przed południem?

Szkolna sala koncertowa przy ul. Sosnowej, oddalona od centrum i położona w niewygodnym punkcie miasta, nie zdaje egzaminu pod względem akustycznym, gdy na estradzie zasiada wielki zespół orkiestrowy. Jej kubatura jest za mała. Podczas głośnych tutti dźwięk dosłownie kotłuje się i kłębi, prowadząc do deformacji brzmienia, dokuczliwych nawet wtedy, gdy zajmie się miejsce w dalszym rzędzie. Tak samo niekorzystny dla ogólnego wrażenia jest zupełny brak pogłosu. Dla odmiany pogłos za duży, powodujący zamazywanie się obrazu dźwiękowego, istnieje w Kościele ewangelickim, w którym urządzane są koncerty oratoryjne. Można by więc uznać, że wszystko w porządku jest jedynie w statystyce (na tej samej, mniej więcej zasadzie, jak przy włożeniu... jednej nogi do pieca a drugiej do lodówki).

Nie ustabilizowana sytuacja, wynikająca z abstrakcyjnie odległego terminu odzyskania przez orkiestrę własnej siedziby działa destrukcyjnie i na orkiestrantów, i na melomanów. Ci ostatni po prostu rezygnują stopniowo ze spotkań z żywą muzyką, co uważać można za niepokojący symptom powolnego upadku kultury muzycznej w naszym mieście. Na temat samej orkiestry wypowiadał się z kolei niedawno na naszych łamach dyrektor artystyczny FŁ, **Tomasz Bugaj**, widząc w obecnej, narzuconej „metodzie" pracy i koczowniczym nieledwie trybie życia zespołu niebezpieczeństwo trwałego obniżenia się jego poziomu.

Wobec braku nadal jednoznacznych decyzji zmierzających do likwidacji wieloletnich zaniedbań i powstałych zagrożeń Łódzki Oddział SPAM zorganizował 4 lutego kolejną już konferencję nt. filharmonii. Przybyli na nią przedstawiciele odnośnych instytucji i urzędów, zaś w wyniku dyskusji sformułowano szereg wniosków. Wśród nich — po wyrażeniu zadowolenia z dotychczasowego postępu prac projektowych związanych z nowym gmachem — apel o zapewnienie środków na realizację założeń techniczno-ekonomicznych w br. Następnie — postulat wprowadzenia projektu budowy do planu finansowego Łodzi w najbliższym pięcioleciu a także do centralnego planu inwestycyjnego. Podkreślano potrzebę uzyskania środków m.in. z narodowego funduszu rozwoju kultury i ewentualnie nawet spoza granic kraju. Zwrócono się też do władz o pomoc w sprawnym przebiegu remontu **„Lutni"**, przeznaczonej na tymczasową siedzibę FŁ.

Oby te postulaty zostały jak najszybciej spełnione, gdyż na razie, faktycznie, kłania się... Fujara Trąbalski!

JANUSZ JANYST

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

faktom, które oni mają w ręku... Tym bardziej że nie oskarżano mnie o to, że wydawałem książki za granicą, lecz o to, że miały one antyradziecką wymowę — a to przecież była oczywista nieprawda. Po wyjściu z łagru, przez dwa lata, zanim udałem się na emigrację, mieszkałem w Moskwie. Nigdzie nie pracowałem, ale nadal pisałem. Oczywiście powstał problem, gdzie wydawać.. I wtedy zezwolono nam na wyjazd do Paryża na prywatne zaproszenie... Dla niektórych jest to prawdziwy dramat. Znam pisarzy którzy przestali pisać. Tym ludziom aby mogli tworzyć, potrzebne jest żywe tworzywo, język potoczny, a tutaj tego nie mają...".

KOLEKCJA TZARY

Tristan Tzara (1896—1963), pisarz francuski pochodzenia rumuńskiego, twórca dadaizmu interesował się nie tylko literatura, lecz był także cenionym i znanym kolekcjonerem sztuki prymitywnej. Dochód z aukcji zgromadzonej przez niego kolekcji zorganizowanej w Hotelu Druot w Paryżu wyniósł ponad 15 mln franków (2,5 mln dolarów). Najwyższą cenę osiągnęła maska plemienia Kwele z Gabonu — 2 mln franków, zakupiona przez anonimowego kolekcjonera. Niewiele mniej zapłaciły muzea francuskie za starą maskę magiczną z Wybrzeża Kości Słoniowej, maskę plemienia Bangwe z Kamerunu, a pewien Amerykanin stał się nabywcą drewnianego posążka — relikwii plemienia Fang-Ntumu z północnego Gabonu.

500 LAT DRUKARSTWA

Tyle lat upłynęło od wydania pierwszego druku w Finlandii. Był nim wydrukowany w 1488 r. mszał tzw. **Missale Aboense**, używany w mieście Abo, dzisiejszym Turku. Jest to jedyny w dziejach kultury fińskiej inkunabuł który zachował się do dziś. Nic zatem dziwnego, że tę doniosłą rocznicę obchodzono w Finlandii bardzo uroczyście.

„PSIE SERCE"

To tytuł zekranizowanego w wytwórni „Lenfilm" opowiadania Michała Bułhakowa. Jest to pierwsza w Związku Radzieckim ekranizacja prozy tego pisarza, a reżyserem filmu jest Wadim Bortko. Do tej pory powstały dwa filmy, których scenariusze oparto na dramatach Bułhakowa — „Ucieczka" i „Iwan Wasiliewicz zmienia zawód"...

CO BĘDZIE, JEŚLI...

„Nasze życie do tej pory było eksperymentem, teraz normalnieje. Jeśli chodzi o ten teatralny, to przywraca on naturalną i niezbędną swobodę, bez której teatr, jak każda sztuka, nie może istnieć. Zresztą, co to za eksperyment! Owszem, dla władzy, nie dla teatru, bo dla teatru jest to warunek sine qua non rozwoju. To eksperymentują ci, którzy zarządzają kulturą. Zastanawiają się co będzie jeśli nas wypuszczą do lasu z klatki, w której przeżyliśmy całe życie. Mogę ich zapewnić, że nic nie będzie. Teatr będzie żył normalnie. Inna sprawa, że niektórzy tak przywykli do swych klatek, że ciężko ich stamtąd przegonić. W „lesie" czują się strasznie, boją się, że ich ktoś zje. Tam od razu widać, kto co sobą reprezentuje. Ludzie oduczyli się normalnie pracować. Odzwyczaili się cokolwiek robić bez podlewania tego sosem frazesów zdartych słów przyblakłych haseł. To nasza tragedia nie tylko środowiska teatralnego"

Bardzo znajomo zabrzmiały te słowa wypowiedziane przez dyrektora MChAT-u, **Olega Jefremowa**, dla „Życia Warszawy"!

Galeria pisarzy

Rys. Sławomir Arabski

WACŁAW BILIŃSKI

Anglicy mieli „Bill o prawach"
I wiele skorzystali z tego.
My w wielu ważnych łódzkich sprawach
Milcząc wspieramy — Bilińskiego...

ROMAN GORZELSKI

Zaginione rozdziały historii literatury radzieckiej.

Te nazwiska nie mogą zaginąć w pamięci

Przez 15 lat współpracownik czasopisma „Drużba narodow" Eduard Biełtow gromadził materiały o bezprawnie represjonowanych w okresie stalinizmu rewolucjonistach, działaczach, uczonych, dowódcach wojskowych, pisarzach i artystach. W jego kartotece znajduje się ok. 17 tys. nazwisk.
W nr 25 tygodnika „Kniżnoje obozrieje" (17 czerwiec 1988 r.) ukazał się wywiad z E. Biełtowem, w którym przedstawił on wiele interesujących, nie znanych dotąd szczegółów związanych z samymi poszukiwaniami jak i dotychczasowymi rezultatami swojej pracy. Oto co powiedział m. in. w rozmowie z dziennikarzem „Kniżnowo obozrienija" G. Niechoroszewem:

Mniej więcej 17 lat temu przeczytałem w jednym z zachodnich wydawnictw, że w ZSRR było represjonowanych 600 pisarzy. Ta liczba mnie przeraziła — sądziłem, że celowo ją wyolbrzymiono. Uważałem to po prostu za niemożliwe! Postanowiłem sporządzić sam spis represjonowanych. Dość szybko udało mi się zebrać około 400 nazwisk — w różnych wydawnictwach informacyjnych są takie dane (np. w „Radzieckiej Encyklopedii Historycznej" czy w „Małej Encyklopedii Literatury").

Dalszych wiadomości zacząłem szukać w innych źródłach m. in. w pamiętnikach. Z racji swojego zawodu miałem dostęp do wielu nie publikowanych wspomnień, rękopisów. I tak powoli, w trakcie głębszych poszukiwań rosły te smutne dane. Obecnie mam wiadomości o 1000 poległych pisarzach. W przybliżeniu drugie tyle literatów przeżyło więzienia, obozy.

Losy niektórych udało mi się przypomnieć na początku lat 60. Ale po 1967 r. temat stał się znów tematem „tabu".

Wiadomo powszechnie, że represjonowani byli wybitni pisarze jak Babel, Pilniak, Mandelsztam... Ale jak wiadomo o literaturze każdego kraju nie stanowią tylko wybitni — literatura to bardziej złożone zjawisko. Chciałbym wymienić kilkanaście choćby tylko nazwisk poległych pisarzy, mniej znanych, można powiedzieć „drugorzędnych". Zabici zostali znani w całej Rosji jeszcze przed rewolucją „satirikonowcy" (pisarze związani z czasopismem „Satirikon" wydawanym w latach 1908—1914 — przyp. AG) — Arkadij Buchow i Ilia Wasilewski (pseudonim „Niebukwa"); przyjaciel Achmatowej, Gumiljewa, akmeista Władimir Narbut; jeden z bardziej znanych w latach 30. krytyk i teoretyk literatury Aleksandr Woroński; twórca poezji robotniczej, dyrektor Instytutu Pracy Aleksiej Gastjew; przewodniczący RAPP Leopold Awierbach.

Zginęli także — poeta Władimir Kiriłłow, znany nawet współczesnym, ponieważ to jego właśnie cytuje Włodzimierz Majakowski w znakomitym artykule „Jak pisać wiersze"; Wasilij Kniaziew, autor świetnej cenionej przez Włodzimierza Lenina „Pieśni Komuny" zmarł na Kołymie w 1938 r., chłopski poeta, przyszłość naszej poezji chłopskiej, w którego tak wierzył Jesienin — Iwan Pribłudnyj; futurysta Siergiej Trietiakow, niezwykle interesująca postać, uprawiał różne gatunki, jego sztuki cieszyły się ogromnym powodzeniem w teatrach młodzieży robotniczej czy wreszcie dramaturg, dyrektor Teatru Małego Siergiej Amagłobieli.

To, co działo się z literaturą rosyjską dotyczy także i literatur innych narodów ZSRR. Wbrew moim przypuszczeniom rosyjskich pisarzy wśród represjonowanych było najmniej. Aresztowano prawie wszystkich najlepszych pisarzy Republiki Udmurckiej (republika autonomiczna w ramach RSFRR — przyp. AG): Kuźmę Czajnikowa (tworzącego pod pseudonimem Kuziebaj Gierd), Mitrjewa Kiedrę, Michaiła Konowałowa, Grigorija Miedwiediewa. Została zniszczona wątła i tak literatura altajska — zginął jej twórca Paweł Czagatstrojew, prozaik Iwan Tołtok, dramaturg Nikandr Czewałkow. Wymordowano większość pisarzy baszkirskich m. in. poetę Abdułę Amantaja, prozaików Gusieja Dawljetszina i Iwana Niedolina a także pisarza i przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego Baszkirii Afzała Tagirowa. Zginęło ponad dwudziestu pisarzy Północnej i Południowej Osetii! Wszyscy oni byli nie tylko twórcami radzieckiej literatury w swoich narodowych językach, lecz także bezpośrednimi uczestnikami rewolucji i wojny domowej.

Miażdżące uderzenie skierowano na żydowską literaturę radziecką. Mało tego, że przed wojną zginęło wielu żydowskich pisarzy, to dzieło zniszczenia kontynuowano na przełomie lat 40. i 50., kiedy walka z kosmopolityzmem przerodziła się w jawną kampanię antysemicką. Zginęli m. in. prozaik Dawid Bergelson, poeci Dawid Gofsztein, Perec Markisz, Icyk Fefer, wspaniały poeta dziecięcy Lew Kwitko...

Podobny los spotkał twórców kabardyjskich, poetów i dramaturgów. Zginęli Kazachstańczycy — jeden z największych prozaików Sakien Sejfulin, przewodniczący „Sownarkoma" Kazachstanu (Sowietskij Narodnyj Komitiet Kazachstana — przyp. AG). Z tadżykistańczyków należy przypomnieć poetę i prozaika Raszida Abduło, prozaika Ali Chuszę, dramaturga Guliana Zafari, publicystę Saida Rezo-zade, redaktora pierwszego radzieckiego czasopisma w języku tadżyckim „Płomień Rewolucji".

Spośród ormiańskich pisarzy, a mam na myśli tylko członków Związku Pisarzy poległo 41 — w większości założycieli Związku. Prozaik Afrpiet (prawdziwe nazwisko: Sarkis Mubładżjan) miał 77 lat kiedy został rozstrzelany; Abraam Zamienian — 76 lat, Gieworg Karadżjan — 75 lat, dramaturg i prozaik Arutiun Czugurian — 74, powieściopisarz Sogomon Mielik-Szachnazarian — 80, Emil Tier-Grigorian, dramaturg — 82 lata. Wszyscy rozstrzelani! I jeszcze zupełnie zdumiewający przykład — prozaik, satyryk Chaczan Tmbłaczi (prawdziwe nazwisko Konstantin Mielik-Szachnazarian) zginął w wieku 84 lat!!

To, co zrobiono z literaturą ukraińską, trudno opisać. Spowodowane było to tym, że walką z „burżuazyjnym nacjonalizmem" zaczęła się właśnie na Ukrainie i Białorusi. W latach 1929—1930 „odkryto" jakąś „kontrrewolucyjną organizację", przy czym interesujące jest to, że składała się ona wyłącznie z intelektualistów, uczonych, pisarzy, artystów... Już w 1930 r. aresztowano kilkudziesięciu ukraińskich pisarzy. Kolejne uderzenie to 1933 r. Komunistyczną Partię Zachodniej Ukrainy zdemaskowano jako organizację szpiegowską. Rozstrzelano wszystkich członków Komitetu Centralnego, całe kierownictwo i jednocześnie grupę pisarzy „Zachodnia Ukraina" — wszystkich bez wyjątku.

W 1934 r. dokonano zabójstwa Sergieja Kirowa. Całą grupę utalentowanych pisarzy ukraińskich uznano nie wiadomo dlaczego z tego powodu za terrorystów i rozstrzelano w dwa tygodnie — Dmitrij Falkowski, Oljes Dostwitnyj, Aleksiej Włyzko.. — W 1935 r. aresztowania trwają nadal, w 1936 nieco zmalały i nagle w roku następnym rozszalała się istna burza — prawie już nikogo nie zsyłano do obozów, wszyscy byli od razu rozstrzeliwani.

W 1948 r. — żydowscy pisarze żyjący na Ukrainie a z nimi i Ukraińcy, „niedobitki burżuazyjnych nacjonalistów". Wszyscy znów idą pod ścianę, do obozów... Są dowody na to, że było represjonowanych około 500 ukraińskich literatów aktywnie działających w 20—30. latach. Nie zginęli wszyscy — w moim, oczywiście niepełnym spisie widnieje około 150 nazwisk tych, których zabito.

To samo stało się z literaturą białoruską. Ona szczególnie rozkwitła w latach — 20. i na początku lat 30. i... nagle niczego nie ma! A ci, którzy zostali np. Jakub Kołas, praktycznie zaprzestali tworzyć, czekali kiedy ich też aresztują!

Metody moich poszukiwań są różne. Kiedy zebrałem prawie 700 nazwisk zabitych, zrozumiałem, że zabrnąłem w ślepą uliczkę, po prostu zabrakło mi źródeł. Wtedy poprosiłem redaktora naczelnego mojego pisma S. Baruzdina o pomoc. Za jego zgodą i z jego podpisem rozesłałem do wszystkich organizacji pisarzy w republikach związkowych i autonomicznych i w kilku największych miastach listy z prośbą o pomoc w poszukiwaniach.

Pierwszymi byli Litwini, Turkmeni, Azerbejdżanie. Oni zrozumieli wagę problemu. Inni nie odpowiedzieli w ogóle. Nie otrzymałem odpowiedzi np. z Kujbyszewa. A tam zginęło co najmniej 3 znanych pisarzy (oddzułem to boleśnie, ponieważ sam pochodzę z tego miasta). Ale oburzający zwłaszcza list otrzymałem z Gruzji. Przewodniczący Zarządu Związku Pisarzy Gruzji G. Ciciszwili odpowiedział dosłownie tak: u nas nie ma dokładnych danych i towarzysz powinien zwrócić się po nie do odpowiednich organów! A przecież w Gruzji zginęli tak wybitni pisarze jak choćby Tycjan Tabidze.

Są ludzie nieobojętni na to, czym się zajmuję i chętni do pomocy. Jeden z takich ludzi — maryjski pisarz Kim Wasin przysłał mi wstrząsający wprost opis losów maryjskich literatów. W poszukiwaniach pomaga mi historyk Dymitr Jurasow, który pracował kiedyś w archiwum wojskowym Sądu Najwyższego. Zakończony został I etap mojej pracy choć i tak nie udało mi się zebrać wszystkich nazwisk. W następnej kolejności, jeśli problem traktować poważnie, należy sporządzić bibliografię, by mógł powstać później bio-bibliograficzny informator o zamordowanych pisarzach lub szerzej — pisarzach represjonowanych. Ale ta praca przerastała siły jednego człowieka.

Nasze sumienia nie są czyste i nie będą do chwili, dopóki nie nazwiemy tych tysięcy ludzi, wszystkich po imieniu i nie powiemy o ich wkładzie w naszą literaturę, w nasze życie. Historia literatury nie może istnieć bez tych nazwisk! Próbowałem sobie to porównać z „Historią wojny domowej" (a była taka, jak się okazało wydana). Przecież tam prócz Józefa Stalina, Klimenta Woroszyłowa i Siemiona Budionnego nie ma innych nazwisk! Pułki, brygady, korpusy, całe fronty istnieją „same z siebie". One idą do ataku, cofają się, ale nimi nikt nie dowodzi! Podobnie i tutaj. W końcu lat 30. kto tworzył literaturę radziecką? A. Tołstoj, M. Szołochow i W. Majakowski! Przynajmniej tak uczyłem się w szkole. I niestety, obecnie młode pokolenia po prostu nie mają pojęcia co to takiego literatura radziecka jako całość. W szczególności o literaturze lat 30., bez której żadna rozmowa o współczesnej literaturze jest niemożliwa. Tak jak niemożliwe to w sztuce, w nauce... Bez przeszłości nie ma teraźniejszości.

Wokół publikacji zamieszczonej w „Ogonioku" ukazującej działalność Borysa Diakowa zrobiło się wiele wrzawy. Zwrócono się do mnie z pytaniem, czy nie należałoby ujawnić nazwisk i tych, którzy byli donosicielami, zwykłymi „kapusiami", dzięki którym zginęło wielu niewinnych. Myślę, że można to zrobić.

Najpierw pewne uzupełnienie do tego, co napisano o Borysie Diakowie. Przypomniano tam 2 ludzi, których bezpośrednio zadenuncjował B. Diakow. Trzeba powiedzieć jeszcze o kogo chodzi. Jeden to poeta, prozaik i dramaturg Grigorij Jakowlewicz Smoliakow, sekretarz Oddziału Związku Pisarzy w Stalingradzie, rozstrzelany w końcu 1938 r. Drugi zaś to Iwan Władski (to pseudonim, do dziś nie udało się ustalić jego prawdziwego nazwiska), korespondent gazety „Wodnyj transport" też ze Stalingradu. G.J. Smoliakow skazany został 3.X.1937 r. przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego. To samo prawdopodobnie stało się z I. Władskim, ponieważ wtedy urywają się wszystkie ślady po nim. Obaj zostali zrehabilitowani w 1957 r.

Inny przykład to Wasilij Patrasz (to pseudonim Wasilija M. Pietuchowa), prozaik, autor kilku książek, nowel i opowiadań. W 1937 r. był generalnym sekretarzem Związku Pisarzy Republiki Maryjskiej, aresztowany w tym samym roku i skazany na 10 lat zginął w obozie. Ale trzeba podkreślić, że tenże Wasilij Patrasz był aktywnym uczestnikiem represji przeciw innym pisarzom. Dzięki jego oszczerczym donosom zginęli niektórzy maryjscy literaci. Takie przypadki były bardzo częste. Kiedy zatem mówimy o tych, którzy zginęli, trzeba pamiętać także o tym, że wielu z nich — no, powiedzmy łagodniej, niektórzy — odegrało złowieszczą rolę w gotowaniu losu swoich współtowarzyszy.

Jak do tego mogło dojść? W wielu przypadkach nie chodzi o to, że ktoś świadomie stawał się konfidentem. Wiemy, że w pewnych okolicznościach istnieje możliwość interpretacji nawet niewinnych wypowiedzi jako wrogich. A to wystarczyło, by być aresztowanym przez NKWD a tam torturami można było wydobyć od „podejrzanych" to, co się chciało... Wielu z denuncjatorów nie zdawało sobie sprawy z tego, co robią (tak przynajmniej wydaje się nam z naszego punktu widzenia). Np. nie sądzę, by Wsiewołod Wiszniewski był aż tak złym człowiekiem. Ale to co robił w 1937 r. — to okropne! Prawdopodobnie nie był tak złym człowiekiem i Władimir Stawski, on nie urodził się takim, lecz okoliczności uczyniły go dosłownie katem radzieckiej literatury.

Można o tym długo mówić, rozmyślać, ale i starać się zrozumieć, że to minęło i robić wszystko, aby nie powtórzyło się znów w żadnej postaci.

Tłumaczył i opracował:
ANDRZEJ GAWROŃSKI

ANTON ANTONOW-OWSIEJENKO w 1939 roku ukończył studia na wydziale historycznym w moskiewskim Instytucie Pedagogicznym. W rok później został aresztowany jako syn „wroga ludu" i z niewielkimi przerwami przebywał w obozach do 1953 r. Jest autorem wydanej na Zachodzie książki o działalności Józefa Stalina pod tytułem „Portret tyrana". Druga jego książka opowiada o najbliższym współpracowniku Józefa Stalina — Ławrientim Berii.

ANTON ANTONOW-OWSIEJENKO

Wybitny twórca stalinowskiej legendy na Zakaukaziu

Niezwykłe dzieje kariery Ławrientija P. Berii (1)

Ławrientij Beria wstąpił do partii bolszewików w 1919 roku w Baku. Przedtem był agentem kontrrewolucyjnej burżuazyjno-nacjonalistycznej organizacji „Musawat" w Azerbejdżanie, która znajdowała się pod kontrolą brytyjskiej Intelligence Service. Współpracował z tajną służbą gruzińskiego rządu mieńszewickiego.

Czy Józef Stalin wiedział o tym? Ławrientijowi Berii wydawało się, że udało mu się zatrzeć ślady. Niepokoiły go tylko archiwa musawatyckiego wywiadu. Gdy w 1938 roku stanął na czele NKWD rozkazał dostarczyć je do Moskwy. Trzymał je w sejfie swego gabinetu aż do aresztowania.

W Baku Ławrientij Beria starał się zwrócić na siebie uwagę władz centralnych. Opracował „traktat polityczny", zawierający plan organizacji wywiadu radzieckiego w Baku. Z planem, jak twierdzą zagraniczni historycy, zapoznał się komisarz ludowy do spraw narodowościowych Józef Stalin.

W gruzińskiej Czeka

Pod koniec 1923 roku Ławrientij Beria był już szefem tajnego oddziału operacyjnego (SOCz) gruzińskiej GPU (Państwowego Zarządu Politycznego). Niczym się nie wyróżniał. Nosił mundur czekisty — trencz z serżu i bufiaste spodnie wsunięte w skórzane buty. Na nosie — binokle, z którymi nie rozstawał się do końca życia.

Początkowo wszyscy odnosili się do Ławrientija Berii z pełnym zaufaniem, ale po bliższym poznaniu już nie mogli utrzymywać z nim koleżeńskich kontaktów. Był niewyczerpanym w pomysły mistrzem intryg i donosów. Umiał jak nikt we właściwym momencie puścić w obieg brudną plotkę, ażeby skłócić swoich rywali w drodze do władzy. Potem wybijał ich pojedynczo. Dość przekonywająco grał rolę „swojego chłopa", prostego i życzliwego... W 1931 roku został komisarzem ludowym Zakaukaskiej Federacji.

Trzy dni trwał pogrom w sierpniu 1924 roku. Gruzińskich inteligentów oskarżono o przygotowanie zbrojnego powstania. GPU aresztowało „aktywnych spiskowców". Grupy operacyjne GPU dniem i nocą przeczesywały miasto, ulicę za ulicą, dom za domem. Więzienne cele zostały szczelnie zapełnione. Po mieście grasował Ławrientij Beria. Polował na rodziny inteligentów i jeśli znalazł w domu młode kobiety, ciągnął je do swego leża.

W Zachodniej Gruzji grupa Waliko Tałachidze zabierała lekarzy, adwokatów, inżynierów, nauczycieli, pisarzy, uczonych... Wyciągano ich zza stołu, z łóżka, łapano na ulicy, w gościach. Inteligenci — wszyscy! — podpadali pod kategorię szlachty. Ta okoliczność, że nikt z nich nie był związany ze spiskowcami, nie miała wpływu na wykonanie planu. Półtora tysiąca niewinnej niczemu gruzińskiej szlachty załadowano kupą do wagonów towarowych i wysłano do Zestafoni. Tam, na odległej bocznicy kolejowej, wszystkich rozstrzelano z karabinów maszynowych na rozkaz Waliko Tałachidze. Na stacji Telawi powtórzyła się podobna egzekucja. Waliko Tałachidze wkrótce mianowany został kierownikiem katedry radzieckiego prawa w Tyfliskim Uniwersytecie.

W latach trzydziestych prokurator Gruzińskiej Socjalistycznej Republiki Rad Waliko Tałachidze był oskarżycielem na „otwartych procesach sądowych" i wysłał na tamten świat niejedną dziesiątkę „wrogów". W wielu prowokacjach Ławrientij Beria kierował akcją i ręka mu nie drgnęła, pieczętując wiele sfałszowanych dokumentów..

Minęło pięć lat. Sekretarz generalny WKP(b) przekonał się o nieugiętości starych działaczy. Latem 1931 roku przyjechał do Tyflisu. Towarzyszył mu Ławrientij Beria. Rozpoczęwszy w 1924 roku masowe wyniszczenie inteligencji Józef Stalin nie zdecydował się jeszcze podnieść rękę na twórców bolszewickiego ruchu. Umocnił się w Moskwie i przygotował się do walki ze starą gwardią. Powierzył Ławrientijowi Berii stanowisko pierwszego sekretarza KC WKP(b) w Gruzji. Jednocześnie Ławrientij Beria był drugim sekretarzem Zakaukaskiego Komitetu WKP(b). Stało się to 31 października 1931 roku. Pierwszy dzień swego urzędowania spędził w pustym budynku. Ani jeden kierownik wydziału na znak protestu nie przyszedł do pracy.

W literaturze też byli „wrogowie ludu".

W 1937 roku zrobiono wszystko, by rzucić na kolana literatów Zakaukazia. Na zebraniu pisarzy Gruzji padło hasło: *„Do końca ujawnić wywrotową działalność wrogów ludu w literaturze!"*. Główny mówca, A.S. Tataraszwili, żądał krwi. Historia pogromu w gruzińskiej literaturze na zawsze jest związana z nazwiskiem Ławrientija Berii.

Na początku 1935 roku, po zabójstwie Siergieja Kirowa terror wyszedł na otwartą drogę. Ławrientij Beria pozwolił sobie na teoretyzowanie. Uznał, że kadry starej gruzińskiej inteligencji składały się z przedstawicieli klas panujących. *„Pojawiła się u nas zupełnie nowa radziecka inteligencja* — pisał. — *Składa się ona w 80—90 procentach z wychodźców z klasy robotniczej, chłopstwa i innych warstw ludzi pracy"*.

To znaczy, że zaledwie 10—20 procent starej inteligencji przeżyło pogrom.

W 1929 roku Łazar Kaganowicz ogłosił wodzem Józefa Stalina — sekretarza generalnego KC WKP(b). W ogólnym chórze zachwytu brakowało głosu Zakaukazia. Kandydatem na twórcę „bohaterskich przygód" Józefa Stalina na Zakaukaziu był rektor Tbiliskiego Uniwersytetu Małakija Toroszelidze. Jesienią 1934 roku Ławrientij Beria wezwał do siebie Małakija Toroszelidze i zaproponował mu napisanie książki o bolszewickich organizacjach Zakaukazia. Józef Stalin szczegółowo poinstruował Małakija Toroszelidze o kim pisać, jak pisać, co wyróżnić, a co pominąć. Pomocnikiem Małakija Toroszelidze został Ernest Biedija. Materiały archiwalne były dość ubogie, w latach konspiracji nie prowadzono protokołów i dzienników, jako główne źródło informacji posłużyły autorom wspomnienia uczestników wydarzeń. Zbieranie materiałów Ławrientij Pawłowicz Beria poruczył E. Biedii. Odkomenderował mu do pomocy kilku obrotnych aspirantów, wśród nich jedną młodą moskwiankę. Znajdowali oni będących w potrzebie starców — „świadków" i „uczestników" walk rewolucyjnych. Ernest Biedija wręczał każdemu paczkę z pieniędzmi: 200—300 rubli. Że to niby towarzysz Stalin pamięta i prosił o przekazanie swojego honorarium.

Na początku stycznia 1935 r. Małakija Toroszelidze zawiózł do Moskwy rękopis — 250 stron. Józef Stalin zatrzymał tekst. Po kilku dniach wezwał Małakija Toroszelidze i zwrócił rękopis ze swoimi uwagami. Tam, gdzie wspomniano jego imię, Józef Stalin wykazał troskę o epitety: *„ze wspaniałą mową"*, *„wyjątkowa prycypialność"*, *„bezwzględnie walczył"* itp. Wiele uwag w stylu: *„z inicjatywy towarzysza Stalina"*, *„towarzysz Stalin rozwija walkę"*... Józef Stalin zdecydował jednak, by autorstwo książki przypisać młodemu i obiecującemu Ławrientijowi Berii.

W 1936 roku autorów, twórców beriowskiego fałszerstwa aresztowano, oskarżono o spisek terrorystyczny przeciw Józefowi Stalinowi i przykładnie ukarano. Ławrientij Beria nikogo nie pominął — nawet moskiewskiej aspirantki. Jedynie ona przeżyła. Po powrocie z obozu do Moskwy przyszła do KC KPZR i napisła krótką historię tej wspaniałej książki.

„JUNOST" nr 12 z 1988 r.
Tłumaczyła i opracowała:
BARBARA MADANOWSKA

Andrzej Makowiecki 8

PIĘĆDZIESIĄT MELONÓW

Rys Janusz Szymański-Glanc

No, no! Ten nie znany mu zupełnie z widzenia i ze słyszenia Malinowski też miał samochód. Zdziwiony Bernard stwierdził, że nie był to wcale zachodni wóz, lecz terenowa wersja łady, niva 1600, z dodatkową przekładnią biegów, z napędem na tylną i przednią oś i z niezależnym zawieszeniem dla wszystkich czterech kół uzbrojonych w nowe japońskie opony Super Digger IV Yokohama. Wąskie błotniki o gumowych uszczelkach dowodziły, że można je w każdej chwili wymienić. Slepia czołowych reflektorów wyposażone były w wycieraczki, a wnętrze pojazdu w radio, w umieszczony dyskretnie pod dachem antyradar i w dysze klimatyzacyjne, zdolne w największy upał obniżyć temperaturę powietrza tak wydatnie, że trzeba sięgnąć po sweter. Takim wozem można polować na lwy w Afryce. Ale z tyłu, za dwoma pierwszymi, jedynymi zresztą siedzeniami, w pomieszczeniu, gdzie powinien spoczywać zabity lew, spoczywały od podłogi po dach bezlitośnie stłoczone wyroby z madery i teksasu, których zresztą jeszcze więcej było w przyczepie.

Malinowski podawał łaskawie rękę żegnającym go czołobitnie dostawcom, tymczasem jego niemłody już, najwyraźniej sterany życiem goryl zdawał się drzemać na przednim prawym siedzeniu z kwaśną miną osobnika cierpiącego na wrzód dwunastnicy.

Nie wiadomo skąd zaświtała nagle w głowie Bernarda myśl, że spotka jeszcze tego człowieka o żółtawej twarzy i rzadkich, mysich, zaczesanych do góry włosach. Pił wolno mętną landrynkowatą ciecz, chłodniejszą trochę od lekko wystudzonej zupy i palił bez smaku drugiego już papierosa. Słońce przygrzewało solidnie, czuł na spoconym czole delikatną pieszczotę wiatru. Świat dookoła był piękny, piękne były opalone, wydekoltowane, spacerujące z leniwym wdziękiem dziewczyny, których czujne, bystre ślepka myszkowały pilnie w dżinsowym buszu z nadzieją na coś specjalnego. Gołębie i wróble dziobały w pokojowej koegzystencji piaszczyste obrzeża jarmarku, dzieciaki objadały się lodami, a Cyganki o tłustych policzkach wróżyły z kart.

Bernard westchnął pełną piersią. Nerwy puściły. Nie jest źle. Żyje, oddycha, ma co jeść, wieczorem zawsze może palnąć sobie lufę. Zapłacił i ruszył ku swojemu niefartownemu stoisku bacznie unikając spojrzeń kolegów — straganiarzy. Jak gracz, który odchodzi na chwilę od rulety, aby przeczekać złą passę, tak i Bernard zaczynał wierzyć, że kapryśne koło fortuny potoczy się zaraz w drugą stronę. Zaraz zrobi początek, jeśli nie zrobiła go już żona, a potem będzie sprzedawał jak szalony. Przyspieszył kroku. Samopoczucie konsekwentnie szybowało w górę, ale raptem uderzyła Bernardowi do głowy wściekła, zwarzona nienawiścią krew.

— Nie, ja tę kurwę zabiję! — powiedział na cały głos widząc, że żona istotnie próbuje zrobić początek z tym pajacem — łachmytą, który wykorzystując nieobecność gospodarza, znowu podjechał do budy ze złotą, odziedziczoną po babci doxą.

Transakcja była już dokonana, ale Bernard zwrócił pajacowi zegarek, odebrał mu pieniądze i kopnął go bez żenady w kościsty tyłek z ostrzeżeniem: — Spadaj, bo zawołam milicję. — Potem zabrał się na dobre do żony, wciągając ją, jak poprzednio, do namiotu, łapiąc za włosy i waląc otwartą ręką w twarz. Walił długo i precyzyjnie, a gdy kobieta pozwoliła sobie na głośny, histeryczny ryk protestu, zwinął pięść i zdzielił ją w zęby.

Upadła. Runęły na nią sterty dżinsowych produktów. Boczna ściana namiotu wybrzuszyła się niebezpiecznie, co zostało chyba zauważone przez straganiarzy, bo rozległo się radosne i uszczęśliwione wycie.

Ktoś wrzasnął:

— Magister daje babie popalić!

A ktoś inny:

— I ma rację!

Poszkodowana leżała jakiś czas w ciszy i w bezruchu. Wkrótce jednak uchyliła oczy i oświadczyła spokojnym, beznamiętnym, groźnym, jak jej się zdawało, tonem:

— Zrobię sobie obdukcję.

— Zrób.

— A jutro sprawa będzie u adwokata.

— Już mi to obiecujesz pięć lat — rzekł Bernard obserwując swoją twarz w zawieszonym na ścianie namiotu lustrze.

— Tym razem dotrzymam słowa. — Wciąż jeszcze brzmiało to spokojnie i złowieszczo, ale poszkodowaną zaczęły już trochę drażnić manewry, jakie wyczyniał przed lustrem jej wredny mąż. Przecierał oczy i obmacywał szczękę; zupełnie jakby to on był pobity, nie ona. Włączyła więc drugi, a potem trzeci bieg: — I nie myśl, skurwielu, że dam się wyruchać z mieszkania i z pieniędzy — powiedziała dużo już głośniej. Widząc, że Bernard przystąpił z kolei do oglądania zębów, nie mogła już dłużej wytrzymać i powróciła do swojego ulubionego tonu to jest: do wrzasku. — Z samochodu też się nie dam wyruchać, ty parszywa chamska gnido! — zawyła, czemu zawtórowało momentalnie uszczęśliwione wycie na placu.

Bernard stanął nad małżonką pakując pięść do kieszeni. Wówczas darła się już na cały regulator:

— Ludzieee! Ratunkuuu! Chce mnie zamordować!

— Kto by cię tam chciał mordować — Rzucił na ziemię klucze od kiosku, powiedział: — Baw się — i wyszedł.

Gdyby bił ją dalej, gdyby mogła dalej awanturować się i wrzeszczeć, wszystko byłoby jeszcze w jakim takim porządku. Opuścił jednak perfidnie bitewny poligon pozostawiając biedaczkę w stanie niezaspokojonej furii i wzburzenia. Rozczochrana, potargana zapłakana, z usmarkanym nosem i rozmazanym pod oczami tuszem wybiegła przed namiot ku uciesze zachwyconych straganiarzy. Nie próbowała nawet walczyć z nawałem uczuć. Chęć przedłużenia awantury i pragnienie draki były silniejsze od wstydu. Wołała, wrzeszczała, wyła za odchodzącym Bernardem:

— Stój, łajdaku! Poczekaj! Wróć! Muszę iść na obdukcję!

Bernard zanurkował w tłum. Biegła za nim ujadając i skowycząc aż do parkingu po drugiej stronie hali Geyera, ale zdążył uruchomić samochód i odjechać.

Jak to dobrze, że nie mam z nią dzieci — pomyślał.

Nie po raz pierwszy pocieszał się w ten sposób. Zapragnął nagle zobaczyć brata, ale Jacek był o tej porze w szkole. Tak czy inaczej, skierował się ku śródmieściu i w pięć minut później wkołował na podwórko starego łódzkiego domu

2.

— Siadać, dzieciarnia, Idiota nadchodzi! — zawołał wesoło syn chirurga Waldemar Manol — Wyostrzcie swoje leniwe mózgi notorycznych matołków, bo ja tu dzisiaj przeczuwam masakrę.

Przystojny, doskonale ubrany szczeniak lekarza powiódł dookoła wzrokiem przekonany,, iż jego kwiecista przemowa wywołała sprawiedliwy entuzjazm. Ale zawiódł się nieprzyjemnie Była druga połowa kwietnia. Do matury pozostało niewiele ponad trzy tygodnie. Nie wszyscy jeszcze mieli uregulowane stosunki z Idiotą, wykładowcą języka polskiego, toteż zamiast oddawać się niewczesnym żartom, uczniowie klasy 4 c szybko zajmowali swoje miejsca w ławkach.

Była to klasa o profilu biologiczno-chemicznym w liceum, któremu patronował wybitny pisarz. Szesnaście dziewcząt i osiemnastu chłopców, materiał wyselekcjonowany z zamożnych rodzin bez oglądania się na uzdolnioną biedotę, układało na pulpitach notatki, zeszyty, podręczniki oraz całe sterty lektury, aby przekonać Idiotę o swojej niezwykłej pracowitości i wszechstronnym oczytaniu.

Idiota siadł niedbale za stołem i nie otwierając dziennika dla sprawdzenia listy obecności, przyjrzał się trzem rzędom markotnych owieczek.

— Jednej osoby brak — powiedział.

— Zgadza się, panie profesorze — przytaknął Manol, który pełnił funkcję gospodarza klasy. — Borkowska jest chora.

— Chora?

— Chora.

— I na cóż ona, biedaczka, choruje?

— Grypę podłapała, panie profesorze — wtrąciła jedna z dziewcząt, niejaka Iwona Cymer.

— Podłapała mówisz?

— Tak.

— Ho, ho! To z ciebie naprawdę zdolna dziewuszka. Będę musiał sprawdzić w słowniku, czy jest w ogóle czasownik z takim przedrostkiem i czy wolno go ewentualnie odnieść do grypy. Może on raczej pasuje do jakiegoś innego paskudnego choróbska. Ale ja ci chciałem zwrócić uwagę, moja panno, że ty jesteś w liceum na lekcji polskiego, a nie w szpitalu zakaźnym na oddziale dla syfilityków.

— Przepraszam, wymsknęło mi się, panie profesorze.

— Matko Boska! — Idiota potrząsnął swoją łysą, idealnie okrągłą głową, którą ponad uszami otaczał wianuszek siwych, niebywale gęstych włosów. — Wymsknęło się jej! Czegóż ja cię nauczyłem przez te cztery lata, hę?! — Obleśna, zbyt czerwona trochę jak u mężczyzny warga starego satyra opadła obnażając wyłatane srebrem zęby. Mięsisty nochal zmarszczył się niebezpiecznie. — Same idiotyzmy i trywializmy. Zupełnie jakbyś obcowała codziennie z prozą naszych utalentowanych pisarzy rynsztokowych.

Należy wspomnieć, że Idiota zionął nienawiścią do współczesnej polskiej literatury, jeśli zaś chodzi o współczesną literaturę łódzką, twierdził wprost i bez osłonek, iż nadaje się ona wyłącznie jako aneks do papieru toaletowego trzeciej klasy. Z siebie natomiast był zadowolony. Gdyby chciał, od razu dmuchnąłby powieść niewiele tylko gorszą od „Krzyżaków" Henryka Sienkiewicza, który był jego zdaniem bezwzględnie najwybitniejszym autorem w dziejach narodu.

Idiota kochał Sienkiewicza i poważał go jako nieżyjącego kolegę. Obaj z Heńkiem mogliby dokonać cudów Nagroda Nobla to było zero, zwykły śmieć, gdyby oni obaj z Heńkiem rozpoczęli działalność. Zapalił wbrew regulaminowi papierosa i włożył zużytą zapałkę do pudełka. Tylko raz zdążył strząsnąć popiół na podłogę, gdyż Manol wydobył spod ławki dyżurny spodek i podstawił go usłużnie.

Trzepnięciem ręki Idiota odwiał dym od swego szlachetnego oblicza, dając jednocześnie znak Manolowi, aby zmykał. Ten jednakże, czy to dla zgrywy, czy też z troski o płuca kolegów, podskoczył do okna i otworzył je szeroko zapewniając:

— Cały dym wyleci zaraz, panie profesorze.

— Nie cały, tylko wszystek, bałwanie! — skontrował go kolega Heńka.

— Wszystek, tak jest!

— Słuchaj no, Manol!, to nie są ćwiczenia wojskowe, ani obóz kondycyjny dla rekrutów, żebyś mi tu pokrzykiwał „tak jest". Czyżbyś wyniósł z domu tak nędzny zasób synonimów? Storczykowska!

— Słucham, panie profesorze? — Ładna dziewczyna o szczupłej sylwetce i niepokojąco dużych piersiach wstała i spojrzała Idiocie w oczy.

— Czym można by zastąpić w cywilu wojskowy zwrot „tak jest"?

— Można by powiedzieć „oczywiście, panie profesorze", „naturalnie, panie profesorze", „bez wątpienia, panie profesorze".

— Siadaj, Michalak!

Wytrącony z drzemki młodzieniec, skądinąd syn dyrektora potężnej firmy polonijnej, zerwał się jak kot i wrzasnął:

— Ojciec będzie u pana w tych dniach, panie profesorze!

Idiotę zatkało. Przyglądał się Michalakowi z osłupieniem próbując dociec, czy chłopak jest sprytny i bezczelny, czy też jedynie głupi. Ustalił, że fakty przemawiają raczej za tym ostatnim, zadał więc Michalakowi pytanie łagodne:

— Wiesz, kto napisał „Dżumę"?

— Camus, rzecz jasna, wielki egzystencjalny pisarz francuski.

— Doskonale, Michalak. Siadaj, Rozwadzińska.

Latorośl szefowej „Domu Mody", dziewuszysko brzydkie i tak otłuszczone, że nie były w stanie tu pomóc żadne fatałaszki, dźwignęło z mozołem niepoślednich rozmiarów zadek. Potrąciła koleżankę, zwaliła na ziemię stertę podręczników. Wstała, krótko mówiąc, hałaśliwie i niezdarnie jak słoń. Myli się jednak, kto sądzi, że ociężałość fizyczna Rozwadzińskiej szła w parze z ociężałością umysłową. Panna błyskawicznie wysnuła naukę z trafnej reakcji kolegi Michalaka i palnęła niezwłocznie:

— Moja mamusia też się do pana wybiera, panie profesorze, bo bardzo się o mnie niepokoi i nie wie, czy robię właściwe postępy.

Idiotę zamurowało ponownie. Mrugał wyłupiastymi, przeraźliwie wielkimi oczami z takim zdziwieniem, jakby miał przed sobą raroga. Szokujący tupet! Ze starym Michalakiem można było jeszcze od biedy wytrzymać, ale matka Rozwadzińskiej nigdy nie grzeszyła taktem. Krawaciki, woda kolońska... Wolne żarty, psiakrew! Klasa gotowa pomyśleć, że on nic innego nie robi, tylko przyjmuje łapówki, a on jest przecież nieprzekupny i paru bęcwałów musi dla zasady utrącić.

— Postępy, powiadasz?! Ty i właściwe postępy?! — Zaśmiał się jadowicie, a wraz z nim gruchnęła śmiechem cała klasa. — Nie, ja nie wytrzymam! — Z ogromnych, nieprawych oczu Idioty pociekły łzy rozbawienia. — Mamusia się niepokoi, dobre sobie! Powiedz no mi, moja panno, co to jest „Siedemdziesiąt razy siedem"?

Czerwona jak sztandar buzia Rozwadzińskiej wyrażała kompletną niemoc i rezygnację, ale gdzieś z tyłu padła litościwa podpowiedź.

— Siedemdziesiąt razy siedem to jest działanie matematyczne — oświadczyła z godnością dziewczyna łudząc się, że maturalny próg zostanie tak czy owak pokonany.

— Na pewno? — podpuszczał biedaczkę Idiota.

— Ależ tak, panie profesorze, na pewno! W sumie to da czterysta dziewięćdziesiąt.

Idiota pokręcił łysiną i otworzył dziennik ocen.

— Nie, moja droga. W sumie da to zaledwie dwóję.

Rozwadzińska zadrżała. Podniosła obydwie ręce do góry i kropnęła pięściami w pulpit. Ponieważ wybryk ten nie ukoił jej wzburzonych uczuć, zaczęła beczeć i przytupywać. Chlipała:

— To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe! Pójdę do dyrektora!

— A idź — powiedział beztrosko Idiota. — Gdzie byłaś miesiąc temu, jak prowadziłem wykład na temat literatury iberoamerykańskiej? Wymieniłem wtedy parę nazwisk i parę tytułów.

— Tak jest! — poparł Idiotę Waldemar Manol. — Pan profesor był łaskaw wspomnieć między innymi znakomitą książkę Dalmiro Seanza „Siedemdziesiąt razy siedem".

— Otóż to! Wspomniałem i kazałem ją przeczytać. Jest w naszej szkolnej bibliotece. Jest także w każdej innej bibliotece Kto ją czytał?

Las rąk podniósł się na wszelki wypadek do góry.

— No i co? — triumfował Idiota. — Wszyscy czytali, a ty nie czytałaś. Ty wolałaś opychać się czekoladą. Idź zatem do dyrektora, a mamusi powiedz, że jeśli nawet robisz jakieś postępy, to przede wszystkim na wadze Ciężar mózgu pozostaje w każdym razie bez zmian.

Klasa w dobrze pojętym interesie własnym wydała pomruk aprobaty.

— Cisza, bęcwały! — ryknął Idiota waląc dziennikiem w stół.

Był zadowolony. Tok lekcji sprawiał mu autentyczną przyjemność, a wrzeszczał jedynie z wyrachowania. Trochę terroru wyjdzie na zdrowie zarówno uczniom jak i rodzicom. Uuu! sporo wizyt przewidywał Idiota w tym gorączkowym przedmaturalnym okresie Będą biegali do niego w dyrdki Będą się mizdrzyć i łasić, lecz on zna swoją cenę Byle czym go nie kupią

Warto dodać, że Idiota był nie tylko przeciwnikiem współczesnej literatury polskiej Światły ów mąż pałał również serdeczną nienawiścią do współczesnych metod nauczania. Wyszydzał je bezlitośnie przy każdej okazji, a jak brakowało takowej, to sam ją stwarzał, aby ulżyć sobie w cierpieniu.

Odczekawszy zatem kilka chwil, uśmiechnął się satanicznie i pociągnął:

— No, po tej krótkiej rozgrzewce przejdźmy teraz do rzeczy poważnych. Zastanówmy się wspólnie, cóż też cisną nam na maturalny stół te matoły z ministerstwa, cóż też oni znowu takiego nie wymyślą, abyście mogli lać wodę i przepchać się jakoś do egzaminów ustnych.

Albo był jakiś przeciek, albo Idiota miał jasnowidzenie, bo trafiał w sam środek tarczy.

— Może to być temat pod bałowatym tytułem „Rola jednostki i zbiorowości w epokach romantyzmu i pozytywizmu" — szydził. — Może to być „Twój ideał kobiety w literaturze polskiej". — Przy czym muszę wam od razu powiedzieć, że o kobietach najlepiej pisali homoseksualiści! Myślał jeden z drugim nicpoń o parobku, a w książce wychodziła z tego dziewucha. Tak, moi kochani. — Idiota zaczerpnął tchu i wskoczył na swojego ukochanego konia: — Niewykluczone, że matoły z Warszawy pójdą wreszcie po rozum do głowy i każą wam odpowiedzieć na pytanie: „W czym tkwi istota i potęga narodowej epopei Henryka Sienkiewicza, którą zwiemy popularnie trylogią"?

— Rozpierdolił ich — rzekł z podziwem Manol do Jacka T.

— Jak to Idiota — odpowiedział półgłosem Wicher.

Siedzieli w tej samej, pierwszej ławce najbliżej drzwi i profesor usłyszał ich krótką wymianę zdań. Manol ma u mnie czwórkę na maturze — zdecydował. — Natomiast tego drugiego, aroganckiego drania przytnę. I to od razu!

— I jak, mości panie? — zwrócił się do Jacka. — Tata pisze ze Stanów?

— Ojciec jest obecnie w Meksyku, panie profesorze — wyjaśnił uprzejmie Wicher — Mieszka w Cuernabace, w tym mieście, gdzie Malcolm Lowry napisał swoją znakomitą powieść „Pod wulkanem", którą pan zapewne zna.

— Znam ją — skłamał gładko profesor — ale zechciej przyjąć do wiadomości, że my nie żyjemy pod wulkanem w Meksyku, tylko pod wulkanem w Polsce.

— Nigdy bym pana o to nie posądzał, panie profesorze — powiedział z emfazą Jacek. — Bardzo ładnie pan to sformułował.

— Podobało ci się?

— Tak

— Powiedz zatem, w czym tkwi istota i potęga narodowej epopei Henryka Sienkiewicza która zwiemy popularnie trylogią?

Nie zmieszany Jacek odpowiedział pełnym zdaniem.

— Istota i potęga sienkiewiczowskiej trylogii tkwi przede wszystkim w okrucieństwie panie profesorze. — Wstał, strzelił obcasami i dodał: — Tak jest!

C.D.N.

■

Wideonotes

FILM, TV, WIDEO

Rozmowa z MARIUSZEM GRZEGORZKIEM, studentem Wydziału Reżyserii PWSFTViT im. L. Schillera w Łodzi, laureatem wielu głównych nagród na międzynarodowych festiwalach filmowych za etiudy: „KRAKATAU" i „ROBAK".

— Czy uważa pan, że osiągnięte nagrody na międzynarodowych festiwalach filmowych spełniają promocyjną funkcję wobec dalszych poczynań artystycznych młodego reżysera?

— To jest szalenie skomplikowany problem. Wydaje mi się, że festiwale są demonizowane. Trudno ocenić na ile reprezentatywna jest nagroda uzyskana na festiwalu. To wszystko zależy od tego kto nagrody przyznaje, czyli kto wchodzi w skład jury oraz od rangi festiwalu — są one różne. Jeżeli chodzi o rezonans, jaki wywołuje uzyskana nagroda, jest on raczej umiarkowany. Większe wrażenie robią te nagrody na ludziach z zewnątrz, którzy podchodzą do nagród w sposób emocjonalny, wrażenie, że ktoś otrzymał Grand Prix. Ludziom wydaje się, że to niebywałe osiągnięcie, które „pcha do przodu" karierę, zwłaszcza młodego twórcy filmowego. To jest mylne przeświadczenie. Czy nagroda w czymś pomaga? Pomaga o tyle, że w moim środowisku, wśród kolegów i profesorów szkoły filmowej której w dalszym ciągu jestem studentem moja pozycja jako studenta jest trochę lepsza. Przejawia się to w sprawach związanych ze szkolnymi produkcjami. Pozwolono mi realizować filmy na trochę lepszych warunkach np. dłuższy metraż następnego filmu **„Robaka"** realizowanego po nagrodzonej etiudzie **„Krakatau"**

— Która z nagród ceni pan sobie najbardziej?

— Teoretycznie powinno to być **Grand Prix** uzyskane na **Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dyplomowych w Tours**, w listopadzie 1988 r., a więc na festiwalu, gdzie pokazywano dzieła najbardziej dojrzałe. Do konkursu startowało 40 filmów wyselekcjonowanych spośród 120 nadesłanych z całego świata. Były tam filmy z: Europy, Ameryki, Kanady a nawet Indii — przekrój szeroki, ale mnie wcale nie cieszy tak bardzo ta nagroda. Znacznie więcej satysfakcji dostarczyło mi **Grand Prix** otrzymane w **Monachium na Międzynarodowym Festiwalu Szkół Filmowych**, także w listopadzie 1988 r.

— Czy może pan to uzasadnić?

— Bardzo istotne jest kto nagrody przyznaje. W przypadku nagrody monachijskiej jurorami byli studenci. Zawsze przewodniczy im jeden profesjonalista. Tego roku był nim **Alan Parker**, reżyser, którego bardzo cenię i wydaje mi się, że jego sposób postrzegania świata jest w pewnym stopniu pokrewny mojemu. Ucieszyło mnie bardzo, że pomiędzy nami przeskoczyła „iskra" wzajemnego zrozumienia, że on poczuł ten bardzo subiektywny film.

Poza tym, dwa lata temu byłem członkiem takiego studenckiego jury, właśnie na festiwalu w Monachium. Wiem jak szalenie trudno jest przyznać nagrodę koledze reprezentującemu inną szkołę. Kryteria ocen są bardzo zawężone. Studenckie jury w bardzo analityczny sposób przygląda się filmom, stąd bywają prawdziwe walki o ostateczne przyznanie nagrody.

— Skoncentrujmy uwagę na pańskim sposobie widzenia świata. Filmy „Krakatau" i „Robak" zdają się potwierdzać, że jest pan na etapie wypracowywania własnego, odrębnego charakteru pisma. Jakie jest zatem pańskie filmowe widzenie otaczającej rzeczywistości?

— Problem jest ewidentny. Cierpię na chorobę, którą można by nazwać głodem emocji w filmie. Patrząc na otaczający mnie świat staram się wyłowić z niego wszystko to, co jest bardzo intensywnym emocjonalnie efektem. Staram się właśnie ten efekt przełożyć na język sztuk plastycznych. Moje wcześniejsze, malarskie zamiłowania bardzo mi w tym pomagają. Uważam, że naczelnym zadaniem artysty jest przetworzenie świata i przetworzenie rzeczywistości po to, by uzyskać prawdę. Oczywiście że mam świadomość banalności tego stwierdzenia. Ale dostrzegam konieczność powtarzania tego banału nieskończoną ilość razy. Odnoszę dziwne wrażenie, że większość polskich twórców filmowych zapomina o tej dziwnej zależności. Wielkim artystom może być tylko ten człowiek, który otaczający świat, sposób widzenia rzeczywistości, jej odczuwania potrafi tak niesamowicie zsubiektywizować, tak przetworzyć, że to nagle staje się metafora i przenosi się w inny wymiar. To nie ma nic wspólnego z tym, co sceptycy nazywają wydziwianiem czy „awangardyzowaniem".

— Czy nie obawia się pan, że kino tak bardzo subiektywne do wielu ludzi w ogóle nie dotrze?

— Oczywiście istnieje ryzyko, że dla pewnego rodzaju wrażliwości widza, odmiennej od mojej, film będzie hermetycznie zamknięty, niedostępny, ale z kolei jestem głęboko przekonany, że dla tych wszystkich, których wrażliwość pokrywa się z moją film będzie prawdziwym wstrząsem, przeżyciem, a nie tylko neutralnym pójściem do kina na film, który zapomina się w pięć minut po wyjściu.

— Czy nie obawia się pan zaszufladkowania pańskiej twórczości?

— Tak. Próbuję wyzwolić się z wszelkich ram klasyfikacyjnych. Niektórzy „życzliwi" mi ludzie już na tym wczesnym etapie sugerują mi „manieryczność" mojej filmowej wypowiedzi, zarówno w treści jak i w formie...

— I co pan na te zarzuty?

— Kto chce może to nazwać manierycznością. Dla mnie jest to świadomie wypracowany środek ekspresji. Jest to forma, która w tej chwili, w najbardziej precyzyjny sposób artykułuje to, co chciałbym powiedzieć. Na razie nie czuję się gotowy, ani nie mam zamiaru zrywać z tym językiem tylko dlatego, żeby komuś, nie wiem z jakiego powodu, udowodnić, że potrafię zrobić coś innego. Ja tego nie chcę! Proszę spojrzeć, pomimo tego, że „Krakatau" i „Robak" są filmami o zbliżonej poetyce, to wymagały ode mnie wyjścia naprzeciw zupełnie innym zadaniom reżyserskim. Wydaje mi się, że stopniowo rozwijając się nakładam na siebie coraz to nowe zadania realizacyjne. „Krakatau" było esejem, rodzajem impresji o szaleniu luźnej strukturze. To był tylko zbiór rzuconych plam, które składały się na „rozemglony" obraz, ostatecznie spięty mocnym tinalem. Moja wrażliwość została zaprezentowana w sposób delikatny i abstrakcyjny. Zaś „Robak" jest filmem czysto reżyserskim.

— Czy ma pan sprecyzowane plany na przyszłość?

— I tak i nie. Na razie kończę film dokumentalny, ostatnia ze szkolnych prac. Ponieważ dokumentu nie czuję, z tym większym wysiłkiem, nakładem czasu i pracy podchodzę do tej realizacji. A dalej... No cóż, chciałbym przystąpić jak najszybciej do debiutu kinowego. Pomysł mam. Muszę powalczyć o prawa autorskie. Ale to w przyszłości...

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

„Szukam prawdziwej emocji..."

A może do kina?

Claude Chabrol — twórca takich filmów jak: **„Niech bestia zdycha", „Rzeźnik", „Sprzedawca kapeluszy"** i in. — dał o sobie znać kolejnym filmem pt. „Maski", który dziś przedstawiamy. Obraz łączy kryminalna intrygę z drapieżnym humorem, a jego twórca proponuje widzowi wieloznaczną grę: Szacowny prezenter i producent telewizyjny, uszczęśliwiający starszych ludzi w swym programie-konkursie z nagrodami oraz młody dziennikarz, pragnący napisać o nim książkę. I oto podczas wspólnie spędzonego tygodnia w wiejskiej posiadłości zdarzają się rzeczy dziwne i niepokojące — z uśmiechniętych twarzy opadają maski. Ujawniona zostaje rzeczywista motywacja poczynań bohaterów tego komediodramatu. W rolach głównych: **Philippe Noiret, Rabin Renucci, Bernadette Lafont** i inni.

Fakty ◆ Plotki ◆ Anegdotki

* Mówi się o 52 odcinkach. Faktem jest, że przez najbliższy rok oglądać będziemy na małym ekranie (inauguracja: 30 grudnia, godz. 19.00) rodzimy serial-tasiemiec pt. „W labiryncie". Scenariusz napisał Wojciech Nitwński, reżyseruje Wojciech Karpiński, występują: Agnieszka Robótka, Marek Kondrat, Piotr Skarga, Sławomira Łozińska, Leon Niemczyk, Renata Pekul.

* Nie jesteśmy odosobnieni w namiętnym oglądaniu seriali telewizyjnych. Dwa lata temu rekord popularności pobiła (podobnie jak u nas) w programie ARD w RFN „Niewolnica Isaura". To sprawiło, że zakupiono natychmiast, podobny tematycznie i z tą samą obsadą aktorską, brazylijski tasiemiec liczący... 170 odcinków, pt. „Panienka", w którym Lucelia Santos gra córkę plantatora, zaprzyjaźnioną ze skrzywdzonym przez ojca niewolnikiem. Tym razem ojca gra Rubens de Falco.

* Centralna telewizja radziecka zapowiedziała od nowego roku uruchomienie nowego kanału — oświatowego. Na tym kanale emitowane będą (w dni powszednie wieczorem, zaś w soboty i niedziele od rana do późnych godzin) nowości nauki i techniki kultury i sztuki oraz nauka pięciu języków obcych w sześciu blokach programowych. Na razie kanał oświatowy będzie transmitował program do europejskiej części ZSRR (dla ok. 25 mln widzów!).

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, który przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

16 lutego — RYSZARD BINKOWSKI — godzina 10—15.

23 lutego — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO Z 9 LUTEGO 1989 ROKU

Jedna z mieszkanek (nazwisko i adres tylko do wiadomości redakcji) najstarszego bloku na Widzewie opowiedziała perypetie z remontem dokonywanym w pobliżu tego bloku. Jest to remont obiektu podlegającego Obronie Cywilnej. Nasza CZYTELNICZKA nie wnika, czy jest on konieczny, choć mieszkańcy bloku próbowali interweniować. Remont trwa od listopada. Przy okazji zdewastowano podwórko, gruzem przysypano drzewa, zniszczono klatki schodowe, a węzły cieplownicze i gazowe były poważnie zagrożone. Nasza Czytelniczka w imieniu lokatorów bloku pyta, czy remontując jedno, można niszczyć drugie? I kto pokryje straty? Pytany o to ROM nr 3 z Widzewa milczy.

Pan **Z. R.** (imię, nazwisko i adres do wiadomości redakcji) poskarżył się na Oddział Paszportowy Górnej. Jego zdaniem dobrze pracuja odpowiednie oddziały paszportowe w Śródmieściu i na Widzewie, fatalnie natomiast na Górnej i na Bałutach. Dlaczego tak jest?

Na czym ta fatalna praca polega? Otóż przede wszystkim za mała jest obsługa oddziału, niesprawna informacja, na wydanie paszportów oczekuje kolejka około 1000 osób. Jest to kolejka społeczna, trzeba się „odhaczać" na liście, a krótko przed wydaniem paszportu trzeba stać w nocy. Czy nie można tego inaczej zorganizować?

Pan Z. R. i jego kolega, który się przyłączył do rozmowy, powiedzieli, że na rogu ul. Piramowicza i Jaracza jest sklep spożywczy, w którym pracują trzy osoby. Najmłodsza stoi za ladą, a dwie starsze siedzą na zapleczu i gadają. Trudno się więc dziwić, że w sklepie tym zawsze jest kolejka. Najmłodsza pracownica sklepu spisuje się znakomicie, ale czy nie mogłyby tak pracować i dwie pozostałe panie?

Pani **D. Rz.** (nazwisko i adres do wiadomości redakcji), która pracuje w handlu uważa, że to wcale nie jest tak, że ekspedientki mogą wywiesić kartkę: „Zamknięte z powodu choroby". Jej syn leżał w WSZ im. Mikołaja Kopernika w Łodzi i mogła przyjrzeć się pracy pielęgniarek, szczególnie w nocy. Trudno wtedy doprosić się o lekarstwa lub inną pomoc. Wprawdzie w szpitalach brakuje pielęgniarek, ale w handlu też brakuje ludzi i trzeba sobie jakoś radzić.

Doktor S. (nazwisko do wiadomości redakcji) jest kierowniczką jednej z przychodni przemysłowej służby zdrowia. Jej zdaniem napisałam o płacach w służbie zdrowia stronniczo, gdyż pokazałam tylko jedną ze stron — szpital. Doktor S. ma tylko rok do emerytury, chciałaby już mieć spokój, ale zarabia tylko 47 000 złotych zasadniczej pensji i uważa, że proponowane podwyżki niczego nie rozwiązują. Jej przychodnia obsługuje kilka zakładów pracy i lekarze widzą, jak opłacani są robotnicy, ile mają różnych dodatków i jakie mają premie. Lekarze są takim stanem rzeczy rozgoryczeni i trudno odmówić im racji.

Pan **MIELCZAREK** — mieszkaniec Widzewa Wschodu zwraca MPK uwagę na fakt, że przy ul. Lodowej jest krańcówka autobusów: „69", „72" i „77". Dwa przystanki dalej jest krańcówka autobusów „B" i „85". Inne, które dawniej tu się zatrzymywały jeżdżą teraz na Olechów. Pan M. pyta za naszym pośrednictwem MPK, czy nie można przesunąć krańcówki autobusu „69" o te dwa przystanki, a wtedy Widzew Wschód byłby idealnie skomunikowany z południową częścią miasta.

Pan **EDMUND GOŻDZIECKI** z Dąbrowy przypomina nam, że sprawa lokalizacji „Polonitu" na Dąbrowie budzi wiele zastrzeżeń mieszkańców i zaprasza reportera „Odgłosów" na zebranie TOP 21 lutego 1989 roku o godzinie 16.00. Skorzystamy!

Pan **HENRYK JANKOWSKI** z Bełchatowa (ul. 19 Stycznia 2 m. 4) po raz trzeci skarży się na sąsiada, który posiada instalację prądu trójfazowego. Pan H. J. nie może z tego powodu oglądać telewizji, gaśnie mu światło. Wszyscy eksperci, którzy instalację tę oglądali, utrzymują, że wszystko w porządku: zgodnie z normą i zgodnie z przepisami. A telewizji pan H. J. nadal nie może oglądać. Czy naprawdę nie ma takiej siły, która doprowadziłaby tę sprawę do porządku, żeby sąsiad miał instalację trójfazową i pan H. J. mógł oglądać telewizję? Prosimy Państwową Inspekcję Radiową w Piotrkowie Trybunalskim o zajęcie się tą sprawą!

Mieszkaniec Aleksandrowa, pan **O. W.** (imię i nazwisko znane redakcji), jeden z lokatorów 16 domków jednorodzinnych z ulicy Wolności prosi o pomoc w Wydziale Komunikacji UML. 14 listopada 1988 roku lokatorzy tych domków wysłali pismo z prośbą o zbadanie lokalizacji garaży, z który wyjazd jest wprost na jezdnię, co może stać się przyczyną wypadku. Jak do tej pory Wydział Komunikacji UML milczy.

A kiedy budowano te garaże, to Wydział Komunikacji UML nie opiniował projektu i dokumentacji? Może teraz boi się przyznać do własnego błędu?

Pan **JACEK KRYSIAK** z Łodzi dopytywał się, dlaczego nie piszemy o muzyce młodzieżowej? On na przykład jest fanem „Bajmu", a o „Bajmie" nic nie piszemy. Uwagi pana Jacka Krysiaka przekazałam kierownictwu redakcji. Niech ono się teraz martwi, co powiedzieć panu J. K.

Znana mi osobiście **CZYTELNICZKA**, która woli nie ujawniać nazwiska, pyta za naszym pośrednictwem, czy młodzież szkół i internatów zlokalizowanych w rejonie ulic Łęczyckiej, Siedleckiej i Siemiradzkiego nie mogłaby sprzątnąć terenu, który teraz przypomina jeden wielki śmietnik.

Natomiast na placu, po wyburzonym domu przy rogu ulicy Siedleckiej i Jana Kilińskiego zrobiono lokalne wysypisko śmieci. Czy tego też nie można sprzątnąć?

Można, ale widać nie ma tego, komu by zechciało się chcieć!

Pan **ZDZISŁAW MAJEWSKI** — mieszkaniec wieżowca przy ul. Tatrzańskiej 65 — donosi, że w wieżowcu tym nie można odbierać telewizji, gdyż są koszmarne odbicia obrazu na ekranie. Specjalista z Państwowej Inspekcji Radiowej w Łodzi zostawił kartkę z wyjaśnieniem: „Odbicia spowodowane zabudową na kierunku nadajników I i II programu — nie jesteśmy w stanie zmniejszać odbić". Inny specjalista z PIR wypowiadał się w telewizyjnych „Wiadomościach", że w Łodzi... nie ma żadnych odbić. Pan Z. M. zastanawia się, jak to jest, że w dobie telewizji satelitarnej nie ma sposobu na odbicia na telewizyjnym ekranie? A może rzeczywiście mieszkańcy tego bloku mogliby odbierać programy TVP za pośrednictwem satelity? Na koszt PIR oczywiście i budowniczych osiedla.

Pan **J. K.** postanowił się po prostu pożalić, gdyż mieszka w 5 osób na 27 m kwadratowych, jest członkiem SM „Ogniwo" od 14 lat i czeka na większe mieszkanie. Z przyśpieszenia proponują mu... M-1. Można też przyśpieszyć samemu zamianę, ale to kosztuje do 7 tysięcy dolarów.

Pytania pana **J. K.** i **STANISŁAWA DESPUTA**, skierowane do prezydenta Miasta Łodzi przekażemy i mamy nadzieję, że prezydent odpowie na nie — taka była umowa — w następnej swej rozmowie z mieszkańcami Łodzi za pośrednictwem naszego pisma. Rozmowa ta powinna ukazać się pod koniec lutego lub na początku marca.

Pani **STANISŁAWA Sz.** (nazwisko i adres w moim posiadaniu) nie telefonowała a przyszła sama i przyniosła „Flirt". Flirt — stara i znana gra „salonowa" — nosi napis: „Tylko dla dorosłych". Mimo tego napisu, w sklepie „Arpisu" przy ul. Stefana Żeromskiego 39, sprzedano ten „Flirt" dziesięcioletniemu chłopcu.

Wytwórca jest K. Goławska z Władysławowa. „Koszulki" owej gry towarzyskiej ozdobiono erotycznymi grafikami Tomasza Jury. Bez jego wiedzy, oczywiście. Sprawa będzie miała ciąg dalszy. O szczegółach nie omieszkamy poinformować Czytelników.

To był pracowity dyżur. Nie wszystkie rozmowy zrelacjonowałam. Postanowiono bowiem — decyzja kierownictwa redakcji — że nie będziemy relacjonowali anonimowych telefonów. Dziwi mnie natomiast spora ilość rozmówców, którzy chcieli zachować swoje dane tylko dla wiadomości redakcji. Czasami w zupełnie błahych sprawach. Dlaczego?

BOGDA MADEJ

Komu nagrodę „Odgłosów"?

Pytamy dyrektora Filharmonii Łódzkiej, ZBIGNIEWA LASOCKIEGO.

— Jeszcze chyba pan nie ochłonął z wrażeń po powrocie z Florydy, gdzie jurorował pan w międzynarodowym konkursie pianistycznym w Palm Beach, a już ściągam pana z obłoków na ziemię, żeby wysondować, komu — pańskim zdaniem — i za jakiego rodzaju działalność kulturalną należałoby przyznawać doroczną nagrodę naszego tygodnika.

— Rzeczywiście wspaniałych wrażeń mi nie brakowało i byłaby to osobna opowieść, ale z chęcią wypowiem się w sprawie tak przecież ważnej, jak nagradzanie osób lub instytucji za upowszechnianie kultury. Przede wszystkim uważam, że przesadnie usiłujemy rozgraniczać zasługi zawodowców na polu propagowania kultury i sztuki od zasług niezawodowców, choć oczywiście działają oni w odmiennych warunkach, dających poniekąd większe szanse zdobycia uznania zawodowcom. U nich bowiem cała działalność zawodowa służy kulturze, gdy dla niezawodowców, dla różnego rodzaju społeczników jest to czas ofiarnie wygospodarowywany po wykonaniu uciążliwej nieraz pracy zawodowej.

— Czy nie sądzi pan w takim razie, że nie należałoby premiować nagrodą za upowszechnianie tej działalności, która np. kierowniczy zawodowych placówek artystycznych wykonują w programie wypełniania zadań placówki wobec społeczeństwa i że wyróżnienie należałoby się głównie za działalność ponadprogramową?

— Rozumiem pańskie zastrzeżenia, ale nie całkiem się z nimi zgadzam, bo wprawdzie zawodowiec nie może się uchylić od wykonywania pracy, z której po prostu żyje, wziąwszy jednak pod uwagę, jak trudno dziś obudzić w społeczeństwie żywsze zainteresowanie sztuką, należy doceniać atrakcyjne, na wysokim poziomie profesjonalnym zrealizowane działania artystyczne, bez których placówki ledwie wegetują na marginesie społecznych zainteresowań, jednakowo zasadne będzie uhonorowanie wszelkich form działania, pozyskujących ludzi dla kultury. Zarówno wypełnianie zadań planowych czy repertuarowych, jak i inicjatywy ponadprogramowe mogą okazać się tu jednakowo skuteczne. Oczywiście bez tych drugich można sobie spokojnie żyć, bo i tak pobiera się tę samą stałą pensję.

— Nie ma pan wątpliwości co do istnienia obiektywnych kryteriów oceny?

— Mamy choćby wskaźniki frekwencji, rozporządzamy danymi o aktywności placówki poza swoim terenem, np. o udziale w podróżach artystycznych, konkursach czy festiwalach, znamy opinie recenzentów...

— Tu mógłby pan z powodzeniem powołać się na przykład własnej placówki. Ale czy nie sądzi pan, że powinno się nagradzać działalność upowszechnieniową odrębnie w kategoriach zawodowców i amatorów?

— Co prawda tych ostatnich trudniej jest zauważyć i nieraz można by pominąć kogoś najbardziej zasługującego na wyróżnienie. Przekonujemy się czasem zaskoczeni, że tu a tu, ktoś od dawna propaguje bez rozgłosu niezwykle cenne wartości kultury i nieraz tylko przypadek zrządzi, że znajdzie się w polu widzenia mass mediów. Ale mimo wszystko jestem przeciwny zbyt rygorystycznym rozgraniczaniom w ocenie osiągnięć kulturalnych profesjonalistów i społeczników.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

· polemiki · listy · opinie · polemiki · listy · opinie ·

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

W SZKOLE WYŻSZEJ NADAL WIELE STOI NA GŁOWIE

W ostatnich miesiącach Ministerstwo Edukacji Narodowej zainicjowało kolejną dyskusję nad trzecią już w latach osiemdziesiątych zmianą Ustawy o Szkolnictwie Wyższym. Funkcjonowanie wyższych uczelni podobnie jak całej stawianej obecnie z „głowy na nogi" gospodarki uzależnione jest od rozwiązań problemów kadrowych. Wspomniana inicjatywa ministerialnego centrum jest o tyle zadziwiająca, że wprowadzenie zmian przewiduje się po 1991 r., czyli po granicznej dacie masowej rotacji średniej kadry naukowej, to jest adiunktów. Należy wyjaśnić na czym polega system promocji a raczej negatywnej selekcji (promocja — nagradzanie najlepszych, negatywna selekcja — zwalnianie najgorszych) kadry naukowej w uczelniach wyższych.

Przede wszystkim obowiązuje zasada mechanicznego zwalniania pracowników dydaktyczno-naukowych, którzy w ściśle określonym czasie nie uzyskają na drodze przewlekłych procedur formalno-naukowych kolejnych stopni naukowych. Okresy przeznaczone na wykonanie prac na stopień (doktorat 8 lat, habilitacja 9) podzielono na ścisłe, formalne podokresy, w których kandydat na „wyzwolonego" — samodzielnego naukowca musi wykazać się oczywiście nie osiągnięciami naukowymi a np: ukończeniem kursu dydaktyczno-ideologicznego, otwarciem przewodu doktorskiego, zapisanym w 5-stronicowej (w Uniwersytecie Łódzkim) ankiecie personalno-oceniającej temat pracy habilitacyjnej. Niewypełnienie tych warunków oznacza prawie automatyczne zwolnienie z pracy.

Po drugie — istniejący system najbardziej negatywnie działa na profesorów i docentów będących kierownikami zakładów — podstawowych jednostek organizacyjno-naukowych uczelni. Bezpośredni przełożony jest bowiem całkowicie bezradny wobec wszechwładnej mocy rotacji, gdyż niezależnie od oceny pracownika nie może go nadal zatrudnić. Zwalnia to kierownika od odpowiedzialności za rozwój naukowy podległych mu pracowników, a nawet od rzetelnej oceny ich przydatności naukowej.

W obecnym systemie praktycznie wystarczy, aby w odpowiednim czasie skrupulatna urzędniczka z działu kadr przesłała np.: doktorowi nauk z siedemnastoletnim stażem pracy wymówienie. Fikcją są w tym przypadku podpisy rektora i działania wysokich komisji składających się z 5-6 profesorów, gdyż nie mogą one podejmować żadnej decyzji niezgodnej z zasadami i datami rotacji. Jest to patologiczny przykład nadrzędności biurokratycznego przepisu nad realną, rzeczywistą oceną dorobku naukowego i braku odpowiedzialności przełożonych za swoją działalność.

Aby nie być gołosłownym kilka przykładów:

— zwalnianego, wieloletniego pracownika dydaktycznego, który w terminie nie uzyskał stopnia naukowego, ale wykazał się dużymi zdolnościami organizacyjnymi nie można (w UŁ) przenieść na etat techniczny. Lepiej zatrudnić nową osobę, często — jak to się mówi — prosto z ulicy, gdyż niskie płace prowadzą do braku chętnych do jej podejmowania na obu rodzajach stanowisk uczelnianych (technicznych i dydaktyczno-naukowych).

— faktycznie nie ma oceny pracy naukowej zakładów, kształcenia kadr itp., wystarczą dobrze sporządzone doroczne formalne sprawozdania. Istnieją zakłady „widma" przez wiele lat nie prowadzące żadnych badań naukowych, mające szczątkową obsadę personalną i nikt za taki stan rzeczy nie ponosi odpowiedzialności, gdyż kierowników, a tym bardziej zakładów się nie rotuje.

— całkowicie brak faktycznej a nawet formalnej oceny pracy dydaktycznej pracowników. Nawet najlepszy dydaktyk, wyróżniany, odznaczany autor podręczników będzie zwolniony, gdy w terminie nie wykona pracy na stopień. Ta forma awansowania powoduje, że dla większości rozsądnych pracowników dydaktycznych dydaktyka jest przysłowiową kulą u nogi. Jest to świetny mechanizm decydujący o tym, że podstawowa funkcja uczelni — nauczanie staje się zajęciem uciążliwym, niewdzięcznym i marginesowym w planach nauczycieli akademickich. Równocześnie w Akademii Nauk, której celem istnienia jest praca naukowa nie ma żadnej rotacji ani naukowej ani nawet dydaktycznej.

Utrzymywanie opisanego absurdalnego, formalno-biurokratycznego systemu wymiany pracowników naukowych uczelni jest moim zdaniem betonowaniem wspomnianej już „głowy", co to ma wreszcie być na właściwym jej z przyrodzenia miejscu.

Czyż nie racjonalniej byłoby pozostawić ocenę, przyjmowanie i zwalnianie z pracy młodych pracowników nauki ich bezpośrednim przełożonym — kierownikom zakładów obowiązkowo przecież z tytułami docentów i profesorów. Uwierzmy wreszcie, że czasem mogą być oni odpowiedzialni i uczciwi, a na wszelki wypadek należy co jakiś czas kompetentnie ocenić dorobek naukowy podległych im jednostek.

WOJCIECH MICHALSKI

JAK WYSIEDLANO Z ŁODZI W 1939 ROKU

Pragnę uzupełnić interesujący list Włodzimierza Jóźwiaka zamieszczony (w nr 3) pt. „Jak wysiedlano z Łodzi w 1939 roku". Redakcji należy się wdzięczność za jego opublikowanie. Wyrażam ją jako rzecznik prasowy ZW ZBoWiD i jednocześnie bezpośrednio zainteresowany.

Podobnie jak autor przeżyłem koszmar wysiedlenia z osiedla im. Montwiłła Mireckiego i pobytu w obozie na ulicy Łąkowej, skąd na kolejne pięć lata swojego życia zostałem zesłany do Generalnej Guberni. Mieszkałem, pasąc krowy i pomagając gospodarzom w pracach rolnych, we wsi Olimpiów, gmina Mniszków (powiat Opoczno). Chodziłem „przez pola" do odległego o 5 km Wójcina na komplety tajnego nauczania.

Wysiedlenie z domów osiedla przy ulicy Srebrzyńskiej było dla jego mieszkańców dramatem z niejednokrotnie tragicznymi następstwami. Dokonane zostało znienacka, w całkowitym zaskoczeniu. Wysiedlanym domownikom dano 15 minut czasu na spakowanie podręcznego bagażu, po czym, w mroźną noc, przywieziono ich niczym bydło do pofabrycznych hal budynku przy ul. Łąkowej.

Grabież rozpoczęła się już w momencie wkroczenia hitlerowców do mieszkań. Chłonna pamięć młodego chłopca zarejestrowała na trwałe, jak pierwszym „gestem" ze strony tych „nadludzi" było zdjęcie rodzicom z palców ich rąk pierścionków i obrączek, zabranie im zegarków, naszyjników i innych kosztowności. Nigdy też nie zapomnę butnego wyglądu żołdaków z niemieckiego korpusu ekspedycyjnego z blaszanymi tablicami na piersiach ze znakami NSKK, poganiających mnie i moich rodziców do pośpiechu kolbami karabinów i pistoletów.

Po obozie na Łąkowej i w Opocznie — przyszły lata terroru znaczone represjami i prześladowaniami, zsyłkami do obozów, łapankami na roboty przymusowe do Rzeszy i GG. Lata heroicznego oporu i patriotycznego zrywu zbrojnego uczciwych Polaków. Ale to już wykracza poza ramy tematu „wysiedlenie".

W styczniu 1945 roku był powrót (niestety nie dla wszystkich) do Łodzi. W rozkradzionym mieszkaniu pozostała jedynie hitlerowska makulatura i zbędne rupiecie, wśród nich „Arbeitsbuch" (książka pracy) z numerem 45-24457. Nie wiem dlaczego, ale ten brunatny symbol faszystowskiego ładu, przechowuję do dziś. Dowiedziałem się z tego dokumentu, że mieszkanie, które zajmowałem do chwili wysiedlenia, w czasie okupacji zamieszkiwał obywatel Trzeciej Rzeszy, Ferdinand Sonne, urodzony 24.10.1885 r.

Mający dużą wartość historyczną i dokumentacyjną list Włodzimierza Jóźwiaka nie powinien pozostać bez echa. Stanowi ważny przyczynek do pogłębienia okupacyjnej historii Łodzi i jej mieszkańców. Powinien też spowodować, aby sprawie skutków wysiedlenia z osiedla Montwiłła Mireckiego nadane zostały pewne ramy organizacyjno-prawne. Myślę tu zarówno o udziale byłych mieszkańców osiedla w pracach Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę Niemiecką, jak i szacunku poniesionych przez nich strat i krzywd. Jednostkowy głos w kwestii ewentualnych roszczeń nie ma żadnych szans załatwienia, zwielokrotniony i poparty siłą i autorytetem organizacji społecznej — nie może pozostać bez odpowiedzi.

Jest nas coraz mniej wśród żywych wysiedlonych mieszkańców osiedla przy ul. Srebrzyńskiej (nie żyją już na przykład oboje moi rodzice), tym bardziej cenny jest tu każdy głos pamięci i faktu.

KAZIMIERZ RUSSEK

DOMALOWAŁEM WĄSY BOLESŁAWOWI BIERUTOWI

W nawiązaniu do szkicu o B. Bierucie z dnia 5.XI.1988 r. przedstawiam historię, którą przeżyłem.

We wrześniu 1952 r. zacząłem uczęszczać do Technikum Włókienniczego (dawna nazwa Państwowa Szkoła Techniczno-Przemysłowa) przy ul. Żeromskiego 115 w Łodzi na wydział planowania i normowania. W końcu września 1952 roku będąc tylko z moim serdecznym kolegą w klasie (Ryszard B.) dorysowałem B. Bierutowi ołówkiem hiszpańskie wąsy i brodę. Następnego dnia zauważono to i zaczęło się śledztwo.

Mój kolega ze strachu sypnął mnie i rozpoczęło się kilkutygodniowe przesłuchanie. Trwało to przez kilka godzin w obecności wielu (6-10) osób każdorazowo. Ciągle te same pytania: — do jakiej organizacji podziemnej należę, kto mną kieruje, nazwiska członków itp? Zakończyło się to wilczym biletem, a więc bez prawa uczęszczania do jakiejkolwiek szkoły. Jak podano w uzasadnieniu potraktowano mnie tak łagodnie tylko ze względu na młody wiek i kryształowe robotnicze pochodzenie. Jednym z aktywniejszych członków Komisji Śledczej był sekretarz ZMP w szkole, obecnie piastujący wysokie stanowisko w Łodzi.

Matka moja przez blisko 2 tygodnie chodziła do dyrektora szkoły, aby jakoś pomógł, abym mógł dalej chodzić do szkoły. I tak w styczniu 1953 r., kiedy uznał, że sprawa już przycichła ówczesny dyrektor PST-P napisał prywatny list (który mi wręczył) do dyrektora Technikum Jedwabniczo-Galanteryjnego przy ul. Zakątnej w Łodzi z prośbą o przyjęcie mnie do szkoły. Uprzedził mnie, że w liście nie podaje prawdziwych faktów. Tak więc dzięki ludziom dobrej woli zostałem przyjęty do szkoły, pod warunkiem że jakiekolwiek złe zachowanie bądź oceny niedostateczne spowodują usunięcie mnie ze szkoły.

No, ale skończyłem tę i jeszcze inne uczelnie. Tak wyglądała prawda o dorysowaniu wąsów i brody B. Bierutowi w Łodzi.

J. S.

W swoim szkicu o Bolesławie Bierucie przytoczyłem opowieść o domalowywaniu wąsów tak, jak ją usłyszałem. Był to wypadek nietypowy i służył jako argument o legendzie „dobrym ojcu narodu polskiego". Nie wynika z tego, że nie było innych wypadków, które kończyły się tak smutno, jak ten powyżej opisany. W książce, która znajduje się już w łódzkim oddziale KAW, a w której ma być zamieszczony szkic o Bolesławie Bierucie, postaram się, aby obok tamtego opowiadania znalazło się też to, wyżej przytoczone.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„POWRÓT LEGIONISTY"

Pomnik Legionisty w Pabianicach pamiętam jak przez mgłę. Widziałam go przed wojną będąc z ojcem na jakiejś uroczystości odbywającej się u stóp tego pomnika. Mogłem mieć wtedy najwyżej sześć lat. Nie wyobrażam sobie, aby odbudowany Legionista mógł stanąć w innym miejscu. Manipulacje na temat lokalizacji pomnika w innym miejscu są niepoważne, a umieszczenie go na jakimś nieznanym czy projektowanym placu Zwycięstwa zakrawa na zwykłą kpinę. Na potwierdzenie moich rozważań przytoczę jeszcze cytaty z okolicznościowej broszurki wydanej przez „Gazetę Pabianicką" pt. „Orlętom Pabianic".

„Pomnik wystawiono w tym miejscu, gdzie latem 1863 roku kwaterowali powstańcy, a między nimi również liczni pabianiczanie.

W tym samym miejscu w dniu 10 grudnia 1905 roku pabianiccy niepodległościowcy uczestnicząc w olbrzymim pochodzie domagali się wolności i niepodległości.

W tym samym miejscu w październiku 1914 roku zatrzymał się pierwszy w Pabianicach oddział Legionistów pod dowództwem obywatela Boernera. Wtedy to zagrano od wielu lat niesłyszany w Pabianicach Mazurek Dąbrowskiego.

W tym samym miejscu pierwszy pabianicki oddział polskiego wojska pod dowództwem pabianiczanina porucznika Antoniego Jankowskiego składał przysięgę na wierność Rzeczypospolitej w grudniu 1918 r."

Tyle stara pożółkła broszurka, przechowywana z pietyzmem przez jedną z pabianiczanek. Miejsce więc jest nieprzypadkowe. „Trudności", jakie przeszkadzają w ustawieniu pomnika na jego dawnym miejscu są też niepoważne. Bo nie można nazwać przeszkodą nie do pokonania przesunięcia płyt chodnika do samej jezdni.

Wspomniano również w artykule o plakietce z głową marszałka Józefa Piłsudskiego, która zdobiła pomnik Legionisty, a która w czasach po zdelegalizowaniu „Solidarności" zniknęła z muru kościoła św. Mateusza w „tajemniczych okolicznościach zdjęta rękami nieznanych sprawców".

Otóż zwracam się za pośrednictwem „Odgłosów" do owych „nieznanych sprawców", aby oddali Marszałka społeczeństwu. Jeśli brak im odwagi, to proponuję podrzucenie, tak jak się podrzuca nie chciane dzieci. Plakietka ta, jako autentyczny fragment nie istniejącego pomnika miałaby szczególne znaczenie w jego odbudowie.

Tyle moich wynurzeń i mam wrażenie również mojego ojca — uczestnika wojny 1920 r., legionisty, który do śmierci pamiętał o pomniku „Legionisty" i nie doczekał się jego odbudowy.

KAZIMIERZ MADALIŃSKI
(Pabianice)

SPOSÓB NA ZMNIEJSZENIE SPALIN

Od kilku lat z dużym niepokojem obserwuję łódzkie autobusy, które ruszają z przystanków w wielkich obłokach burego albo czarnego dymu. Jest to wkład MPK w zatruwanie środowiska naturalnego miasta. Między innymi dzięki temu Łódź znalazła się w pierwszej dziesiątce miast świata mających najbardziej zniszczoną przez przemysł przyrodę.

Rozumiem, że MPK „zabezpiecza" miastu komunikację zbiorową, wydaje się jednak wątpliwe, czy ten ważny cel musi być realizowany bez żadnego względu na koszty ekologiczne. Pasażerowie nie lubią długo czekać na swój autobus i nie dostrzegają związku między nadmiarem spalin w Łodzi a tym, że coraz częściej chorują. Związek ten jednak istnieje obiektywnie, potwierdza go m.in. wysoki współczynnik umieralności niemowląt.

Czy można zrobić coś od razu, by autobusy nie były tak uciążliwe dla naszych płuc? Jeśli MPK nie ma technicznych i materialnych możliwości, żeby eksploatować w sposób właściwy — nie zagrażający środowisku naturalnemu — na przykład 100 autobusów, to niech ogłosi, iż od jutra będzie ich eksploatować — w zgodzie z sumieniem ekologicznym — powiedzmy tylko 50. Tak poważne i odważne (ale przecież w trosce o nasze zdrowie) ograniczenie komunikacji autobusowej powinno zaniepokoić zakłady pracy w mieście, zwłaszcza te największe, które troszcząc się o dojazdy swoich załóg zostałyby zmuszone do interwencji. Interwencja ta powinna być skuteczna i uczciwa ekologicznie, chodziłoby zatem nie o przywrócenie stanu dotychczasowego. Łódzkie zakłady i fabryki zapewne mają jakieś możliwości, by wesprzeć technicznie i finansowo przedsiębiorstwo komunikacyjne, pomóc mu eksploatować autobusy w sposób znacznie mniej szkodliwy dla środowiska niż dotychczas. Mamy poza tym w Łodzi Politechnikę, która z kolei mogłaby — mam nadzieję — wesprzeć wysiłki MPK swoją myślą teoretyczną.

JAN WAWRZYŃCZYK

OD REDAKCJI. Troska o czystość atmosfery w Łodzi zawsze spotka się z naszym poparciem. Budzi natomiast nasze zastrzeżenie propozycja poprawienia stanu technicznego autobusów MPK. Wydaje nam się, że autor listu nie dostrzegł jakichkolwiek zmian, jakie zaszły w PRL. Otóż chociaż reforma gospodarcza napotyka różne przeszkody i zahamowania, to zakłady pracy uzyskały znaczną samodzielność i zaczęły liczyć pieniądze. Z tego tylko powodu nikt nie da pieniędzy MPK.

Na zadane listownie pytanie odpowiemy również listownie.

INSTYTUCJE ODPOWIADAJĄ

Odpowiadając na artykuł zatytułowany „Za uczciwość", zamieszczony w numerze 48 „Odgłosów" z dnia 27.11.1988 roku — uprzejmie wyjaśniamy: Ob. **Sławomir Grzejdziak** zam. w Pabianicach, przy ul. Targowej 12, 3 marca 1988 r. uznany został przez Obwodową Komisję Lekarską do Spraw Inwalidztwa i Zatrudnienia w Łodzi za zdolnego do pracy. Decyzją z 18 kwietnia 1988 r. wstrzymano wypłatę świadczenia z dniem 1 maja br., ponieważ powstały okoliczności uzasadniające ustanie prawa do renty.

W wyniku złożonego przez zainteresowanego odwołania od orzeczenia OKIZ — 27 czerwca 1988 r. odbyło się badanie lekarskie przeprowadzone przez Wojewódzką Komisję do Spraw Inwalidztwa i Zatrudnienia. Wydaną decyzją utrzymano w mocy orzeczenie OKIZ.

Wniesienie wspomnianego odwołania do WKIZ spowodowało utratę mocy prawnej decyzji z 18.04.1988 r. Decyzją z 13 lipca 1988 r. przywrócono więc czytelnikowi prawo do renty za okres zamknięty od 1.05.1988 r. do 31.07.1988 r. Do dalszych świadczeń stracił uprawnienie z powodu ustąpienia inwalidztwa.

Decyzja zawierała jednak błąd formalny, ponieważ rencista nie został w niej poinformowany o terminie wstrzymania renty. Powyższy błąd — w świetle norm prawnych skutkował obowiązkiem wypłacenia świadczeń do czasu wydania właściwej decyzji. Wystawiono ją 26.09.1988 r., pozbawiając rencistę prawa do renty inwalidzkiej 1.10.1988 roku.

Za niezasadne wypłacenie świadczeń w okresie od 1.06.88 r. do 30.09.1988 r. winę ponosi pracownik Oddziału ZUS, natomiast Obywatel S. Grzejdziak jest obowiązany do zwrotu nienależnie pobranej renty w okresie od 1.05.88 r. do 31.07.88 r., ponieważ od 1 kwietnia 1988 r. do 31 lipca 1988 r. osiągał wynagrodzenie z tytułu zatrudnienia w pełnym wymiarze czasu pracy.

Nieznajomością przepisów w tym zakresie oraz pobieraniem świadczeń w przekonaniu o słuszności takiego postępowania zainteresowany nie powinien się tłumaczyć, ponieważ w decyzji o przyznaniu renty z 10.01.1984 r. i późniejszych był poinformowany o okolicznościach, które powodują zawieszenie wypłaty świadczeń, w tym o obowiązku niezwłocznego zawiadomienia Oddziału o wykonywaniu zatrudnienia w pełnym wymiarze czasu pracy.

Z obowiązku tego wywiązał się wprawdzie, ale dopiero w sierpniu 1988 r., kiedy to w piśmie z 18.08.1988 r. powiadomił o powyższej okoliczności. Ostateczne stanowisko w sprawie zwrotu nienależnie pobranych świadczeń w okresie od 1.05.1988 r. do 31.07.1988 r. Oddział zajął w decyzji z 18.11.1988 r.

W stosunku do pracownika, który nie dopełnił wszystkich obowiązujących zasad postępowania zastosowano wnioski dyscyplinarne, co jednak nie zmienia merytorycznej słuszności ostatniej decyzji w przedmiotowej sprawie.

mgr HALINA ROSIAK

NA STACJI ŁÓDŹ-ŻABIENIEC

W czerwcu 1988 r. ku wygodzie i dla bezpieczeństwa pasażerów PKP, po latach budowy — zostało otwarte podziemne przejście pod dworcem Łódź-Żabieniec. Nie wiadomo jednak dlaczego zagrodzono przejście z peronu I w kierunku pętli tramwajowej. Pasażerowie wysiadający na peronie I zmuszeni są schodzić do tunelu, a w tym czasie tramwaje z krańcówki odjeżdżają, jeden po drugim. Ktoś nie pomyślał o wygodzie pasażerów, o ludziach starszych, obładowanych, którym można by zaoszczędzić schodzenie i wchodzenie po schodach. Z bezpieczeństwem nie ma to nic wspólnego.

Przy okazji zwracam uwagę na nowo ustawione zadaszenia przeciekające bardzo mocno i na oblodzone z tego powodu schody.

Z wyrazami szacunku

MARIA JAŻDŻEWSKA

OŚWIADCZENIE PRACOWNIKÓW ZETO

Sześciu pracowników ZETO przysłało oświadczenie, w którym utrzymują, że *„pracując dla Spółdzielni „Siódemka" nie mieli poczucia, że robią „ordynarną fuchę"*. I dalej piszą: *„Nieprawdą jest również stwierdzenie — jakoby pracownicy składali fałszywe zeznania przed sądem"*. Autorzy listu proszą redakcję, aby ich nazwiska pozostały tylko do naszej wiadomości. Prośbę tę — jak widać — spełniamy.

PRZEDSIĘBIORSTWO TURYSTYCZNE SPÓŁKI „INTERTOUR"

O R G A N I Z U J E:

w ciągu całego roku ✱ WCZASY ✱
w atrakcyjnych miejscowościach:

- Krynicy Zdroju
- Rabce Zdroju (zabiegi w Zakładzie Przyrodoleczniczym „UZDROWISKO RABKA")
- Busku Zdroju
- Jagniątkowie k. Jeleniej Góry.

Informacja i zapisy: PT „INTERTOUR", Łódź, ul. Piotrkowska 73/75, tel. 32-91-57 i 32-65-38. 164/K

bistona

ZAKŁADY PRZEMYSŁU DZIEWIARSKIEGO
„B I S T O N A"
w Łodzi, ul. Dąbrowskiego 216

PILNIE

Z A T R U D N I Ą:

✱ KIEROWNIKA DZIAŁU KSIĘGOWOŚCI
✱ SAMODZIELNE KSIĘGOWE

Warunki pracy i płacy do omówienia z z-cą dyr. ds. ekonomicznych, nr tel. 43-53-20 lub w Dziale Spraw Osobowych, tel. 43-54-98.
1402/K

Polmatex Majed

ŁÓDZKA FABRYKA MASZYN JEDWABNICZYCH
„P O L M A T E X - M A J E D"
w Łodzi

PRODUCENT MASZYN
DLA PRZEMYSŁU WŁÓKIENNICZEGO i CHEMICZNEGO

O R G A N I Z U J E

- przeszkolenie i pracę w zakresie obsługi obrabiarek sterowanych numerycznie, obrabiarek skrawających, centrów obróbczych, galwanotechniki oraz montażu maszyn włókienniczych również dla absolwentów techników

O F E R U J E

atrakcyjną pracę INŻYNIEROM i TECHNIKOM szczególnie w specjalnościach

- technologii budowy maszyn
- konstrukcji maszyn włókienniczych
- konstrukcji form do tworzyw sztucznych
- konstrukcji oprzyrządowania do obróbki skrawaniem i plastycznej
- powlekania galwanicznego i lakierniczego

Z A T R U D N I

pracowników wykwalifikowanych i do przyuczenia w zawodach:

- tokarz
- frezer
- wiertacz
- szlifierz
- monterów maszyn
- blacharz
- elektryk
- elektronik
- wytaczarz
- ślusarz
- narzędziowych
- remontowych

I N F O R M U J E M Y,

iż monterzy maszyn, elektronicy i elektrycy delegowani są do prac przy montażu do wielu krajów świata.

Chętnym umożliwiamy podjęcie dodatkowego zatrudnienia na terenie przedsiębiorstwa.

Nie przyjmujemy osób po porzuceniu pracy.

Posiadamy ośrodki wczasowe nad morzem i rzeką Wartą, prowadzimy wymianę wczasów z przedsiębiorstwami w NRD.

Szczegółowych informacji udziela Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego, Łódź, ul. Żeromskiego 96, telefon 36-05-26 lub 36-57-00, wew. 115.
712/K

Biuro Podróży i Turystyki
ODDZIAŁ W ŁODZI

Almatur
ul. Piotrkowska 59
90 417 ŁÓDŹ
tel. 86 44 79
33 28 46
ZSP

ZAPRASZA DO KORZYSTANIA ZE SWOJEJ BAZY

P O L E C A M Y:

1. OŚRODEK SZKOLENIOWO-WYPOCZYNKOWY ZSP
w Soczewce, k. Płocka, tel. 10-104,
z możliwością organizowania szkoleń, kurso-konferencji, obozów w ciągu całego roku,
pokoje 2—3-osobowe (w domontach i domkach, łazienki)
własna stołówka,
w sezonie letnim możliwość uprawiania sportów wodnych i korzystania z ośrodka jeździeckiego w Krzywym Kołku.
2. CAŁOROCZNY MIĘDZYNARODOWY
HOTEL STUDENCKI
w Płocku, tel. 292-68,
pokoje 2-osobowe,
możliwość zorganizowania posiłków w stołówce studenckiej obok hotelu.
732/K

POLSOW
SPÓŁKA
P R Z E J M I E
ZAKŁADY RZEMIEŚLNICZE, PRODUKCYJNE
bądź
USŁUGOWE
różnych branż
lub wejdzie w powiązania kooperacyjne.
Informacje: tel. 74-68-13 w godz. 8—15. 528/K

WIELOBRANŻOWE PRZEDSIĘBIORSTWO CENTROPOL Spółka z O.O. w Łodzi J.G.U.

Z A T R U D N I

- z-cę dyrektora centrali ds. usług technicznych
- z-cę dyrektora centrali ds. ekologicznych
- menedżerów na funkcje kierownicze i samodzielne w centrali przedsiębiorstwa i jednostkach terenowych
- dyrektorów oddziałów, kierowników filii oraz biur terenowych
- agentów, organizatorów działalności gospodarczej różnych specjalności.

Oczekujemy ofert wraz z wstępnym programem działania na wymienionych stanowiskach oraz załączonym kwestionariuszem osobowym.

OFERTY KIEROWAĆ: 91-101 Łódź 52, skrytka 86.
654/K

POLSOW
OŚRODEK SPRZEDAŻY — OBSŁUGI — WYTWÓRCZOŚCI
Spółka z o.o.
P O S Z U K U J E
KIEROWNIKÓW (organizatorów)
GRUP REMONTOWO-BUDOWLANYCH
chętnie wraz z fachowcami
Atrakcyjne zarobki. Informacje — tel. 74-68-13.
1084/K

ZESPÓŁ
PSYCHOLOGÓW ✱ LOGOPEDÓW
✱ PEDAGOGÓW
POLECA
U S Ł U G I
w zakresie:

- diagnostyki psychologiczno-pedagogicznej zaburzeń rozwojowych oraz prowadzenia indywidualnych przypadków,
- diagnozowania rozwoju psychomotorycznego małego dziecka
- poradnictwa psychologiczno-pedagogicznego (problemy wychowawcze, osobiste, rodzinne)
- reedukacji i rewalidacji
- korekty wad wymowy (nauka mowy)
- korepetycji.

Informacje i zgłoszenia: tel. 87-29-65 oraz 43-16-48, od poniedziałku do piątku w godz. 18—21. 652/K

- teatrum orbis terrarum - (w Motorach)
(orbis terrarum = świat → masc.)

W rocznicę rocznic niepodległej Polski
prapremiera luty 1989

TEATR STUDYJNY '83 w Łodzi
przedstawia:
Pokój dziecinny
Emila Zegadłowicza

Osoby:
Balbina – Ewa Biała i Beata Bajerska
Autor – Rafał Żabiński
Franciszek – Andrzej Jakubas
Józef – Paweł Królikowski
Władysław – Mariusz Siudziński
Zdzisław – Sławomir Olszewski
Jan – Tomasz Kubiatowicz
Wincenty – Bogdan Lecznar
Gustaw – Marek Niemierowski
oraz:
Babka – Barbara Baryżewska
Aniela – Alicja Cichecka
Wuj – Mieczysław Napieraj
Dziadek – Tadeusz Teodorczyk
Emil – Piotr E. Kraus
Dziewczynka – XXX

W rocznicę rocznic niepodległej Polski

dyrektor Teatru - Paweł Nowicki
przedprzedaż biletów w kasie Teatru, ul. Kopernika 8
tel. 36-41-66 (centr.)

sezon 1988/89

spektakl w reżyserii Pawła Nowickiego
ze scenografią Magdaleny Maciejewskiej
i muzyką Tadeusza Woźniaka
asystent reżysera - Mariusz Siudziński
konsultacje - Jan Tomkowski
inspicjent - Andrzej Wieczorek

731/K

Literaci, literatura, polityka

Podziały są naturalne

Minister Aleksander Krawczuk obiecał, że wszystkie wartościowe dzieła literatury polskiej, które do tej pory nie mogły znaleźć miejsca w wydawniczych planach, wreszcie zostaną wydane oficjalnie. Pozostało więc trzymać ministra za słowo. Byleby tylko zbyt często nie używano argumentu o małej wartości jakiegoś dzieła. Ja, oczywiście, daleki jestem od twierdzenia, że wszystko, co ukaże się na emigracji i w drugim obiegu jest doskonałe ale wiem, że w przeszłości zbyt często padały zarzuty o niewielkich walorach artystycznych różnych książek. Spotykały się przecież z nimi również książki Czesława Miłosza i Witolda Gombrowicza, by podać przykłady tylko najbardziej wymowne.

Podziały w środowisku literackim istnieć powinny. Pisarze muszą się spierać, dyskutować. Bat, kłócić się nawet. Ale wszystko to powinno przebiegać normalnie — to znaczy na płaszczyźnie literackiej, a nie tylko politycznej, co oczywiście także nie znaczy, że w sferze politycznej do sporów ma nie dochodzić. Im większe przecież zróżnicowanie światopoglądowe, tym lepiej. Przepraszam tutaj za truizm, ale ferment jest twórczy, niech więc go będzie jak najwięcej. Czas już chyba skończyć z wszelkimi sztucznymi podziałami. Bo czy nie jest podziałem sztucznym zamknięcie literatury w dwóch obiegach, tym oficjalnym i drugim, wychodzącym poza cenzurą? Taka sytuacja powoduje następne ograniczenia. Powstała możliwość istnienia obok siebie dwóch zamkniętych, nie mających z sobą nic wspólnego kręgów środowiskowych.

Wiadomo, oczywiście, dobrze, że istniejący stan nie został spowodowany przez samych twórców. Niemniej jednak, to do nich należy teraz wyjście z tego sztucznie stworzonego kręgu. I nie chodzi tutaj także o zawieranie jakiejś zgody, nie, wręcz przeciwnie, spierać się trzeba, chodzi po prostu o normalność. Bo trudno, na przykład, zgodzić się z poglądami Leszka Bugajskiego, który twierdzi, że dobrze się stało, iż istnieją dwa obiegi książek, ponieważ w ten sposób te o zabarwieniu politycznym zeszły do wydawców nieoficjalnych, co niejako oczyściło literaturę i pozwoliło pisarzom na uprawianie normalnego pisarstwa w oficjalnym obiegu.

W tym miejscu drobne wyjaśnienie, otóż dla Leszka Bugajskiego — z czym się zresztą zgadzam — normalne pisarstwo to takie, które zajmuje się rozterkami człowieka indywidualnego, a nie zbiorowego, masowego czy politycznego. Trzeba przyznać, że bardzo oryginalne to usprawiedliwienie dla istnienia dwóch obiegów, tylko czy na pewno słuszne?

Nie wiadomo przecież dokładnie, co u nas jest, a co już nie jest polityką, a wszelkie sztuczne podziały twórczości artystycznej do niczego dobrego nie doprowadziły. Boć przecież ciekawy krytyczno-literacki tekst, który ukaże się na przykład w „Arce", trafia praktycznie w pustkę, nikt nie podejmie z nim polemiki. A nawet jeśli zostanie już dostrzeżony przez jakieś pismo z drugiego obiegu, to jest wielce prawdopodobne, że przeczytają go w większości ludzie, którzy nie mieli dostępu do pierwszego tekstu. Może się również zdarzyć, że polemiki owej nie przeczyta ten najbardziej zainteresowany, czyli sam autor.

Profesor Jan Błoński w wywiadzie udzielonym dla „Konfrontacji" powiedział:

„Dla literatury to odosobnienie licznych skłóconych środowisk jest szkodliwe: nie wytwarza się niezbędna hierarchia wartości (...) Wysiłki wielu twórców nie sumują się. Także między obomą obiegami nie powstał przepływ intelektualny. Słowem, nie ma obecnie w Polsce normalnego życia intelektualnego."

Z kolei Artur Sandauer w artykule pt. „Bojkot i bojkotanci" zamieszczonym w numerze 4 „Polityki" napisał:

„Rzecz, której u nas nie chciano, zamieściłem jako pierwszy w kraju — w paryskiej „Kulturze" (sierpień 1957), czym wywołałem oburzenie ogólne — jednych tym, co, drugich tym, gdzie publikowałem. Po dziś dzień reakcję podobną wywołują wszelkie próby by wprowadzać kryteria czysto artystyczne. Ma się wówczas przeciw sobie wszystkich".

Taka normalność więc byłaby wtedy, gdyby pisarz mógł drukować gdzie chce, a na rynku pod względem światopoglądowym istniałoby kilka różnych czasopism. Dalej: wówczas także, jeśli do krajowego obiegu dopuszczone zostałyby czasopisma wychodzące na emigracji, od choćby „Zeszyty Literackie" i nikt nie bałby się książek wydawanych przez „Instytut Literacki" w Paryżu; wtedy również, kiedy do głosu zostaną dopuszczone inne, mniejsze wydawnictwa (choćby prywatne), a jedynym kryterium druku będzie ocena artystyczna i na wydanie książki nie będzie się czekało 5 lat, jak to przedstawia się obecnie w wielkich molochach wydawniczych.

Krótko mówiąc, chodzi o jedno środowisko literackie, jak najbardziej zróżnicowane pod względem ideowym, filozoficznym, a także politycznym, ale właśnie o jedno, by wreszcie mógł zaistnieć normalny przepływ intelektualny. Będzie to wtedy korzystne tak dla pisarzy, jak i dla czytelników.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

1

Czego nie zrozumiał felietonista?

Podziwiam ludzi, którzy wszystko wiedzą lepiej, którzy zawsze mają rację, dobre samopoczucie i chcieliby, aby cała reszta podzielała ich poglądy, chwaliła za mądrość i wiedzę. Ostatnio do grupy takich ludzi dołączył Karol Badziak.

Karol Badziak napisał na łamach „Prasy Polskiej" (nr 1 z 1989 roku), że *„bardzo dobrze się zapowiada"*, bo za dwa i pół roku idzie na emeryturę. Karol Badziak udaje skromnego. Miał niegdyś sukcesy: pisywał drapieżne reportaże w „Odgłosach", znakomite felietony w „Dzienniku Łódzkim" — słynne „Rekontry". Przyznaję, że go wtedy podziwiałem i nawet mu zazdrościłem. Uprawiał w „Odgłosach" reportaż interwencyjny, pomagał ludziom, tropił łajdactwa, biurokratów, powiatowych dzierżymordów. Nie miał lekkiego życia, ale miał uznanie Czytelników.

W 1972 roku dokonał wyboru. Naczelnym „Odgłosów" został Jerzy Wawrzak. Karol Badziak i Jerzy Wawrzak nie mogli pomieścić się w jednym piśmie. Ktoś musiał odejść. Tym kimś był Karol Badziak. Poszedł do „Wiadomości Produkcyjnych" na naczelnego. „Wiadomości Produkcyjne" to pożyteczne pismo, ale dla wąskiego kręgu odbiorców.

Miał na koncie książkę „Synowie Baluta", którą „popełnił" wspólnie z Tadeuszem Czaplińskim i zbiór felietonów. Jeszcze długo po jego odejściu Czytelnicy dzwonili do redakcji „Odgłosów" i pytali o Karola Badziaka. Ale Karol Badziak zajął się zupełnie czymś innym. Każdy ma prawo tak sobie ułożyć życie, jak mu wygodnie. Przeniósł się zresztą z Łodzi na wieś.

Każdy kto dokonuje wyboru, ponosi tego konsekwencje. Jestem przekonany, że dziennikarz powinien się w pewnym momencie zdecydować: albo będzie uprawiał tylko dziennikarstwo i temu całkowicie się poświęci, albo zajmie się też czymś innym i zejdzie na poboczne drogi. Znam kilka takich osób, a jedną z nich jest Karol Badziak. Można wprawdzie na tym poboczu spotkać nawet ciekawych ludzi, można potem zwierzać się z tych spotkań Czytelnikom „Karuzeli", ale to już nie jest to, co było dawniej.

Mijały lata. Pewnego dnia Karol Badziak obudził się i stwierdził, że jakby został w tyle. Świat się zmienił, a on ciągle na poboczu drogi. Postanowił powrócić na dziennikarską autostradę. Próbował pisywać felietony w „Dzienniku Łódzkim", próbował pisywać w „Odgłosach", ale nie wychodziło. Coś się zmieniło, czego Karol Badziak nie potrafił zrozumieć. Na dodatek „komórka socjologiczna" — z której korzystają poszczególne redakcje, również „Odgłosy" i dobrze na tym wychodzą — dokonała oceny „Karuzeli", gdzie Karol Badziak pracuje, i w tej ocenie nie wypadł najlepiej, więc się obraził. Jemu wolno krytykować innych, innym jego nie! Postanowił zatem porozrabiać. Do rozrabiania wybrał „Prasę Polską". Jest to miesięcznik — Pismo Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL.

Najpierw napadł na Felietonistę. Nie wymienił jego nazwiska, więc i ja tego nie uczynię, choć wszyscy w Łodzi wiedzą o kogo chodzi. Przyznał, że niegdyś podziwiał Felietonistę, ale teraz nie, bo Felietonista nie zmienił poglądów, choć czasy się zmieniły. Uważam, że człowiek ma prawo do zachowania swoich poglądów i trzeba to uszanować. Ale Karol Badziak chciałby, aby wszyscy myśleli tak jak on. Jego zdaniem on *„myśli samodzielnie"*. Niech zatem tkwi w błogim samozadowoleniu. On bowiem wszystko wie najlepiej.

Następnie dokopał na łamach tejże „Prasy Polskiej" Bohdanowi Gadomskiemu, którego uprzednio na łamach „Szpilek" stratował Janusz Atlas. Przy okazji nie omieszkał podlizać się Januszowi Atlasowi. *„Jest to właściwy człowiek* — napisał — *który zawsze potrafi znaleźć się na właściwym miejscu"*. Nie jestem pewny, czy na miejscu Janusza Atlasa dziękowałbym za takie pochwały.

Wreszcie wziął się za prasę łódzką. Nasłuchał się w Klubie Dziennikarza skarg „skrzywdzonych" publicystów i reporterów, nie wszystko dosłyszał, coś zapomniał, trochę przekręcił i wyszły z tego same plotki. Pokazałem felieton „Prawo czytelnika" jednemu z bohaterów — Romanowi Kubiakowi. — *To kompletna bzdura* — powiedział. — *Mógłby mnie zapytać, jak to było. Opowiedziałbym.* — Każdą powstałą rewelację mógłbym obalić przy pomocy faktów, których Karol Badziak nie zna. Ale daruję to sobie.

Karol Badziak nie pojął, że czasy się zmieniły, inne obowiązują zasady gry. Kiedy Karol Badziak odnosił sukcesy — czego mu nie odmawiam, a wręcz przeciwnie — wystarczyło mieć etat i popracować kilka lat, aby odcinać kupony od niegdysiejszych zasług. Dziś to już nie wystarcza. Dziś pisma starają się określać wyraźnie swoje linie programowe, dobierać do tych linii zespoły. Wielu ludzi w tych zespołach nie znajduje dla siebie miejsca, szukają go więc w innych redakcjach, i tam znakomicie się sprawdzają. Jest to ruch naturalny. Mało kto dziś daje dziennikarzowi etat na zawsze. W „Odgłosach" też zawiera się umowy na kwartał, pół roku, rok. Karol Badziak o tym oczywiście nie wie. Przepracował 30 lat i chciałby mieć z tego powodu tylko profity. A to już mało, to już się dziś nie liczy.

Karol Badziak złożył na łamach „Prasy Polskiej" ofertę: *„może jakiejś redakcji potrzebny jest samodzielnie myślący, acz mało dyspozycyjny dziennikarz"*. Życzę powodzenia!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

2

Nagle zastępstwo

Mieć twarz

Portret polityka. Młodemu pokoleniu może to się różnie kojarzyć, ja mam zakodowany obraz następujący: portret Bolesława Bieruta pośrodku, nieco wyżej od pozostałych, a obok poważne, dostojne twarze Józefa Cyrankiewicza i Konstantego Rokossowskiego. Doskonale pamiętam inny jeszcze tercet, wszakże z zachowaniem jednej z wymienionych głów. Potem „obywatel E.G." (pisze tak enigmatycznie, bo taka moda, nawet jeden idol rockowy nazywa się teraz „obywatel G.C.") zlikwidował portrety i wszyscy myślel, że to objaw skromności. A to była tylko zmiana medium. Portretów nie było na ścianach, ale za to codziennie, do znudzenia dziennik TV zaczynał się od sakramentalnych słów: *„Dobry wieczór. Pierwszy sekretarz KC PZPR..."* a na ekranie znajoma, sympatyczna zresztą twarz w otoczeniu górników, stoczniowców, pielęgniarek itd. itp.

Ta zmiana medium była głęboko przemyślana. Zupełnie zresztą słusznie. TV potęgą jest i basta, dziś żaden liczący się polityk nie może jej lekceważyć. Co lepsi to zrozumieli już dawno, żeby przypomnieć choćby generała Charlesa de Gaulle'a. I nasi też już to rozumieją, na szczęście nie prostacko. Nie pokazują się codziennie, a jak się już pokażą to po to, żeby coś istotnego powiedzieć. Nie bez powodu i z wyczuciem korzysta z telewizji premier Mieczysław F. Rakowski, nie unika kamery Stanisław Ciosek, minister Mieczysław Wilczek i wielu innych. I słusznie, i bardzo dobrze. Nie da się ukryć, że po raz pierwszy od wielu lat nie są to anonimowi ludzie, o których wiadomo tylko tyle, że są sekretarzami, ministrami itd. Teraz wiemy nie tylko jak wygląda Jan Dobraczyński czy Roman Malinowski. Wiemy także co myślą. Albo znamy antagonizm między szefem OPZZ a premierem. Ba! nawet szefowie dwóch konkurencyjnych związków zawodowych sobie pogadali publicznie, a to nie wszystko jeszcze! (piszę ten tekst 6 lutego 1989 r. o godzinie pół do drugiej).

Nieuchronnie pociągnie to dalsze konsekwencje: w miarę demokratyzacji naszych obyczajów politycznych, choćby w wyniku nowej ordynacji wyborczej na przykład, stanie się rzeczą niesłychanie ważną dla polityka i — co nawet ważniejsze — dla kandydata na polityka, aby mieć dobrą „twarz" w telewizji. Okaże się, że stare powiedzonko *„kto ma prasę, ten ma władzę"* jest nie tylko przesadne, ale anachroniczne i należy je zastąpić taką wersją: *„kto ma telewizję, ten ma władzę"*.

Następną konsekwencją wykorzystywania TV do prezentacji własnych poglądów, swojej osobowości polityczno-telewizyjnej, będzie personifikacja określonych koncepcji w dziedzinie rządzenia oraz określonych decyzji i — co za tym idzie — odpowiedzialności za te decyzje. A przecież jeszcze bardzo niedawne wydarzenia wskazują, jak łatwo rozgrzeszyć się i zapomnieć, co się napsociło zaledwie rok temu. Przykład? Proszę bardzo: kto był odpowiedzialny za niefortunne sformułowanie pytań w referendum? Za niezgrabną organizację tegoż? Kto wreszcie jest odpowiedzialny za to, że wyniki referendum nie są respektowane? Można się tylko domyślać.

A tu jawność w każdej dziedzinie i nawet zaskakuje nas niekiedy — oto niedawno dowiedzieliśmy się, ilu mamy żołnierzy, ile samolotów, ile czołgów i armat (że też jeszcze mamy armaty!) i jakoś nic się nie stało. Za publikację takich danych całkiem niedawno można było nieźle posiedzieć...

Na portret publiczny trzeba zapracować. Niektórzy to rozumieją i nie mogę, napisawszy to co powyżej, odmówić sobie wymienienia choćby dwóch nazwisk ludzi rzetelnie pracujących na swój portret. To Leszek Miller i szef CBOS, docent Stanisław Kwiatkowski. Nie posądzam ich — broń Boże! — o reklamiarstwo i chytre zarabianie na przyszłą karierę. Po prostu są tacy: otwarci, prawdziwi, nie ukrywają swoich poglądów, swoich sympatii i antypatii. Wychwycili to fachmani telewizyjni i chwała im za to.

A przed nami czas na inne jeszcze twarze: z grona konstruktywnej opozycji czy jak tam jeszcze ją nazwać. Czekamy!

ANDRZEJ KAROL

3

Lewym okiem

Policmajster i masażystki

Irena Dziedzic zadała niedawno w telewizji kilkunastu osobom z różnych środowisk intelektualnych parę pytań dotyczących naszej sytuacji politycznej. Było tam m.in. pytanie o rolę i sens propagandy, jako zjawiska towarzyszącego wszelkim politycznym wydarzeniom. Jeden z zapytanych profesorów — niestety nie zanotowałem nazwiska, ale był to przedstawiciel pokolenia młodszego — stwierdził, że propaganda jest w ogóle niepotrzebna i starał się w nie dość przekonywający sposób to swoje twierdzenie uzasadnić.

Ale czy naprawdę jest niepotrzebna? Przecież nawet w Watykanie istnieje Kongregacja Propagandy Wiary, (przepraszam jeśli to się nazywa nie kongregacja tylko inaczej, ale to chyba nie jest najistotniejsze). Choćbyśmy nie wiem jak usiłowali uzasadnić zbędność propagandy, istniała ona zawsze, istnieje teraz i będzie chyba istnieć w przyszłości. Byleby ten proces przekonywania dokonywał się uczciwie, mądrze i bez uciekania się do metod niedozwolonych.

W pierwszych dniach po sierpniu 1980 roku prawie co dzień znajdowałem na swoim biurku nowy biuletyn, nie wiem przez kogo redagowany i przysyłany, pełen niezmiernie skandalizujących informacji o ówczesnych prominentach naszego życia. O prezesie Komitetu d/s Radia i Telewizji pisano tam na przykład, że utrzymuje w Kenii, oczywiście na koszt państwa, piękną rezydencję myśliwską na użytek własny i swoich adherentów; pisano też o saunach, w których miały pracować murzyńskie masażystki i o luksusowych willach z tysiąca i jednej nocy ukrytych w lasach mazurskich i innych. Większość informacji była oczywistą nieprawdą i ich autorzy doskonale o tym wiedzieli.

Kiedy w 1923 roku Józef Piłsudski miał jechać do Katowic, jego wrogowie pisali w ówczesnej prasie, że specjalnie na jego przyjazd zakupiono w Krakowie bardzo kosztowną, luksusową, mahoniową sypialnię, która miała służyć na jedną noc. Uznano bowiem że w całym mieście godnej naczelnika państwa sypialni nie ma. Była to także nieprawda.

Adolf Nowaczyński, zaprzysięgły wróg Józefa Piłsudskiego, pisał w 1922 roku w „Myśli Narodowej", że w latach Powstania Styczniowego działał w Warszawie policmajster carski nazwiskiem Piłsudski, który krwawo gnębił polskich konspiratorów i zwolenników powstania. Nowaczyński sugerował, że był to bliski krewny Józefa Piłsudskiego, chociaż wiadomość była wyssana z palca. Józef Piłsudski na bankiecie w „Bristolu" powiedział, że czuje ciągle jak wokół niego krąży „plugawy, zapluty karzeł, który wszystkie jego kroki obserwuje i dezawuuje". Ten „plugawy i zapluty karzeł" to jakieś znajome nam wyrażenie! Okazuje się więc, że nawet w sformułowaniach słownych propaganda sięga czasem do tych samych arsenałów.

Przy sztabie Legionów Polskich w latach pierwszej wojny światowej istniał rozbudowany wydział propagandy, a jednym z pierwszych posunięć Józefa Piłsudskiego, po objęciu dyktatorskiej władzy w listopadzie 1918 roku, było utworzenie Biura Propagandy z Juliuszem Kadenem-Bandrowskim na czele. Biuro to za swe główne zadanie uznało tworzenie wokół postaci marszałka Józefa Piłsudskiego legendy, która przetrwała do dziś. Wspominając o tym bynajmniej nie chcę pomniejszyć ogromnych zasług Marszałka, których nie można nie uznawać i nie szanować. Chcę tylko powiedzieć, że propaganda, a także jej skrajności i wynaturzenia nie są wcale wynalazkiem jakiegoś jednego ustroju. A ponieważ występuje ona zawsze i wszędzie nie warto, nie trzeba boczyć się na ten realny fakt, trzeba natomiast zabiegać i walczyć o to, by działalność propagandowa nie naruszała pojęć moralnych, nie dokonywała się per fas et nefas, żeby nie obrażała zdrowego rozsądku.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II

Raj milionerów (3)

Nie było łatwo upić się za dwa dolary, które zostały Janowi Duchowi z zapomogi tygodniowej, otrzymanej w biurze opieki nad imigrantami, zwanym „Manpower". To biuro pełniło także funkcję pośrednika, i później Duch nieraz z niego korzystał. Teraz miał opiekunkę, starszą panią o srebrnych włosach, mówiącą po polsku. Nazywała się Polweis. Traktowała Ducha z pewnym szacunkiem, ponieważ słyszała, że jest poetą. Ale też słyszała o nim inne, mniej pochlebne rzeczy, dlatego jej szacunek zawierał w sobie wyczuwalną dozę dystansu.

Missis Polweis prowadziła sprawy imigrantów polskiego pochodzenia, wynajdywała im pracę, pomagała w podstawowych sprawach codziennego bytowania, a co najważniejsze, każdego poniedziałku wypłacała tygodniówkę w postaci dwudziestu dolarów. Pokrywała również opłatę za wynajęte mieszkania. Duch i Georgia wyprowadzili się bowiem z potwornego hotelu „Ford" i znaleźli lokum na Eglinton Avenue East pod numerem 312, parter na wprost śmietnika.

To ważne, ponieważ od kilku tygodni trwał strajk śmieciarzy. W Kanadzie każdy mieszkaniec ładuje swoje śmieci do wielkiego worka z plastiku, który zawiązuje kawałkiem specjalnego cienkiego drucika, zatopionego w papier, i wystawia worek przed drzwi swojego domu. Lokatorzy tanich bloków, które nie mają zsypów, wyrzucają worki do ogromnych metalowych pojemników, stojących za domami, na parkingach.

Tysiące takich pękatych worków walało się po ulicach, w nocy rozrywały je koty i szopy-pracze (racoons) szukające żeru. W dzień przygrzewało słońce, temperatura w plastiku narastała i worki pękały, zawartość wywalała się swobodnie, cieknąca i śmierdząca.

Pani Polweis dała Duchom adres właściciela bloku na Eglinton, był to Polak z pochodzenia, pan Gerber, owszem, miał wolny „appartment", nawet po taniej cenie — ale przy okazji dałby panu Duchowi parę groszy zarobić, gdyby pan Duch pomógł mu wywieźć śmieci z pojemnika na wysypisko za miastem.

Bogaci Polacy w Kanadzie są skąpi. Duch nie spotkał ani jednego polonusa z gestem. Nawet postawią, ugoszczą, choć też bardzo rzadko — ale nie w tym rzecz. Oni mają mentalność prymitywów: zapałkę na czworo, a rubla na raz. Ja znałem starego milionera, który postanowił sam naprawić rynnę na swoim domu — wlazł na drabinę, spadł, o mało się nie zabił, a na wymówki syna, odwiedzającego go w szpitalu, odpowiadał: „A co, mam bandytom płacić aż dwieście dolarów za taką prostą robotę?"

Duch nie miał wyjścia. Przeżył wstrząs: poznawanie Kanady od wąchania smrodu gnijących, ruszających się śmieci. „Kanada pachnąca żywicą"! Dać tam staruszka Fiedlera, niech dopisze suplement; zresztą sam to zrobię.

Wlazł do pojemnika, wysokiego na trzy metry, długiego na dziesięć, i wyciągał popękane, ohydne wory, podawał je Gerberowi, który ładował je do swojego samochodu typu „station wagon", czyli kombi. Był to duży samochód, jak się okazało jego jedyny. Ten Gerber był kulturalnym, miłym panem, dość elegancko ubranym, posiadał wiele takich budynków, po sto mieszkań w każdym, już wówczas Mannix obliczał jego majątek na dwadzieścia milionów dolarów. Duch nie mógł zrozumieć, dlaczego Gerber nie wynajmie bezrobotnych z ciężarówką i nie zleci im tej pracy. Nie rozumie tego do dziś.

Kto to jest Mannix? A, zaraz będzie historia. Najpierw skończmy ze śmieciami. Gerber orał w Ducha do zmierzchu, po czym dał mu dwa dolary. Obiecał zniżkę przy płaceniu za mieszkanie. To nie było złe mieszkanie, dwie sypialnie, living-room, kuchnia z wielką lodówą i łazienka z karaluchami. W Toronto tylko w najbogatszych budynkach nie ma karaluchów. Istota rzeczy tkwiła w usytuowaniu mieszkania: okna wychodziły na pojemnik. Odległość: dwa metry.

Poprzedni lokatorzy uciekli natychmiast kiedy zaczął się strajk. Ale pewnie i przedtem ciężko było wytrzymać, bo budynek nie miał klimatyzacji.

— Jak opróżnimy pojemnik, to będziecie państwo mieli lepsze powietrze — zapewniał Gerber.

Nie było lepsze. Pojemnik śmierdział jak zaraza, nie wszystko dało się usunąć, dużo laksy zostało na dnie.

Następnego dnia Gerber zadzwonił do pani Polweis i pochwalił pracowitość Ducha. Kobieta postanowiła dać Duchowi nagrodę.

— Ma pan jakieś ubrania?

— Nic nie mam — powiedział Duch, była to standardowa odpowiedź emigrancka. „Nie mam nic, nie wiem nic, jestem głodny".

— Postaram się, żeby panu przydzielono garnitury. Pan musi dobrze wyglądać. Pan jest polski poeta.

Duch podziękował, i rzeczywiście: następnego dnia czekała na niego w biurze paczka, spora, ciężka. W domu przymierzył, to były dwa niezłe ubrania z wełny, szare i jasnobeżowe, tylko rękawy marynarek nieco za krótkie.

W mieszkaniu panował półmrok, jak to na parterze, kiedy okna zasłania pojemnik na śmieci, a nieco dalej stoi drugi blok.

— Pokaż, może da się podłużyć — powiedziała Georgia i zapaliła światło.

Nie, nie dało się, brzegi rękawów już odpracowały swoje, byłoby znać.

— Zostaw sobie spodnie — powiedziała.

I nagle:

— Co to?

Po lewej stronie krocza, w dół nogawki ciągnęła się brunatna plama.

— Poprzedni właściciel popuszczał — stwierdził filozoficznie Duch.

— Ściągaj to natychmiast! Jeszcze brakuje, żebyś jakiego syfa załapał, i to bez przyjemności — zezłościła się Georgia.

Duch obejrzał spodnie: to samo, a nawet jeszcze gorzej, siuśki wypaliły prawie dziurę w miejscu, gdzie dżentelmeni noszą ptaka.

— Przecież mogliby sprawdzić — parskała Georgia, jak zwykle gotowa do walki ze światem po czasie.

Następnego dnia Duch odniósł garnitury do pani Polweis i rozłożył je w biurze. Pokazał wątpliwe miejsca.

— Wie pani, ludzie nie mają wstydu — powiedział. — Myślą, że każde świństwo mogą zanieść do opieki społecznej, bo nędzarz i tym się ucieszy. Swoją drogą moglibyście tutaj sprawdzać takie dary, zanim je komuś przydzielicie...

Pani Polweis patrzyła na Ducha z rozdziawionymi ustami. Bladła i czerwieniła się, coś tam próbowała mamrotać, w końcu wcisnęła garnitury pod biurko i sucho pożegnała petenta.

Wieczorem Duchowie spotkali się z redaktorem Buniem i jego żoną. W opinii Ducha i Georgii państwo Buniowie byli bardzo sympatyczni, podzielałbym to zdanie, gdyby nie tchórzostwo Bunia. Zresztą jego żona pożyczyła Georgii sto dolarów, a to przecież cementuje przyjaźń.

Przy herbacie Duch opowiedział o przygodzie z garniturami i żałował, że dobra wola pani Polweis nie przyniosła oczekiwanych skutków.

— Ależ to były garnitury jej męża! — wykrzyknęła Buniowa.

— Niemożliwe. Skąd pani wie?

— Polweis dzwoniła wczoraj do mnie, żeby powiedzieć, że szykuje dla pana niespodziankę, dwa znakomite mężowskie garnitury miała panu podarować...

— Trzeba było brać, i wyrzucić, i więcej o tym nie mówić — rzekł Bunio. — A teraz ma pan w niej wroga do śmierci.

— Przecież wiedziała, co daje — oburzyła się Georgia. — Zakpiła sobie z nas, i to brzydko.

— Mogła nie wiedzieć. Wyciągnęła z szafy, zawinęła... To jest kobieta kariery, nie interesuje się ubraniami męża... — powiedziała Buniowa.

— Gdyby tak było, to równie dobrze mogła wyciągnąć z szafy nowe garnitury, a wybrała dokładnie te, których już sama znieść nie mogła — orzekła Georgia.

— Bardzo mi przykro — powiedziała Buniowa. — Postaram się państwu zrekompensować tę nieprzyjemność. Mam bardzo bogatych znajomych. To nasi przyjaciele od dwudziestu pięciu lat. Już im mówiłam o sytuacji państwa. Zapraszają serdecznie.

Tak się zaczęło z Mannixem. Zanim Duchowie odwiedzili wspaniałą posiadłość tego bogacza, Mannix zadzwonił do Buniowej i przykazał, żeby kupiła wszystko, co Duchom potrzebne, a on jej zwróci pieniądze.

Odbyła się więc wyprawa po złote runo. Prowadziła Buniowa, Georgia dotrzymywała jej kroku, gadając przez cały czas, a Duch wlókł się z tyłu, zupełnie obojętny na uroki wnętrz domów handlowych Eatona, Woolwortha i Simpsona. Po kilku godzinach odwiozła ich Buniowa do apartamentu, przesyconego wonią zgnilizny, i na stole pojawiły się, wyładowane z bagażnika dobra, mające pomóc przybyszom w aklimatyzacji na nowym gruncie: żelazko, które samo puszcza parę, czajnik elektryczny, który sam się wyłącza, jakieś ciuchy dla Georgii — mimo, że niczego nie potrzebowała, bo przyjechały z nią cztery wielkie walizy najmodniejszych europejskich ubiorów — no i, tego ukryć nie można, nowa wspaniała marynarka dla Ducha, spodnie i buty.

Odzież była przedniej jakości: granatowa, dwurzędowa marynarka o złotych guzikach kosztowała ponad sto dolarów, a wtedy to była masa forsy. Szare spodnie ze znakomitej wełny również drogie, a but prosto z Italii. Także koszule i dwa dobrane krawaty w delikatne ukośne prążki.

— Jeszcze tylko bilet do Paryża i jestem zdrów — powiedział Duch, przeglądając się w lustrze.

Następnego dnia podjechali subway'em do końcowej stacji, i tam, na słonecznej, pustej ulicy, zobaczyli zajeżdżający z fasonem ciemnozielony samochód firmy Jaguar. Siedzenia pokryte złotawą delikatną skórą, a na tych siedzeniach rozparci państwo Mannix.

Nie wysiedli, żeby się przywitać. Buniowie i Duchowie upakowali się ciasno z tyłu, Mannix dodał gazu i tyle. Mało co rozmawiali w wozie. Żona Mannixa, Eva, popatrywała czasami do tyłu, szybkimi spojrzeniami taksując parę nowych gości. Duch i Georgia łapali wzajemnie swoje spojrzenia, puszczali do siebie oczka. Było to trochę dziwne, że taki bogaty facet nie przyjechał po nich do domu Buniów, tylko przegonił ich subway'em na drugi koniec miasta. Może żałował samochodu, a może benzyny? A może czasu? Tak. Czas to pieniądz. Duchowie nie oceniali czasu z tego punktu widzenia. Im bogatszy człowiek, tym bardziej szanuje swój czas.

Po kilku minutach znaleźli się w dzielnicy bogaczy. Całkiem jak park. Ledwie gdzieniegdzie widać zarysy budowli poprzez gęsto splecione gałęzie, krzaki, pnie drzew. Nie ma jeszcze zieleni, ale pełno modrzewi, cyprysów i srebrnych świerków rekompensuje ten brak. Wreszcie samochód wjeżdża w kręconą aleję i zatrzymuje się przed niskim barakiem. Można dosięgnąć ręką dachu i ani jednego okna. Może to garaż?

Nie. Garaż jest z boku. A nie opodal wejście, i kiedy już znaleźli się w środku, zaparło im dech: ogromny salon, na trzy piętra w dół, przeciwległa ściana cała ze szkła, za szkłem basen, dalej łąka lekko opadająca w dół, otoczona „evergreens", wiecznie zielonymi drzewami i krzewami...

Dom stał na skarpie. To, co widzieli, nadjeżdżając, to był szczyt domu. Poniżej trzy piętra, otwarte wewnątrz, przestrzeń, światło, powietrze. Living-room miał trzydzieści metrów długości, piętnaście metrów szerokości i wysoki był na dziewięć. Tego wszystkiego dowiedział się Duch od Mannixa w kilka minut po wejściu. To mu zepsuło wrażenie, bo wrażenie było takie, że living-room ma tysiąc metrów długości i sto wysokości. Ale niech tam. Niektórzy lubią konkrety.

Po lewej znajdowała się część mieszkalna z dwunastoma sypialniami i sześcioma łazienkami. Po prawej pomieszczenia gospodarcze, w tym kuchnia typu „Hollywood", gdzie stanowiska robocze znajdują się w środku wielkiej sali, ustawione w rozległą podkowę.

Ale o Mannixach. On: metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, lekko otyły, blondyn z zatokami, pełne usta, prosty nos, piwne oczy z ciężką powieką. Ręce suche, dość mocne, białe i wypielęgnowane, paznokcie lśnią, złoty sygnet z czerwonym kamieniem, złoty zegarek na złotej bransolecie. Ubrany w szary, dobrze zrobiony garnitur, krawat — jest to elegancja, z którą można się wszędzie pokazać, i każdy poczuje, że facet ma forsę. Niezłe czarne buty, miękka skóra. Aha, na imię ma Ron. Lat czterdzieści siedem.

Eva: o cztery lata młodsza od męża, niższa o pół głowy, mocno zbudowana, biodra szerokie, brzuch niezbyt płaski, ale mocno sklepiony. Nie sprawia wrażenia, że jest otłuszczona, po prostu nabite babsko, rzepa. Twarz wymalowana za mocno, czerwone usta, duże, łakome. Zęby białe, zdrowe, mocne dłonie, mięsiste, przyjemne w dotyku. Silne i zgrabne nogi, łydki jak u dziewczyny, która dużo jeździ na rowerze. Ale pani Mannix nie jeździ na rowerze, woli jeździć konno. Mowa jej prosta, nieokrzesana, kiedy otworzyła gębę, to zapachniało bazarem Różyckiego. Dziwne to skoro przyjechała do Kanady z mężem w 1947 roku, miała wtedy osiemnaście lat. Nawet po angielsku jej głos brzmi brutalnie, wyzywająco.

Mannix natomiast mówi po polsku doskonale. Ma pewne trudności z dobieraniem właściwych słów, ale widać obycie i oczytanie.

— Czytam sporo — powiedział — niestety, nic pańskiego nie wpadło mi w rękę. Ale jeśli mógłby pan podrzucić mi coś ze swoich rzeczy, to będę wdzięczny.

— Z przyjemnością — powiedział Duch.

Dalej rozmawiali o różnicach w sposobie prowadzenia interesów w Polsce i w Kanadzie. Duch, tak samo jak w krótkim zderzeniu z księciem Sapiehą, zasłonił się kilkoma ogólnikami, nie znał się na interesach, a może raczej znał się tak samo, jak oni na poezji.

Gospodarz poprowadził go o piętro niżej, pod taras: znajdował się tam drugi basen, dotąd niewidoczny, bo kryty. Latem szklany dach odsłaniał się za pociśnięciem guzika, ściany odjeżdżały w bok i miało się kąpiel na świeżym powietrzu oraz łatwy kontakt z gośćmi, bawiącymi się w drugim basenie. Ciemnopomarańczowe światło jarzyło się w niezliczonej ilości egzotycznych butelek, stojących na półkach baru pod przeciwległą ścianą.

— Kiedy urządzamy garden-party — rzekł Mannix — to jest bardzo praktyczne. A może chce pan popływać?

— Nie mam majtek.

— Ja mam dużo majtek, niech się pan nie martwi.

Ujął Ducha pod łokieć i poprowadził go do części mieszkalnej. Otworzył jakieś drzwi i powiedział:

— To jest mój gabinet.

Otworzył inne drzwi i powiedział:

— A to jeden z gościnnych. Coś panu pokażę.

Nacisnął kontakt i podłoga pośrodku obszernego pokoju rozsunęła się, a z otworu wyjechało do góry wielkie łoże. Duch pokiwał głową z uznaniem, i zaraz pomyślał, że maszyneria mogłaby popsuć się podczas snu, człek znalazłby się pod podłogą, dechy nad nim zasunięte i szukaj wiatru w polu.

— Wspaniałe — powiedział.

— To waterbed. Pan spróbuje, proszę!

Mannix popchnął Ducha na łoże, w gumowym pontonie była woda, i kiedy Duch się położył, to bujało.

Rys. Dariusz Romanowicz

— Wspaniałe — powiedział, wstając z trudem, bo mocno bujało.

Po chwili z majtkami wędrowali w dół do basenu. Duch przebrał się w kabinie, i kiedy wyszedł, Mannix już czekał nad wodą, a z nim całe towarzystwo.

— Kapcie się! — zachęcał.

Chciał widocznie zobaczyć Georgię rozebraną. Ale nikt nie miał ochoty. Zrobili więc po dziesięć długości, potem niby-wyścigi, w których Mannix był lepszy, bo pływał codziennie. Duch tymczasem zauważył to, co chciał zobaczyć; Mannixowa nie spuszczała z niego oka.

Po obiedzie w wielkiej jadalni (stół z marmuru prosto z Carrary), gdzie byli obsługiwani przez dwóch kelnerów, wrócili do salonu, kominek — ba, komin! — już płonął, i zaczęło się pijaństwo. Mannix szybko się upił. Czerwony na twarzy, nabrzmiały, kieliszek w ręku, rozchlapywał alkohol. Eva patrzyła na niego ze złością, gadała coś szybko po angielsku. Wyglądało, jakby się kłócili, ale Duch nie rozumiał ani słowa. Georgia była bliska rozpaczy. Liczyła na inny obrót sprawy. Chciała poderwać Mannixa, ale bała się jego żony. Wiedziała, że nie da rady pójść na ostro z taką chamicą. Zawsze pękała przed czystym, naturalnym chamstwem. Gdyby Mannix nie upił się tak szybko, to może dałoby się wymanewrować przekupkę, umówić się z nim. Teraz za późno.

Ale sytuacja się oczyściła, ponieważ przyjechała zaproszona wcześniej telefonicznie pani Gelasco, była aktorka scen polskich. Wysoka kobieta o chytrej twarzy i naiwnych oczach, bogato ubrana na krawędzi dobrego smaku. Chciała poznać poetę z Polski, dlatego przyjechała, natomiast mąż, Frank Gelasco, wyleciał po południu do Meksyku na tydzień odpoczynku.

— Szkoda, że nie może go pan dziś poznać. To wspaniały człowiek. Nie zna się na literaturze, ale umie docenić talent i energię. Bo trzeba być energicznym, żeby pisać, prawda?

— Prawda, kochanie — powiedział Duch, wyciągnął rękę i pogłaskotał damę pod brodą. — Powiedz mi, gdzie i co grałaś.

Nie wiedziała, czy pogniewać się, oburzyć, czy wziąć to jako nowy polski obyczaj. Wzięła.

— Byłam uczennicą Schillera — powiedziała z dumą. — Uważał, że jestem jedną z trzech najzdolniejszych studentek w całej jego pedagogicznej karierze...

— Kto to był Schiller? — zapytał Duch. — Czy nie poeta?

— Pan nie wie? To geniusz polskiego teatru!

— Nie chodzę do teatru. Ale podobasz mi się, dziewczynko.

Dziewczynka miała co najmniej pięćdziesiąt pięć lat.

Nagle rozległ się głośny trzask. To Eva Mannix walnęła w pysk swego męża, a rękę miała jak kijanka do prania.

W ciszy padły jej nabrzmiałe wyrzutem słowa:

— Ty gnoju! Żadnej nie przepuścisz! Czy wiecie, że on w sklepie do każdej salesmanki robi miny? A ile razy dał wizytówkę, żeby wydra dzwoniła... Nie masz honoru, chamie jeden, żebyś mi chociaż powiedział, że ci się jaka podoba, ale ty kłamiesz na każdym kroku, a za plecami numery wycinasz... Poczekaj, ja cię załatwię, ja ci zrobię koło dupy, aż mnie popamiętasz!

Mannix siedział w fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach. Buniowie podnieśli się w milczeniu, Genia Żelazko, pardon: Jennifer Gelasco — opuściła Ducha i zbliżyła się do Buniów, z którymi od dawna utrzymywała przyjaźń:

— Odwiozę was...

Kiwnięciami głów pożegnali się z sobą, mimo iż Buniowie dawali znaki, żeby Duch i Georgia też wynieśli się z domu Mannixów.

— Jeszcze chwilę zostaniemy — powiedział głośno Duch. — Mam pewne sprawy do obgadania z panem Ronem.

Eva uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Kiedy tamci wyszli, rozległo się chrapanie. Mannix zasnął.

C.D.N.